PISMA
JORDANA

JULIANA WIENIAWSKIEGO

TOM IV

Z BORU I DWORU

SZKICE I OBRAZKI

I

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI — BUCHALTERYA PODWÓJNA
BAKALARKA
ZEMSTA PANA FABIANA — UKŁAD O SŁUŻEBNOŚCI

KRAKÓW
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1894

PISMA

JORDANA

(Juliana Wieniawskiego)

Tom I. Wędrówki Delegata. Szkice humorystyczno-obyczajowe.
Tom II. Przygody Panów Marka i Agapita podczas wystawy rolniczej w Warszawie.
Tom III. Listy Jordana do Pana Jana.
Tom IV. Z Boru i dworu. Szkice i obrazki. I.
Pojedynek amerykański. — Buchalterya podwójna. — Bakalarka. — Zemsta Pana Fabiana. — Układ o służebności.
Tom V. Z Boru i dworu. Szkice i obrazki. II.
Charciarz. — Referencya. — Komedya w podróży. — Na stanowisku. — Wyprawa po pożyczkę.
Tom VI. Ze wspomnień Marymonckich. — Komedye jednoaktowe: Partya winta. — Wśród lasu. — Polowanko.

Z BORU I DWORU

PISMA

JORDANA

(Juliana Wieniawskiego)

TOM IV

Z BORU I DWORU

SZKICE I OBRAZKI

I

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI — BUCHALTERYA PODWÓJNA

BAKALARKA

ZEMSTA PANA FABIANA — UKŁAD O SŁUŻEBNOŚCI

Z BORU I DWORU

SZKICE I OBRAZKI

OPISAŁ

JORDAN

(Julian Wieniawski)

SERYA I

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI — BUCHALTERYA PODWÓJNA
BAKALARKA
ZEMSTA PANA FABIANA — UKŁAD O SŁUŻEBNOŚCI

WYDANIE DRUGIE

KRAKÓW
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
1894

301877

201888

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca i Spółki. pod zarz. J. Gadowskiego.

POJEDYNEK AMERYKAŃSKI.

HUMORESKA.

Bocznym gościńcem, prowadzącym do wioski rozsianej na wielkim pagórku, kłusował na grubo-płaskim podjezdku również grubo-płaski młodzieniec.

I koń, i jeździec oglądali się co chwila na boki: pierwszy... jak gdyby miał błagać jeźdźca o trochę litości i folgi; drugi... jak gdyby się pogoni jakiejś obawiał.

Kasztan był spieniony ze znużenia — jeźdźcowi gęste krople potu spływały strugą po policzkach, obadwaj sapali, jak kowalskie miechy... obu bowiem trapiła spiekota lipcowego skwaru — ale też obaj swej doli byli winni: koń, że dźwigał zbyt ciężkiego jeźdźca... jeździec, że dosiadł zbyt ciężko noszącego wierzchowca... Była to więc widocznie niedobrana para, jakich się niestety! w całem życiu naszem niemało spotyka.

Na mostku, nieodrodnym potomku wszystkich historycznych mostków polskich, kasztan przystanął, uszami zastrzygł i chrapnął nozdrzami na znak jakiejś trwogi.

Jeździec podniósł się na strzemionach, ujrzał przed sobą olbrzymią dziurę, którą zapewne noga jakiejś mniej przezornej szkapiny w nadgniłym balu wyżłobiła.

Nie było sposobu przebycia bez szwanku tej klawiatury, w której każda deska dowolne wyprawiała sobie

skoki. Jeździec zawrócił konia, i spuścił się dołem przez wązką, jak zwykły rowek, rzeczułkę, nie zamaczawszy nawet pęcin końskich.

Znalazłszy się już na drugiej stronie mostu, rzucił raz jeszcze okiem za siebie, a nie widząc żadnej pogoni, i czując się poza tą naturalną forteczką bezpieczniejszym, pojechał dalej w drogę stępą.

W niespełna kwadrans kasztan zarżał i parsknął kilka razy na powitanie schludnego dworku, przed który właśnie przybywali.

Na ganeczku stał człeczyna pękaty, dość surowego na pozór wyrazu twarzy, wzrostu mniej, niż średniego, przysadzisty a krzepki. Ocierał biedak czerwoną chustką łysinę, z której spływały rzadkie kosmyki bielejących włosów, mocno potem zroszonych, mimo płóciennego tylko garnituru, który go dla przyzwoitości jedynie osłaniał.

Na widok przybywającego jeźdźca, przyłożył rękę do czoła, zasłaniając wzrok przed blaskiem promieni słonecznych. Wtem nagle brwi nachmurzył, zmarszczył czoło, chrząknął, splunął i głosem mocno podniesionym zawołał:

— Wszelki duch!... jakem Piętka!... tyżeś to nieponiu?!..

Jeździec zsunął się z konia, puszczając mu cugle.

— Nie puszczajże, trutniu, szkapy, bo się ochwaci! — wołał stary. — Zmachałeś ją, jak nieboskie stworzenie... urwipołciu!...

— Et!... niech ojciec nie wymyśla, bo ja do matki przyjechałem.

— Dam ja ci tu matkę, skurczybyku!... a ojciec to co? suseł, czy jamnik w domu?...

Ale w tej chwili uciął, jak ogar zbity z tropu, bo na

doniosły głos męża wybiegła na ganeczek niewiasta lat średnich, jędrna, krzepka i niezwykłą zdradzająca energię.

— Jezus, Marya! — zawołała, rozkrzyżowując ręce rozpaczliwie. — Czy mnie wzrok nie myli?... Dziecko moje... Waluś!...

— Ano, ja, — westchnął zagadniony, stojąc przy koniu. — Ładnie mnie tu stary wita!...

— *Stary?!...* — powtórzył ojciec z wściekłością. — Słyszysz, Basiu, jak mnie ten bezbożnik nazywa!...

Ale matka zbiegała już ze schodów do jedynaka.

— Rzućże mi się w objęcia... dziecko moje! — wołała tkliwie.

— Czekaj! — krzyknął równocześnie do syna stary Piętka, — szkapy nie puszczaj, żłopnie wody zziajana... i po niej!...

— To wołaj na służbę! — odparła pani Barbara, której pilno było przytulić gagatka do serca.

— Jędrek! — huknął pełną piersią pan Piotr, kładąc nacisk na ostatnią zgłoskę (szczęściem, że tego jaki delikatny Niemiaszek nie słyszał). — Jędrek!! — powtórzył tak samo do nadbiegającego chłopaka, — konia oprowadzać pół godziny.. słomą wytrzeć, i nie poić, aż powiem. Marsz!.. No, a teraz — dodał, zwracając się do syna, — rzucaj się gagatku matce w objęcia... Ode mnie trutniu wara, póki mi się z przyjazdu nie wyekskuzujesz.

Jak lwica na poranione swe dziecię, rzuciła się pani Piotrowa jedynakowi swemu na szyję. Mocno zaokrąglonemi rękoma przycisnęła go z taką siłą do łona, że Walusiowi oczy prawie na wierzch wyłaziły; nie bronił się jednak winowajca, przeczuwając, że ze strony papy zbiera

się burza, przed którą jedyne schronienie znajdzie w objęciach życiodawczyni.

Gdy pierwszy atak macierzyńskiej czułości przeminął, stary Piętka wymownym gestem poprosił synka za sobą.

— Pójdziemy razem — szepnął jedynak, spoglądając błagalnie na matkę.

— O! ja cię nie opuszczę!... pójdziemy razem...

— Po co Basiuniu?—spytał łagodniej nieco pan Piotr.— Bywają czasem okoliczności delikatne... przy których kobieta jest zbyteczną...

— Dziecka mego nie opuszczę! Ono nie ma przede mną tajemnic...

— A no, to chodź... pójdź i ty skurczybyku...

— Śmiało mój synku — mówiła pani Piotrowa, gładząc Walusiowi czuprynę; — niczego się nie bój.. ja cię moją piersią w razie czego osłonię...

— Ja się niczego nie boję... — począł winowajca, wchodząc do kancelaryi ojcowskiej i rzucając się na krzesło;— com zrobił, tego nie żałuję...

— Opuściłeś handel Pieprzykiewicza? — zapytał Piętka.

— Tak jest... puściłem go w trąbę... bo to jest facet, z którym nikt porządny nie wytrzyma.

— Porządny? — przedrzeźniał ojciec. — Jak się ten łobuz wyraża!... *trąba... facet... stary...*

— Dajże mu mówić tyranie! — szepnęła mu na ucho małżonka. — Mów Walusiu... mów dziecko moje... co się stało?

Jedynaczek, nogi wyciągnął przed siebie, ręce zapuścił w kieszenie, a bujając się lekko na krześle, tak począł:

— Już od kilku miesięcy uważałem, że mnie miał

Pieprzykiewicz na wątrobie... Com zrobił, zawsze było źle... Zapisałem co do książek, znajdował omyłki; odważyłem co z towaru, zawsze znalazł potem, albo za wiele, albo za mało; posłał mnie po co, zawszem siedział za długo; nawet i to gałgana raziło, żem czasem prysnął sobie na kasztanie, któregoście mi przecież nie na to dali, żeby stał przy żłobie... Znosiłem to wszystko, a nawet nicem sobie z tego nie robił; aż tu, parę tygodni temu, kiedym sobie w najlepsze siedział przy biurku nad książką...

— I spał, — wtrącił Piętka.

— A skąd ojciec wie?

— A widzisz, żem zgadł, bencwale!

— No, no... bez tych dodatków... i Bismarck sypia, a przecież bencwałem nie jest...

— Cóż dalej, mój Walusiu? — pytała matka.

— Nagle, Pieprzykiewicz wsuwa się cichaczem, a widząc mnie schylonego i trochę drzemiącego, jak mnie nie huknie w kark!...

— Potwór! — jęknęła matka!

— Dobrze zrobił! — zauważył ojciec.

— Dobrze zrobił! — przedrzeźniał ojca Waluś; — zapewne, dobrze zrobił, że uciekł, bo gdybym się był prędzej ocknął, dostałby lanie co się zowie...

— Słyszysz go, Basiu?... słyszysz? — pytał Piętka.

— Dobrze, żeś tego nie zrobił — odrzekła matka. — Cóż dalej Walusiu?...

— Zostaliśmy tedy z sobą na zimno... i byłoby to wszystko przyschło potrosze, gdyby dyabli nie nadali, że wyjechał po towary... i to teraz przed kilku dniami,

w sam karnawał. Wychodząc ze sklepu po obiedzie, zaszedłem na chwilę do Wikty...

— Co za Wikta? — spytał ojciec, strosząc wąsy.

— Jego córka, — odrzekł gagatek.

— A cóż to za poufałość była między wami?...

— Jaka była, taka była; to nasza tajemnica... Zresztą nie będę tu jej przecież nazywał jaśnie wielmożną Wiktoryą Pieprzykiewiczówną...

— Cóż dalej, dziecko moje?...

— Otóż tam w resursie urządzali maskaradę... całe miasteczko wrzało z ciekawości... i Wikcie zachciało się gwałtem zobaczyć ludzi poprzebieranych; prosiła więc kolejno każdego z subjektów, żeby jej który towarzyszył, ale te frajery bały się starego, jak ognia. Nareszcie zwróciła się do mnie, a prosiła tak czule, żem się zdecydował zrobić jej tę frajdę. Poszliśmy: ona w masce i dominie, ja we fraku... Tłok był ogromny... Wikcie pić się zachciało... więc kazałem dać w bufecie butelkę białego... Wtem kiedy się w najlepsze raczymy... patrzę, sunie prosto na nas... Pieprzykiewicz! Zgłupiałem... kieliszek wyleciał mi z ręki... — „Panno Wiktoryo — szepnąłem, — stary przyjechał!“ — „Gwałtu!“ — jęknęła Wikta. — „Dawajmy nura co tchu!“ — krzyknąłem jej do ucha... i takąśmy urządzili fugę, że nim stary powrócił do domu, Wikta była już w łóżku, a ja spałem na dole przy sklepie, jak zabity... i dobrze. Stary obchodził mnie ze świecą dokoła... nasłuchywał, mruczał, nosem kręcił... ale żem się ani ruszył, postał jeszcze kilka minut, nareszcie sprzykrzyło mu się i poszedł spać.

I wszystko ucichło... spokój był w domu przez dni na-

stępne, i nie byłoby się nic nie wydało, gdyby nie przeklęty bufetnik! Co prawda, zapomniałem w tym popłochu zapłacić za wino... a trzeba nieszczęścia, że Wikta nie mogąc pić przez maskę, musiała ją podnieść, i wtedy to podły bufetnik ją podpatrzył. Dziś rano odbiera Pieprzykiewicz rachunek za wino na maskaradzie, podane jego córce i mnie. Gwałt się zrobił w sklepie i w domu. Co się tam Wikcie oberwało, nie wiem... ale na mnie wpadł Pieprzykiewicz jak byk rozjuszony, z rachunkiem w ręku, i krzyknąwszy mi nad uchem: „Zbrodniarzu! zhańbiłeś mi córkę!“ — znów mię huknął w kark... ale już z taką siłą, że mi coś w piersiach, jakby na organach zagrało.

— O niegodziwiec! — westchnęła matka.

— Krew zawrzała we mnie! — mówił dalej Waluś, wstając z krzesła i gestykulując rękoma; — jak się nie odwinę, jak nie lunę kułakiem w plecy! Pieprzykiewicz fajt, jak długi... Ja do stajni: nim oprzytomniał, nim się podniósł, nim narobił krzyku, ja siedziałem już na kasztanie, sunąłem z kopyta, — i otóż mię macie!

— A co?! — zawołał Piętka, który słuchał z zaciśniętemi pięściami, — czy nie mówiłem, że jakaś łotrowska sprawka?

— Więc cóż?! — broniła pani Barbara, — dziecko ze szlachcianki urodzone, miało się dać poniewierać?...

— A czy dziecku ze szlachcianki urodzonemu już wszystko bezkarnie ma uchodzić? — zapytał nawzajem stary Piętka, doprowadzony do wściekłości.

— Młodość... niedoświadczenie...

— Broń go, Basiu, broń! ładnego wychowałaś gagatka! Oddałem do szkół, stracił w trzech klasach sześć lat...

przełaził tylko piecem, dzięki wiktuałom, warzywom, zwierzynie, którąm furami posyłał. W końcu i to nie pomogło: osłem wszedł, osłem wyszedł. Nie było z nim co począć: do gospodarki on nie chciał, na księdza tyś nie chciała, do wojska jego nie chcieli... rad nie rad, oddałem go do handlu, — i ot co narobił! Czekać tylko dalszych awantur, bo przecie na sucho mu to nie ujdzie...

Waluś stał z rękoma w kieszeniach, ale raz po raz wyglądał przez okno, jak gdyby cię czegoś obawiał. Znać było na nim, jeśli nie skruchę, to przynajmniej ciężki niepokój, który mu odjął nieco fantazyi. Biednej matce żal się go zrobiło... pragnęła pomówić z ojcem sam na sam, naradzić się na wszelki przypadek, i coś w tej przykrej sprawie postanowić, choćby do samego Pieprzykiewicza jechać jej przyszło z przeprosinami. Rzekła więc do Walusia:

— Idź, biedne dziecko, wypocząć na górce po tych wszystkich wzruszeniach... Idź mój Walusiu... idź...

Waluś nie dał sobie powtarzać dwa razy, i wysunął się szybko z pokoju. Zaledwie stracił ojca z oczu, fantazya mu wróciła. Zagwizdał sobie kuplecik z „Gasparona,“ wychylił jednym haustem przygotowaną w sieni do kolacyi butelkę bawara, i cmoknął w przelocie oprzątarkę, która mu się na schodach napatoczyła: był bowiem na trunki i wdzięki mocno wrażliwym, choć niekoniecznie wybrednym. Między małżonkami tymczasem żywa się wszczęła rozprawa.

W obronie „swego dziecka“ prym w niej trzymała pani Barbara z domu Fumowiczówna. Wywodziła się ona z jakiejś wołyńskiej szlachty, osiadłej w Królestwie...

choć o Fumowiczach, ani Niesiecki, ani Paprocki, ani nowocześni nawet heraldycy nie pisnęli marnego słowa. Bądź co bądź, w małżeństwie z Piętką pani Barbara widziała zawsze mezalians, choćby z tej racyi, że mąż jej wróciwszy z wojaczki gołym, jak pierwszy nasz rodzic, z początku, na ekonomstwie, a potem chodząc dzierżawami, fortunki się dorobił.

Pan Piotr słuchał perorującej żony, jak się niekiedy słucha kazania: myśląc o tem i owem, milczał uporczywie; raz tylko ręką machnął od niechcenia, kiedy małżonka coś mu o herbie Fumowiczów napomknęła. Ale za to obruszył się z niezwykłą stanowczością, kiedy mu oświadczyła, że choćby się przyszło „zastawić w żydy," trzeba sypnąć pieniędzmi, a sprawę z Pieprzykiewiczem bez szwanku dla Walusia załatwić.

— Ani myślę! — odparł żywo.

— Jak to?... naraziłbyś moje dziecko na skandal? dla marnych pieniędzy?!

— Niech hultaja raz kara spotka, to się może opamięta... Ja ręki wyciągać na starość nie myślę, grosza nie dam!

— Taaak?! — odparła zrozpaczona małżonka, sięgając dla efektu po chustkę, której jak na złość nie było w kieszeni. — Wiedzże o tem, okrutniku, że jeśli moje dziecko chcesz oddać Pieprzykiewiczom na pastwę, opuszczę cię... pójdę razem z niem w świat szeroki... pracować będę sama na siebie i na moje dziecko... szyć będę... prać będę... najcięższej chwycę się roboty... niech świat wie, co się stało z panną szlacheckiego rodu, która wyparła się koligacyi i wyszła za mąż... za...

— Za... za?... — podpytywał Piętka, przymrużając oko.

— Za skąpca, kutwę, egoistę, samoluba, tyrana, despotę, dorobkiewicza!...

Ten ostatni wyraz, wyrzucony z naciskiem, był już w przekonaniu pani Barbary, z domu Fumowiczówny, najcięższą możliwą obelgą.

Piętka pod gradem tych wymyślań zamilkł; z pod siwych jego wąsów przeglądał uśmiech pogardy czy litości osiadły na ustach.

Już miał się nawzajem zebrać na jakąś dość heroiczną odpowiedź, gdy nagle bryka zaturkotała przed dworkiem, a zaraz potem dwóch młodych, nieznanych zupełnie ludzi, weszło do pokoju.

— Czy zastaliśmy pana Piętkę? — spytali prawie razem.

— Do usług — odrzekł z ukłonem gospodarz. — Z kimże mam przyjemność?

— Figowski... jakby to powiedzieć... — szepnął jeden.

— Pieprzykiewicz jestem! — przerwał mu butnie drugi.

— Pie-przy-kie-wicz?!! — krzyknęła mimowoli pani Barbara, chwytając się poręczy krzesła.

Nastała chwilka milczenia. Wszyscy czworo ukradkiem spoglądali na siebie; nikt się z miejsca nie ruszał; dramat jakiś zawisł w powietrzu.

Pierwszy przerwał ciszę gospodarz.

— Jakiejże okazyi zawdzięczamy przybycie panów?

— Przyjechaliśmy... jakby to powiedzieć?... pomówić z panem dobrodziejem sam na sam, — począł Figowski.

— I owszem — odrzekł Piętka. — Basiu zostaw nas samych.

— Nie odejdę!... — zawołała rezolutna niewiasta, przy-

chodząc z wolna do siebie. — W moim domu niema tajemnic przede mną...

— Są rzeczy, pani dobrodziejko, natury... jakby to powiedzieć?... delikatnej, — zauważył Figowski.

— Przy których obecność dam jest niemożliwą, — dorzucił Pieprzykiewicz.

— Powiedziałam, że nie odejdę, i nie odejdę! Co panowie macie powiedzieć, proszę mówić przy mnie....

— To jest rzecz... jakby to powiedzieć?... niemożliwa, — wtrącił Figowski.

— Wprost niemożliwa, jakem Pieprzykiewicz! — dodał towarzysz.

— Odejdź Basiu — szepnął jej Piętka do ucha. — Odejdź! — powtórzył jeszcze ciszej: — uporem swoim zgubisz syna!

— Och! — zawołała z goryczą do obecnych, — jesteście panowie bez serca... widać, że żaden z was nie był matką!

— Rzeczywiście... jakby to powiedzieć?... dotąd nie, — wtrącił z ukłonem Figowski.

Zaledwie drzwi zatrzasnęły się z hukiem za panią Barbarą, Pieprzykiewicz podszedł szybko do Piętki.

— Czy jest pan Walenty tutaj? — spytał, marszcząc brwi.

— Jest, — obrzekł stary spokojnie.

— Przybyliśmy tu w sprawie... jakby to powiedzieć?... delikatnej, — dodał nawzajem Figowski.

— Baaardzo delikatnej! jakem Pieprzykiewicz.

— Domyślam się — rzekł Piętka. — Niechże panowie siadają...

— Pan wiesz, co mojego ojca spotkało?

— Wiem.

— Jest to... jakby to powiedzieć?... awantura! — szepnął Figowski.

— I to *de grubis* — dodał Pieprzykiewicz.

— Więc pan jesteś synem?

— Tak jest...

— A pan?

— Ja... jestem... jakby to powiedzieć?... subjektem... a raczej dysponentem... prócz tego przyjacielem domu... jakby to powiedzieć?...

— Starającym się o rękę mojej siostry, — przerwał Pieprzykiewicz.

— Panny Wiktoryi? — spytał Piętka.

— Skąd pan wiesz jej imię?! — zawołał żywo potulny dotąd Figowski.

— Skoro wiem o całem zajściu, toć i imię bohaterki głównej znać muszę.

— Więc skoro pan wiesz o wszystkiem — ciągnął dalej Figowski, — nie zdziwisz się, żeśmy przyjechali w celu... jakby to powiedzieć?... wyzwania pana Walentego na pojedynek.

— A nawet na dwa pojedynki! — dodał butnie Pieprzykiewicz.

— Od kogoż go panowie wyzywacie? — spytał spokojnie stary.

— Jakto od kogo?! ja od siebie! — krzyknął Pieprzykiewicz.

— A ja... jakby to powiedzieć?... także od siebie, — wykrztusił Figowski.

— Widzę, że panowie nie znacie form w takich spra-

wach przyjętych — zauważył Piętka. — Nie strony same wyzywają, ale przysłać winny sekundantów.

Pieprzykiewicz i Figowski spojrzeli zdziwieni po sobie.

— Nie kijem go, to pałką! — odparł Pieprzykiewicz; — zawsze to na jedno wychodzi...

— Czy tak, czy siak, dość, że chcemy... jakby to powiedzieć?... satysfakcyi.

— Owszem, mieć ją będziecie, bo syn mój zadośćuczynienie dać musi. Ale ja, jako stary żołnierz i trochę z temi sprawami obyty, żądać muszę, aby się rzecz cała odbyła w porządku; inaczej ośmieszylibyście się tylko moi panowie, i cel byłby chybiony.

— Dlaczego? — spytał Pieprzykiewicz. — Jeślibyśmy się poturbowali, jak należy...

— Nie byłoby nikogo, coby mógł poświadczyć, że sprawę honorowo załatwiono.

Pieprzykiewicz i Figowski spojrzeli znów po sobie. Stary Piętka uśmiechnął się z pod wąsa.

— Może byłby sposób załagodzenia tej smutnej sprawy w drodze polubownej? — spytał po chwili.

— Nigdy! jakem Pieprzykiewicz.

— Krew... jakby to powiedzieć?... choć trochę kapnąć musi...

— Nie kapnąć! ale polać się strugą! — podchwycił Pieprzykiewicz.

— Ha! jeśli taka wola wasza, to się poleje — odrzekł Piętka po chwili namysłu. — Ja z naszej strony poproszę na sekundanta kuzyna mojej żony, majora Grackiego.

— Majora?!... — powtórzyli nieco zmieszani.

— Panowie go znają?

— A znamy! znamy! — bąkał Figowski. — W handlu naszym... jakby to powiedzieć?... zakropi czasem i zaraz jakąś burdę wszczyna.

— Z przeproszeniem pańskiem, to awanturnik! jakem Pieprzykiewicz.

— Ale za to zna się na tych rzeczach, i z nim już żartów niema — dodał Piętka, ukrywając uśmiech złośliwy. — A przecież kiedy krew aż strugą polać się musi, nie można brać na sekundanta jakiegoś piecucha, który nigdy prochu nie wąhał.

Pieprzykiewicz i Figowski znów spojrzeli po sobie; znać było, że im ten obrót sprawy nie przypadł do smaku.

Po chwili Piętka zapytał:

— No cóż moi panowie?

— Ha! mniejsza z tem — odrzekł Pieprzykiewicz; — niech będzie i major. Ale uprzedzam pana, że my może nie znajdziemy sekundanta.

— Dlaczego?

— Dlatego — dodał Figowski, — że w całem mieście znają go jak zły szeląg, i każdy... jakby to powiedzieć?.. spokojny obywatel będzie się bał wleźć z nim w kabałę...

— No, to już będzie kłopot majora — zakonkludował Piętka; — musi on znaleźć sobie kompana, a panom sekundanta.

Figowski i Pieprzykiewicz znowu spojrzeli na siebie. Rzecz była widoczna, że obaj czuli, iż się dyabelnie przyłapali. Pragnęliby byli naradzić się jeszcze z sobą; lecz Piętka nie dawał im czasu, nagląc o przyśpieszenie spotkania.

— Im prędzej, tem lepiej! — mówił, marszcząc brwi. —

Zresztą, jako strona wyzwana, mamy prawo wyboru broni i terminu.

— Na kiedyż... jakby to powiedzieć?... spotkanie? — bąkał Figowski.

— Jutro zaraz jedziemy z synem do majora, a że wszyscy w jednem mieście mieszkacie, to się tam na miejscu skomunikujemy. Dobrze?

— A dobrze... dobrze... — odparł dość miękko Pieprzykiewicz.

— Ehe... — wykrztusił, bardziej jeszcze zmieszany Figowski.

I po lakonicznem pożegnaniu się z Piętką, odjechali zamyśleni.

Zaledwie bryka znikła za wrotami, wpadła pani Barbara do pokoju.

— I cóż?! — spytała wzruszona.

— Jutro jadę z nim do majora.

— Po co?

— Prosić go na sekundanta.

— Jakto?... więc bić się będą?... Mężu! na Boga! ratuj moje dziecko! — błagała, chwytając go oburącz.

— Zrobię co będę mógł dla pojednania... ale jako żołnierz... choć nie szlachcic.... zbłaźnić się krwi mojej nie dam!... — odrzekł stanowczo.

— Pozwólże na jedną łaskę... weźcie mnie z sobą... ja tu w niepewności umrę.

— Będziesz mi tam sceny wyprawiała i skompromitujesz nas obu...

— Bądź spokojny!... będę ci posłuszną, jak jagnię...

nie ruszę się z hotelu, ale w razie czego... o Boże!... chcę być przy mojem dziecku.

— No... ale pamiętaj obietnicę...

— Przysięgam ci!...

— Zatem jutro skoro świt w drogę!...

* * *

Na przedmieściu jednego z osiemdziesięciu miast powiatowych, stał klasztor OO. Bernardynów. Obszerne, w czworobok zwarte budowle, niby forteczka jaka, dotykały świątyni, strzelającej w górę trzema wieżycami, bogatej we wspomnienia, a pięknej owym stylem lat dawnych, w których sztuka umiała na każdem swem dziele kłaść piętno pobożności i religijnego natchnienia.

Dwa skrzydła oficyn zamieszkane były przez zakonników.

W trzeciem skrzydle, opuszczonem prawie zupełnie, cele świeciły pustkami, a po kurytarzach wiatr wyświstywał żałobną pieśń osamotnienia.

W tem właśnie pustkowiu gnieździł się jeszcze jak puszczyk... człowiek z epoki, w której ludzie starość swoją chętnie z Bogiem na ziemi łączyli, jak gdyby się przez to do wiekuistego z Nim obcowania tu jeszcze przygotowywać mieli.

Dziś, świat śmiałby się z tego; dziś zresztą, schronienia takie dla ludzi o złamanem życiu, o skończonej karyerze światowej stały się już czystą anomalią. Dawniej były to rzeczy zwykłe... i człowiek samotny, sterany życiem, rozczarowany w swych ideałach, zawiedziony w najgorętszych pragnieniach, uciekał pod skrzydła poczci-

wych mnichów, osiadał przy nich na dewocyi, i dokonywał tam w ciszy żywota, którego resztki, z burz i przewrotów ocalić mu się jeszcze udało.

Pomyliłby się bardzo, ktoby tych cichych mieszkańców klasztornych poczytywał za jakichś męczenników. Przeciwnie — żywot wiedli oni spokojny, a względnie nawet wesoły; ze światem nie zrywali całkowicie, ale też nie całkowicie mu się oddawali. Nabożeństwo zajmowało im ranki; sługiwali do mszy świętej, odbywali procesye z bractwami i inne pobożne praktyki. Potem szło pielęgnowanie ogrodów i pogawędka z braciszkami; potem zaś obiad w refektarzu zatrzymywał ich kawał czasu po południu. Dopiero resztę czasu nieraz chętnie poświęcali podtrzymywaniu dawnych stosunków światowych, w których znajdowali ciepłe serca i gorącą herbatkę, skromnego wisteczka lub partyjkę szachów i wspomnienia szczęśliwej a bezpowrotnie ubiegłej przeszłości.

Do takich zabytków lat dawnych należał staruszek, zajmujący w tem właśnie opuszczonem skrzydle, dwie celki połączone z sobą i tworzące schludne starokawalerskie mieszkanko.

Małego wzrostu, ale hardy i srodze buńczuczny, kulawy na mocno skontuzyonowaną nogę, ale mimo to chybki w ruchach, sztykutający przy pomocy nieodstępnej laski szybciej od niejednego zdechlaka, z czuprynką białą, strzelającą w górę, niby wieżyczka na kaplicy, z wąsikami w górę zadartymi i faworytkami do połowy twarzy podgolonymi, — pan major Gracki był typem wygasającej już gwardyi starych wiarusów.

Że tam ów stopień majora mógł poniekąd ulegać za-

rzutom, nie było wątpliwości najmniejszej. Braciszek bowiem klasztorny, niegdyś podkomendny majora, a dziś pełniący funkcye skromnego furtyana, ilekroć w zapóźnionej godzinie był zmuszony na głos dzwonka dreptać z kluczami do furty i wpuszczać zabarłożonego lokatora, mścił się nazajutrz, szepcząc braciszkom na ucho, że Gracki był tylko porucznikiem, że dopiero przy opuszczeniu służby wyszedł w stopniu sztabs-kapitana, że w mieście przez grzeczność i z uwagi na wiek jego, zwano go początkowo kapitanem, a dopiero ks. gwardyan *proprio motu*, przy swej instalacyi, awansował go niebacznym toastem na majora, i stopnia tego, przez uszanowanie dla ks. gwardyana, nikt odtąd kontestować już nie śmiał.

Pomimo tego, każdy ze słuchaczy kiwał tylko ręką zrzędzącemu furtyanowi i szanował nominacyę duchowną, a sam major tak się był przez lat trzydzieści przyzwyczaił do swego stopnia wojskowego, iż śmiałkowi, któryby się poważył zdegradować go choćby na chwilę, byłby pewnikiem z jedno przynajmniej ucho obciął bez pardonu.

Żył więc sobie staruszek w klasztorze, jak u Pana Boga za piecem; hodował kwiaty, ptaszki i króliki; a już głównym przedmiotem jego troskliwości i starań, był poczciwy Kastor, pudel biały jak śnieg, przywiązany do pana mocniej od niejednego sługi, i od niejednej też istoty ludzkiej zmyślniejszy.

Kastor był mistrzem w gimnastyce i sztukach akrobatycznych; a całą tę biegłość zawdzięczał panu, który nad nim godzinami pracował.

Na komendę: „Kastor hop!“ umiał pies pod pachą panu

przeskoczyć, a pod drugą ręką w koło złożoną, powrócić; przez kij skakał, jak pajac; na drabinę właził, jak strażak; na komendę: „Ciepło!“ jednym susem zdejmował panu kaszkiet z głowy; a na hasło: „Zimno!“ umiał w lot też samą czapkę nałożyć. W mieście za majorem nosił cybuch lub koszyk z prowiantami; nosił książki (z wyjątkiem „Złotego ołtarzyka“, bo to byłoby profanacyą); dźwigał buty od szewca i gazety z poczty; czasem zaś nawet nosił przy cybuchu i kapciuch pęcherzowy z tytuniem, tylko wtedy zmuszony był kiedy niekiedy stawać, woń bowiem narkotyku do częstszego pobudzała go kichania. Ostatniej też tej posługi nie nadużywał pan major, miał bowiem litość nad zwierzęciem, choć o Towarzystwie opieki słyszeć nawet nie chciał.

Kastor podzielał sympatye i antypatye swego pana. Lubił dzieci, choć te się nieraz jego kiściastemu ogonowi mocno dawały we znaki; lubił księży, choć nieraz bernardyńskimi *ogórkami* ciężkie dostawał basy za porwanie czego z kuchni. Ale za to był biczem bożym na żydów, ilekroć majora na ulicy z puzderkami towaru zaczepiali, i skakał do oczu ulicznikom, którzy go gwizdaniem drażnili, lub schylaniem się do ziemi, niby po kamień, wrażliwe jego nerwy rozstrajali.

Pan i pies tworzyli nierozłączną parę. Nikt w mieście majora bez Kastora nigdy nie widział, wskutek czego złośliwy profesor języków starożotnych twierdził, że majorowi na imię musiało być koniecznie Polluks.

Jedna z celek majora wyglądała jak istna zbrojownia; pełno tam było różnego kalibru karabinków, szabel, serpentynek i pistoletów. Wieczorem, gdy ptaki i króliki

już posnęły, major kolejno lustrował mały swój arsenalik, czyścił broń i doprowadzał szable do srebrzanego prawie połysku.

Właśnie w chwili, gdy się ulubionemu oddawał zajęciu, dały się słyszeć na kurytarzu kroki, szuranie rękoma po ścianach, wreszcie ktoś we drzwi celki majorowej zastukał.

Staruszek mimowoli chwycił za pistolet, a Kastor zawarczał i podczołgał się pode drzwi, wietrząc przybysza przez szpary.

Zapukano po raz drugi.

— Kto tam? — spytał gospodarz.

— To my, drogi wuju... Piętkowie.

— Aaa! — odrzekł major, zmieszany nieco tą późną wizytą. — Zaraz mopanku, zaraz... Kastor, waruj!.. Zaraz... już idę....

Pogładziwszy wąsików i faworytków, nastroszył czuba, czamarkę dopiął, i z kijkiem w ręku posztykutał do drzwi.

Ledwie rygle odsunął, drzwi się rozwarły na oścież, a pani Barbara leżała już u nóg jego.

Kastor szczekał przeraźliwie.

— Co to... u stu piorunów!.. — krzyknął staruszek, chwytając się drzwi oburącz. — Puśćże mnie mopanku, bo się przewrócę... Kastor, leżeć! Puszczaj Basiu, do milion kartaczy!.. wszak ja tylko na jednej nodze stoję... Co się stało... u krocset bomb i granatów?..

— Ratuj moje dziecko! — krzyknęła rozpaczliwie matka, której płacz mówić już więcej nie dawał.

— O co chodzi? Panie Piotrze, gadajże u pioruna!

Piętka stał niemy, mocno rozrzewniony łzami biednej połowicy.

— Wszystko ci, majorze, opowiem, ale niech ona wraca do hotelu. Prosiła na wszystko, aby cię zobaczyć mogła; ustąpiłem, — widzę, żem źle zrobił. Wracaj, Basiu, do syna; sam on tam został w hotelu. Ja się tu z majorem naradzę.

— Byleście mi dziecka nie zgładzili! — łkała pani Barbara, całując rękę starca.

— Kobieto bezrozumna! — odparł major, — cóż to ja Herod na dzieci?

— Basiu, do hotelu, marsz! — zakomenderował Piętka. — Pamiętaj na obietnicę.

Z widocznym wysiłkiem, chwiejąc się na nogach, pani Barbara opuściła celę.

Piętka w krótkich słowach streścił majorowi rzecz całą. Opowiedział awanturę z Pieprzykiewiczem, nie szczędząc gorzkich epitetów swemu gagatkowi; opisał wreszcie wizytę Figowskiego z synem Pieprzykiewicza, i zakonkludował prośbą o pomoc w tej sprawie.

— Hm! do stu piorunów! — odrzekł major. — Twój Waluś wart nauczki, wart kulki, choćby tylko w pośladek... Chętnie mu, mopanku, pomogę do rozprawy, bo i cóż robić?.. W tych materyach my wojskowi wiemy co i czem idzie... Ale znów ta Basia?.. broń czego Boże... ojej!.. zemrze mi tu!..

— To więcej, niż pewna — westchnął Piętka.

— A jednak, do miliona bomb! trza coś zrobić. Sprawa gardłowa; tak jej zostawić nie można...

— Tembardziej — dodał Piętka, — że Figowski i Pie-

przykiewicz nie mogą znaleźć sekundanta, któryby ci stanął do pary...

— O! wierzę... wierzę... — zaśmiał się staruszek: — kogożby oni mieć mogli? Korzennika jakiego lub winiarza, a w najlepszym razie farmaceutę lub pocztmistrza... Z tych żaden pistoletu nabić nie potrafi, a i w rękę go ze strachu nie weźmie.

— Do ciebie też, drogi majorze, prośba, abyś sam drugiego sekundanta wybrał, i rzecz całą uczciwie, po bożemu poprowadził.

— No, pomyślę ja... pomyślę... mopanku... A wiesz co? — dodał po chwili: — ruszaj zaraz po Szabelskiego. Zastaniesz go na szachach w cukierni obok poczty. Niech jutro raniutko do mnie przyjdzie.

— Czy i ja razem być tu mogę?

— Nie, mopanku — odrzekł major, — naradzić się sami musimy. Ojciec mógłby nam bróździć.

— Idę więc — rzekł Piętka, żegnając majora i śpiesząc do Szabelskiego.

Nazajutrz rano stawił się drugi sekundant w celi.

Był to także ex-wojskowy, towarzysz broni majora, choć nieco od niego młodszy, — figura pocieszna, srogą udająca powagę... w gruncie rzeczy człowieczek dobry, jowialny, rzadkiej wesołości, dowcipu i dobrego humoru.

Radzili długo sam na sam. Chwilami major wybuchał, klął od bomb, granatów i kartaczy; Szabelski śmiał się, perswadując... Nareszcie skończyli obydwaj, widocznie na jakichś dawnej daty facecyjkach, śmieli się bowiem tak serdecznie, że jeden i drugi oczy od łez ocierali.

Termin spotkania naznaczono na dzień następny, po

wschodzie słońca, w lasku o godzinkę drogi od miasta odległym.

Waluś noc całą oka nie zmrużył; fantazya i buta opuściły go zupełnie. Wszystkie *frajdy, facety* i *nury* odleciały go gdzieś daleko; mówił poważnie, był skruszony do głębi; a widok matki, tonącej we łzach i modlącej się gorąco na różańcu, dokonał dzieła odrodzenia.

Piętka dodawał mu siły. Syn błagał ojca o przebaczenie i ślubował zupełną poprawę, jeśli mu Pan Bóg życie ocalić pozwoli.

— Módl się i ufaj... a w postanowieniu wytrwaj! — szeptał mu wzruszony ojciec, któremu nie jedna łza ukryta spłynęła po wąsach.

Nie weselszą też noc spędzili Pieprzykiewicz junior i Figowski. Pierwszy dodawał sobie animuszu ciągle dymiącym się ponczykiem; drugi odurzał się papierosami, z których kilka pudełek za jednym zamachem wykurzył. Chodzili po pokoju wzdłuż i poprzek, nie mówiąc nic do siebie. Figowski był struty do szczętu, bo go Wikta przy pożegnaniu szorstko od siebie odtrąciła.

— Waćpan to jesteś sprawcą wszystkiego — wymawiała mu z goryczą. — Wyście to rzecz całą rozgłosili; wyście to z moim bratem wywołali ten pojedynek, w którym pan Walenty ofiarą paść może. Gdyby nie wy obadwaj, on sam byłby się opamiętał, byłby padł ojcu do nóg, byłby go święcie przebłagał, a światby o całem zajściu nic wiedział... Oświadczam panu kategorycznie — dodała z niezwykłą stanowczością, — że ja mu nigdy wzajemną nie byłam i nie będę... Walusia tylko kochałam, i jemu poza grobem nawet wierną pozostanę!

Nad ranem biedna dziewczyna wymknęła się cichaczem do hotelu. W numerze przez Piętków zajmowanym, uroczysta panowała cisza — gotowano się do wyjazdu na metę. Wikcia, piękna młodością, a czarująca wyrazem głębokiej rozpaczy, wpadła jak szalona do pokoju.

Na jej widok Waluś pobladł i zadrżał. Spojrzeli na siebie; w tem spojrzeniu malowała się cała boleść, a i przywiązanie obojga. Prawie bezwiednie rzucili się sobie w objęcia.

— Ja to nieszczęśliwa jestem powodem wszystkiego! — zawołała dziewczyna po chwili, rzucając się matce do nóg. — Wybaczcie mi! Kiedy już się inaczej stać nie może... ślubuję wam tutaj, że w razie nieszczęścia, klasztor będzie mojem schronieniem... A gdyby Bóg dał mu wyjść cało — dodała, wskazując na Walusia, — może mi wtedy przebaczycie, bom ja go tak kochała!..

Płacz dziewczyny, nie dający jej więcej mówić, rozbroił oboje Piętków. Przycisnęli ją, jak córkę, do łona. Matce usta drgały ze wzruszenia; staremu łzy toczyły się grochem po twarzy i osiadały na wąsach. Wtem nagle zaturkotała kareta, zatrzymując się przed hotelem.

— To major! — zawołał Waluś.

— Schodźmy co prędzej — rzekł Piętka, — bo on po schodach nie wejdzie, a dać mu czekać nie możemy.

Jednym przeciągłym uściskiem i błogosławieństwem na drogę, pożegnały obiedwie kobiety odjeżdżającego Walusia, a w chwilę potem, kareta, wioząca majora i Piętkę z synem, znikła im z oczu.

Obie padły na kolana i w głębokiej utonęły modlitwie.

* * *

W ciemnym, sosnowym lesie, przeświecającym gdzieniegdzie białemi brzózkami, na niewielkiej haliznie, stał już powóz, a niedaleko od niego przechadzali się w zamyśleniu Figowski i Pieprzykiewicz. W powozie drzemał niewyspany doktor, trzymając oburącz puzderko z przyrządami opatrunkowymi. Pod drzewem, oparty plecami siedział stary Szabelski, kurząc spokojnie fajeczkę.

Pieprzykiewicz spojrzał na zegarek.

— Siódma — rzekł do towarzysza, — kto wie czy się stawią?..

— Oj, dobrzeby zrobili! — szepnął Figowski. — Ty przynajmniej strzelasz się za ojca... ale ja... dureń... jakby to powiedzieć?.. wlazłem, jak Piłat w *kredę*.

Figowski nie był mocny na punkcie łaciny.

Nagle zaturkotało w lesie.

— Jadą!! — zawołał Szabelski, podnosząc się raźnie, mimo swoich siedmiu krzyżyków. — Słyszycie panowie turkot?

— Ehe!.. — odrzekł Pieprzykiewicz. — Bodaj karku nakręcili! — szepnął w duszy.

— A żeby ich... jakby to powiedzieć?.. dyabli wzięli! — mruknął pod nosem Figowski.

W niespełna pięć minut, major z nieodstępnym Kastorem i Piętka z Walusiem, stanęli na haliznie.

— Doktor jest? — spytał major.

— Jest, — odrzekł Szabelski. — Zdrzemnął się w karecie, całą noc nie spał.

— A to czemu?..

— Odbierał przybyłego na świat obywatela...

— No, to ma teraz prawo wyekspedyowania drugiego *ad patres!*

Pieprzykiewicz i Figowski spojrzeli na majora piorunującym wzrokiem. Widać było, że im ten niewczesny koncept nie trafił do smaku.

— Obudź go! — dodał major: — czas nagli, mopanku...

Szabelski, bez wielkich ceregielów, potrząsnął śpiochem. Doktor przerając okularów, wylazł niechętnie z karety, i powitał uprzejmie przybyłych.

Po wymienieniu wzajemnych ukłonów, major chrząknął i splunął.

— Mości panowie — rzekł do stawających, — sprawa wasza, mopanku, bardzo ważna, obelga ciężka, więc zadośćuczynienie ciężkie i kompletne być musi. Honor wasz, mopanku, złożyliście w nasze ręce; nie proponujemy wam zgody...

— Czemu nie?.. — zapytał Figowski.

— Dlatego, że sprawa taka, mopanku, na drodze zgody załatwić się nie da... i jak słusznie panowie twierdzili, krew tylko obelgę taką zmyć może.

Figowski i Pieprzykiewicz spojrzeli po sobie; bledsi byli niż kora bielejącej tu i owdzie brzeziny. Waluś stał w poważnem milczeniu; Piętka ujął go był pod ramię.

— Mają się tu odbyć dwa pojedynki — ciągnął dalej major; — źle mówię, mopanku, dwóch was chciało się bić z jednym panem Walentym. Że jednak dwie szanse byłyby po waszej stronie, co znów byłoby pewną niesprawiedliwością, uradziliśmy więc z sekundantem waszym, zacnym kapitanem Szabelskim, taką formę pojedynku,

abyście się wszyscy trzej załatwili za jednym zamachem... to jest pojedynek amerykański.

— A-me-ry-kań-ski? — szepnęli Figowski i Pieprzykiewicz.

— Tak jest: ame-ry-kań-ski! — powtórzył za nimi major; — najlepsze to, bo losom wszystko powierza, a losami ludzi Bóg rządzi.

To rzekłszy wydobył ze starych olster trzy pistolety; dwie świeżo ulane kulki wyjął końcem palców z blaszanej puszki; zwolna wsypał prochu do pary pistoletów, zaczem wpuścił po jednej kulce, a osadziwszy kapiszony, rozłożył oba pistolety nabite, a trzeci próżny na pudełku.

— A teraz — zakomenderował, — odwrócić się, mopanku, plecami i losem ciągnąć pistolety!

Waluś podszedł, — Pieprzykiewicz postąpił krok naprzód, ale się zatrzymał, — Figowski z miejsca się nie ruszył.

— A co potem? — trwożnie spytał majora.

— Potem... każdy sobie w gębę wystrzeli: komu los da pistolet nienabity, ten wyjdzie cało; dwóch kozła przewróci.

— Ależ to morderstwo! — zawołali Figowski i Pieprzykiewicz.

— Majorze! — szepnął Piętka drżący i zmieszany, — twoja obietnica.

— Milczeć! — krzyknął gromko stary wiarus, opierając się na laseczce, a drugą ręką znacząco ściskając Piętkę.

— Ciągnij, — rzekł ojciec do syna.

Waluś blady, ale jak automat posłuszny, wybrał pistolet.

— No, panowie! — zawołał Szabelski do Pieprzykiewicza i Figowskiego, — ciągnąć do krocset dyabłów! bo nie... to ja sam któremu w łeb wypalę!.. Sekundant odpowiadać musi za tchórzowstwo swoich paukantów.

Pieprzykiewicz porwał za pistolet z widocznym wysiłkiem.

Figowski, blady jak trup, dostał czkawki.

— Baczność! — zakomenderował major, — lufy w gębę! na komendę: trzy — strzał!!

Waluś ujął lufę w usta; trząsł się nieborak na całem ciele.

Pieprzykiewicz oparł ją na wardze; zęby kłapały mu, jak w febrze.

Figowski trzymał pistolet tak samo, z mocnem postanowieniem odwrócenia lufy w bok w chwili zakomenderowanego strzału!

Cisza nastała śmiertelna; słyszeć prawie było można uderzenia trojga serc... Piętka szeptał: „Pod Twoją obronę...“ Doktor oko zlekka przymrużył... Znać było, że się coś niezwykłego gotuje.

Nieliściwy major wytrzymał ich tak przez całe sekund sześćdziesiąt.

— Baczność! — zawołał wreszcie: — raz, dwa, trzy!!!..

I rozległ się niby huk wystrzałów, ale tak słaby, głuchy, że od razu pozwolił domyślić się figla. W ślad też za nim zabrzmiał donośny śmiech doktora i obudwóch sekundantów.

Figowski leżał na ziemi, Kastor obwąchywał go do koła.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Dwaj pozostali chwycili się za usta.

— Co ci?! — spytał Piętka, przybiegając do syna.

Ale Waluś i Pieprzykiewicz spluwali tylko straszliwie. Z ust dobywała im się posoka, gęsta i czarna, jak smoła.

— Ratujmyż poległego! — zawołał major, śmiejąc się i podbiegając do Figowskiego. — On jeden padł, choć miał pistolet nienabity!

Doktor wydobył anodyn i cucił omdlałego z przestrachu.

— Macie smyki wodę miętową do przepłókania gęby — rzekł major, podając manierkę Walusiowi i Pieprzykiewiczowi, którzy ją czemprędzej do ust ponieśli, dla pozbycia się obrzydliwego smaku.

— Co to było?! — spytał Pieprzykiewicz po chwili — co to za kulki?

— Jacy rycerze, takie kule! — odrzekł major. — Cóż to? wy, smyki, myśleliście, że ja was tak gładko na tamten świat wyprawię?!.. Za awanturę dość było napędzić wam Pietra. Kule były zrobione ze starego tłuszczu i obmazane szarym smarem, żeby koloru ołowiu nabrały; do pistoletów zaś wsypano tylko po parę ziarnek prochu, żeby wam gęby nie obrazić... A teraz, zażywszy strachu nie mało, ty, smyku! — rzekł do Walusia, — przeproś syna za krzywdę ojcu wyrządzoną, a stąd marsz prosto do jego ojca, razem z twoim rodzicem, na przeprosiny.

— Pojedzie ze mną w te pędy — zapewniał Piętka, tylko się biednej matce pokaże... Oka całą noc nie zmrużyła.

Waluś skruszony do głębi, rzucił się Pieprzykiewiczowi

na szyję. Przeprosiny, choć krótkie, ze szczerego serca płynęły.

Tymczasem, podniósł i Figowski, tylko... jakby to powiedzieć?... coś mu się przytrafić musiało, bo nogi trochę nierówno stawiał.

Kastor, jak gdyby dziczyznę zwęszył, nie opuszczał go na chwilę.

— A teraz — zakomenderował major, niech o tym żarcie nikt nie wie! Gdyby którego z was pytano, niech łże śmiało, że pojedynek odbył się jak należy, ale żeśmy was po pierwszym strzale rozbroili. Rozumiecie?..

— Rozumiemy! — odrzekli trzej bohaterowie, zadowoleni w duszy z takiego obrotu rzeczy.

W kilka minut potem halizna leśna znów była pustą, jak przed tem, las szumiał pieśnią starą, tajemniczą, a turkot odjeżdżających rozpłynął się zwolna w przestworzu.

* * *

Na pryncypalnej ulicy miasteczka, w pobliżu najwyższej magistratury miejscowej, a w bezpośredniem sąsiedztwie sławetnej municypalności miejskiej, istniał od niepamiętnych czasów tak zwany *„Handel win i korzeni“*.

Dziś nazwa taka do archeologii już tylko należy; zwykle bowiem obok handlu win widnieją na szyldach delikatesy i likiery... śniadania *à la fourchette... dépôt* cygar hawańskich i towarów kolonialnych... ostrygi, ryby morskie inne tym podobne dziwolągi.

Dawniejsze szyldy ograniczały się tylko na winach

i korzeniach — ale za to wina były jak łza czyste i niefałszowane, a w kategoryi korzeni znajdowałeś najświeższe bakalie, śnieżnej białości cukry owsiane i lodowate, konfitury kijowskie, szynki westfalskie, słynne swego czasu (przed wynalezieniem kolei żelaznych) śledzie pocztowe, stokfisze kapucyńskie, sardynki i inne zamorskie produkta.

I była też w onych starych sklepach obfitość wszystkiego i wyborowych gatunków towary... a wszystko skromne, uczciwe, bez blichtru i blagi.

Sama izba sklepowa, od sklepionych murów tak nazywana, nie bieliła się marmurami, nie błyszczała sutem obiciem, ale jakąś szarą, posępną odznaczała się powagą. Na rogach ścian zwykle spokojny pająk snuł sobie siatkę misterną, bo jej pan kupiec, przesądny w tej mierze, za nic w świecie obmiatać nie pozwalał.

Dokoła ścian, zamiast złocistych gzemsów i rzeźbionych gablotek, piętrzyły się stare szafy sosnowe, na brunatny kolor pomalowane; a z nich, wystawały setki szufladek, mieszczących w sobie wszystko, co nam dalekie świata kolonie ze swoich przetworów przysyłały. Na półkach piętrzyły się dziwacznych kształtów butelki, napełnione przeróżnym trunkiem; strzelały w górę śnieżne głowy cukru, nie będącego podówczas w takiej jak dziś poniewierce; kraśniały stosy pomarańcz, niby kule armatnie ułożonych.

Wśród całej tej poważnej rzeszy, uwijał się za długim sosnowym kontuarem sam pan pryncypał, w szaraczkowy zwykle garnitur od stóp do głowy przystrojony; a przy nim cała armia subjektów, w takiegoż koloru kurtkach,

zwinna, uprzejma, ruchliwa. I nie mogła być ona inną, bo pan pryncypał trzymał to wszystko w ryzie, komenderował ostro... nic nie przepuszczał, a gdy się który gościowi przy wadze lub mierze naraził, to ucha naderwał i czupryny nadarł, a wszystko zgodnie, pięknie i bez hałasu, jak pozwalał obyczaj stary.

Za sklepem mieścił się zwykle pokój dla gości, oddzielony szklanemi drzwiami, a zasłoniony zieloną tyftykową firanką, z poza której ucztujący z gośćmi pryncypał, zerkał kiedy niekiedy na podkomendnych.

Pokój taki różnił się także o całe niebo od dzisiejszych tak zwanych *gabinetów,* kapiących fałszywem złotem i lśniących pseudo-srebrną zastawą. Miejsce kosztownych obić zastępowała tam zwykle skromna klejowa malatura. Na szarem kamiennem tle artysta rzucił przez blaszane formy kilkanaście niebieskich kresek i gzygzaków, naśladujących kwiatki i listki; pod sufitem odrysował ciemniejszą linijkę; od dołu prysnął pendzlem kilkakrotnie, nadając lamperyi pozór granitu lub spękanego marmuru; na suficie odcyrklował kółko, w którem umieścił jakąś gwiazdkę lub kwiatek, którego nazwy samby się Linneusz nie domyślił... ot i wszystko!

Zamiast marmurowych stolików i wyniosłych fotelów, stały tam sosnowe, na kapucyński kolor pomalowane stoły i takież zydelki, przypominające do złudzenia refektarz klasztorny; było też jedno lusterko wykrzywiające gościowi gębę do niepoznania; wreszcie parę obrazków z wesołego żywota mnichów dopełniało umeblowania skromnej izby. A jednakże, gdy około południa żołądki członków sławetnej municypalności lub przedstawi-

cieli najwyższej magistratury sądowej, zaczęły się praw swoich dopominać, wrzało w onej izbie, jak w ulu. Subjekci uwijali się z bibułami i talerzami w ręku, jeden niosąc dymiące flaki, drugi kiełbasę z kapustą, trzeci rozciągniętego śledzia, czwarty jakąś trzęsącą się marynatę. Wokoło pukały porterówki; złocista piana wznosiła się ponad brzegi szklaneczek, osadzając się zwolna, nasamprzód na szkle, a później na ustach smakoszów, pożądliwie mlaskających wargami...

Takie bywały wszystkie bez mała handle ówczesne; nic więc dziwnego, że i handel pana Pieprzykiewicza ani na jotę od nich się nie różnił.

Gospodarz — człek wielce gościnny, a o renomę firmy mocno dbały, — przechadzał się zwykle między stolikami, witając znajomych gości i zapytując uprzejmie: czy im podane produkta jak należy do smaku przypadły?

Trafiało się też często, że przysiadał się do stolika, przy którym serdeczniejsi raczyli się bywalcy; a wtedy, w ślad za gospodarzem, zjawiała się na stole omszała jaka butelczyna, zdala trącąca myszką i cudnym aromatem napełniająca pokój gościnny. Był to wynik i serdecznej gościnności, i dobrze zrozumianego interesu... Widok bowiem złocistego nektaru, grubej *obrączki* i woń prawdziwie wykwintnego *bukietu,* tak kusząco oddziaływały na innych smakoszów, że mimo projektowanego ograniczenia się do szklaneczki porteru, wszyscy jeden za drugim z kolei, wskazując na ową omszałą flaszkę, kazali podawać sobie buteleczkę „tego samego“, i raz pokosztowawszy nektaru, godzinami potem rozstać się już z butelczyną nie mogli.

Od kilku dni jednak z owego gościnnego pokoju inna jakaś wiała atmosfera. Gości było, jak nabił, ale rozmowy toczyły się cicho i tajemniczo. Bywalcy szeptali coś sobie na ucho, zerkając z podełba na samego Pieprzykiewicza, który wprawdzie kręcił się dla zwyczaju między gośćmi, ale chmurny, posępny i zamyślony.

— *Poedają*, że mu córkę świsnął — szeptał aptekarz do ucha sędziemu, oddawna siedzącemu na emeryturze.

— Świsnął, nie świsnął — odparł sędzia, — nikt przy tem nie był.

— Ba, ba!.. ja nawet gorzej słyszałem — dodał rewizor tytuniowy. — Widziano ją zrana o piątej zapłakaną, bez kapelusza, uciekającą za miasto.

— Czy razem z Piętką? — spytał aptekarz.

— Nie; samą jedną... — odrzekł rewizor.

— Hm! — wtrącił sędzia, — jeśli ją widziano, to już początek dowodu... Piętka mógł na nią czekać za miastem...

— Albo też — zauważył rewizor — mogła lecieć do rzeki w jakim samobójczym zamiarze...

— Wszystko głupstwo! — ozwał się stentorowym głosem pan burmistrz o czerwonym kołnierzu i jeszcze czerwieńszym nosie; — moi ludzie mają tę sprawę na oku... Co do Walusia, miałem raport, że wyjechał w najlepszej komitywie z Pieprzykiewiczem, całowali się przed domem i stary mu sam drzwiczki od powozu zatrzasnął...

— Mniejsza z tem — rzekł aptekarz; — ale co do Wikty?..

— I Wiktę mają moi ludzie na oku... Właśnie dziś

złożono mi raport, że Wikta kupowała oskubaną kaczkę na targu...

— Kiedy? — spytał aptekarz.

— Wczoraj.

— To twoi ludzie zełgali!...

— Bardzo pana proszę!..

— Ale zełgali i basta! — oponował dalej, — bo wczoraj moja żona cały targ obleciała, i ani jednej kaczki nie było...

— No, to może kupowała kurę! — zawołał obrażony burmistrz.

— A no... jeśli twoi ludzie kury od kaczki nie umieją odróżnić... to ciekawym, jak rozróżnią złodzieja od porządnego człowieka?...

— Bardzo pana proszę! bez tych wszystkich!... — krzyknął urażony już na dobre przedstawiciel sławetnej municypalności. — Fakt jest, że Wikta coś kupowała; a skoro kupowała, więc jest... a skoro jest, więc jej nikt nie wykradł! — zakonkludował wzburzony, dolewając sobie drżącą ze wzruszenia ręką i tak pełną szklaneczkę porteru.

Przy drugim stoliku również tajemnicza toczyła się rozmowa.

— Pieprzykiewicz od dwóch dni dyablo spaszował — szeptał sekwestrator.

— Chodzi, jak struty! — dodał poborca.

— Cóż dziwnego? — odparł takim samym głosem kontroler, — stracić jedynaka, to nie bagatela...

— Jakto stracić? — zapytali towarzysze butelki.

— A no... stracił go w pojedynku.

— Co?.. gdzie?.. jak?..

— Co... gdzie... jak... tego nie wiem — ciągnął kontroler, — ale to wiem, że zabity...

— To nie może być! — zawołał oburzony sekwestrator. — Kręcę się ciągle po wsiach, bo teraz nikt dobrowolnie nie płaci... jeżdżę po wszystkich traktach i wertepach, byłbym przecie coś słyszał... A skoro ja o niczem nie wiem, to nie może być prawdą!

— Kiedy ja mówię, że zabity, to zabity! — zawołał kontroler, uderzając pięścią w stół...

— Ciszej, na Boga!.. — szepnął poborca. — Ojciec gotów usłyszeć.

— Wcześniej, czy później dowiedzieć się musi.

— A skądże pan kontroler ma tę wiadomość? — spytał z przekąsem sekwestrator.

— Od doktora, który był przy pojedynku.

— Cóż opowiadał?

— Nic nie opowiadał, tylko na zapytanie moje ręką machnął...

— No, to jeszcze niczego nie dowodzi.

— Owszem... dowodzi!.. bo jak nasz doktor ręką machnie, to już z pewnością paszport na tamten świat podpisał.

— Hm! — mruknął poborca, — trzaby to sprawdzić.

— Dziś zaraz sprawdzę! — dodał, wstając sekwestrator.

— Jakim sposobem?

— Ciotka naszej kucharki służy u Pieprzykiewicza, — poszlę ją zaraz na zwiady... przez sługi naprędzej się dowiemy.

I nim się dwaj pozostali towarzysze opatrzyli, sekwestrator już był w drodze do domu.

Gdy tak owe szepty tu i owdzie głucho krążyły, do pokoju wbiegł zdyszany chłopiec sklepowy. Jednym susem znalazł się przy Pieprzykiewiczu, odciągnął go na stronę i coś mu szepnął do ucha.

Pieprzykiewicz pokraśniał; sine prawie rumieńce pokryły owalną twarz jego; oczy mu się zaiskrzyły, brwi namarszczył, czuba nastroszył, — i pędem wybiegł do sklepu, gdzie nań czekali dwaj Piętkowie.

Cisza tam zapanowała, jakby mak siał. Za kontuarem stali nieruchomie subjekci, patrząc z podełba na byłego towarzysza niedoli. Waluś czapkę w ręku miętosił. Stary przedeptywał z nogi na nogę, nerwowo targając wąsa.

Ujrzawszy Walusia, Pieprzykiewicz zatrząsł się. Już miał gromem wybuchnąć, gdy naraz spostrzegł starego Piętkę. Widok zmieszanego starca powstrzymał go w zapędzie. Spojrzeli sobie w oczy. Piętka pierwszy przerwał milczenie.

— Czy nie moglibyśmy pomówić na osobności? — zapytał, kłaniając się uprzejmie.

— Ale tylko we dwóch! — odparł Pieprzykiewicz szorstko.

— Obecność jego jest konieczną — rzekł Piętka, wskazując na syna. Pozwól pan! — dodał błagalnie.

— Hm!... to proszę za mną! — mruknął po chwili namysłu, wskazując na drzwi prowadzące do jego prywatnego mieszkania.

Na odgłos dzwonka, Wikcia odsunęła rygielek i uchyliła drzwi. Ujrzawszy Piętkę z Walusiem, zachwiała się

na nogach, wydając okrzyk tak przeraźliwy, że Pieprzykiewicz chwycić ją musiał oburącz.

Wikta pobladła śmiertelnie, wargi jej drżały, jak w febrze.

— Co ci dziewczyno?... co ci jest? — pytał przerażony ojciec.

— Gdzie brat mój? — szepnęła zaledwie dosłyszalnym głosem.

— A skądże oni wiedzieć mogą?... dziecko!... skoro ja ojciec nic nie wiem.

— Wiedzą — powtórzyła, spuszczając głowę na piersi.

— Brat twój żyje! — zawołał Piętka, chwytając ją za rękę.

— Żyje?! — powtórzyła radośnie.

— Za chwilę mieć go tu będziesz.

— Skąd wiecie, gdzie jest?! — spytał gwałtownie Pieprzykiewicz.

— Nie ranny? — dodała równocześnie Wikcia.

— Zdrów zupełnie! — odrzekł Piętka.

— O dzięki Ci, Boże! — zawołała, składając ręce.

— Co to jest?... co to wszystko znaczy?! — pytał zdziwiony ojciec.

— Widzę, że pan nic nie wiesz — rzekł poważnie Piętka. — Pozwól, że cię objaśnię o wszystkiem, co zaszło... Ale przedewszystkiem, ty smyku, na kolana!! — krzyknął do syna.

Waluś rzucił się plackiem przed osłupiałego Pieprzykiewicza i chwycił go za nogi.

— Zgrzeszył ciężko! — mówił dalej Piętka, — ale też

i ciężko żałuje swego nierozważnego czynu, jakiego się względem pana dopuścił.

— Oho, ho! — przerwał Pieprzykiewicz, przychodząc do siebie, — ten czyn za łagodnie mianujecie... To nie była nierozwaga... to była zbrodnia!... grzech!... podłość!. mocipanie!...

— Nazwij, jak chcesz, panie Pieprzykiewicz, ale jako dobry chrześcijanin, przebacz grzesznikowi pokutującemu... Zażył on strachu niemało... synowi twemu stanął do pojedynku...

— Do pojedynku?!... — więc to mój syn pojechał strzelać się za mnie?

— Tak jest! — odrzekł Piętka.

— A ja głupiec rewidowałem kasę!... — zawołał, uderzając się w czoło; — posądzałem go, że drapnął.... że zaufania mego nadużył, gdy on życie za mnie narażał!

— Ujął się, jak na syna przystało — zauważył Piętka.

— Chwat chłopak! niech mnie dyabli wezmą! — dodał z dumą Pieprzykiewicz. — I dobrze się rozprawili?

— Hm... naturalnie... — wykrztusił Piętka, nieumiejący kłamać.

— Nie ranni?

— A nie... wyszli cało... Sekundanci rozlew krwi powstrzymali...

— Chwat chłopak!... ot co znaczy krew Pieprzykiewiczów! — zawołał kupiec z butą iście szlachecką.

— Przebacz więc memu synowi...

— Przebacz pan! — wyjęknął klęczący ciągle Waluś, któremu już kolana mdleć zaczynały.

— Wstawaj! — zawołał Pieprzykiewicz, unosząc go

zlekka. — Ja ci przebaczam z uwagi na ojca, i na tę morderczą rozprawę waszą... Katolikiem jestem... Dziś jak raz byłem u spowiedzi, na intencyę mego syna, o którego się od dwóch dni gryzę i niepokoję... Choćbym więc chciał, gniewać się dłużej nie mogę, skorom przyjmował Komunię świętą. Ale ty, chłopcze, nietylko mnie obraziłeś... wystawiłeś reputacyę Wikty na szwank... całe miasto wrzało od plotek... nie wiem, czy ona ci przebaczy.

— Przebaczy — szepnął Waluś, spoglądając czule na Wikcię.

Dziewczyna za całą odpowiedź ścisnęła mu rękę i niemym gestem dała potwierdzenie...

— Ale plotki plotkami zostaną i krążyć będą... zwłaszcza po onej maskaradzie.

— Jest na to sposób — rzekł, uśmiechając się Piętka: — pożenić ich, a plotkarzom gębę się zamknie.

— Pożenić?... — spytał zdziwiony Pieprzykiewicz. — Wikta?...

Dziewczyna rozpromieniona radością, rzuciła się ojcu do kolan, następnie na szyję, i tak go całować jęła, że staremu oczy na wierzch wylazły...

— Wikta!... na rany boskie!... puszczaj!... udusisz mnie!...

— To tak z radości... — zauważył Piętka.

— O tak, mój ojcze! — powtórzyła Wikcia, — uszczęśliwisz nas oboje twem zezwoleniem.

— Synem ci będę! — błagał Waluś, całując go w rękę.

— Przyjmij go za zięcia, panie Pieprzykiewicz — prosił Piętka; — ja ci poświadczyć mogę, że się kochają szczerze a uczciwie. Chłopak się ustatkuje, osiądzie przy mnie na wsi, i cieszyć się będziemy ich szczęściem.

Pieprzykiewicz zadumał się na chwilkę. Myśl, że będzie miał zięcia dziedzica i z herbowym sygnetem na palcu, uśmiechnęła się kupcowi; z tej bowiem słabostki długo się jeszcze miejskie filistry nie wyleczą. Już miał się zdobyć na odpowiedź, gdy nagle drzwi się rozwarły, i do pokoju wpadł syn jego Gracuś, a za nim ukazał się i Figowski.

Ujrzawszy ojca, syn rzucił mu się w objęcia. Długo pozostali w niemym uścisku.

— Wiem o wszystkiem! — rzekł stary. — Sprawiłeś się gracko, mój chłopcze. W nagrodę podwajam ci pensyę, i od jutra daję ci prokurę.

— A ze mną cóż się stanie? — spytał Figowski z obawą.

— Nic to twoim prawom nie ubliży — odrzekł Pieprzykiewicz: — będziesz, tak jak dotąd, współprokurentem. A teraz wiedz o tem Gracusiu, że pan Walenty zdołał mnie przeprosić.

— A, to dobrze! — zawołał adwersarz, ściskając przeciwnika.

— Co gorsza — dodał Pieprzykiewicz, — by winę swą zmazać całkowicie i względem mnie i względem mojej córki, prosi o rękę Wikty...

— Brawo!—krzyknął radośnie Gracuś, klaskając w ręce.

— Jakto?...—szepnął Figowski pryncypałowi od ucha;— zdawało mi się, że mogę mieć pewną nadzieję... jakby to powiedzieć?... zrobioną niegdyś przez pana...

— Widzisz mój Figusiu... Waluś życie swoje narażał, byle grzech zmazać...

— No, i ja życie narażałem.

— Jakto! strzelałeś się?...

— Ecc!... to jest... jakby to powiedzieć?... strzeliłem niby... także...

— Z armaty! — szepnął złośliwie Gracuś.

— Wyperswaduj pan sobie te romanse, — rzekła Figowskiemu do ucha nadbiegła panna Wiktorya.

— Cóżem zawinił?..

— Wikta decyduje w tej sprawie, i to w ostatniej instancyi! — zawyrokował Pieprzykiewicz, któremu koligacya ze staroszlacheką rodziną coraz się więcej uśmiechała. — A że raz zdeklarowała się za Walusiem, więc ty, Figosiu, pociesz się i szukaj gdzieindziej...

— Znajdziesz, znajdziesz! — pocieszał go Gracyan. — Ot, zaraz niedaleko szukając, aptekarzówna...

Zapanowała radość ogólna. Wszyscy ściskali się wzajem, z wyjątkiem Figowskiego, który zamyślił się w istocie nad aptekarzówną, stanowiącą jedną z lepszych partyi w mieście.

— A więc pobłogosław im, kochany panie Pieprzykiewicz, — rzekł Piętka.

— Aktu tak ważnego dopełnić nie mogę na sucho... Siadajcież sobie, wszystko się zrobi, jak Bóg przykazał, ale przy buteleczce z przed półwieka, którą chowałem na zaręczyny mojej jedynaczki. Siadajcie: trzeba dziś, jak widzę, ową staruszkę odkorkować, oblejemy za jednym zachodem i zaręczyny mojej córki, i szczęśliwy powrót syna.

To rzekłszy, stary sam wybiegł do sklepu, porwał klucze do piwnicy, i po chwili, uradowany, rozpromieniony i szczęśliwy, wracał z dwiema butelkami o długich bocianich szyjkach, z których sute szare zwieszały się brody.

Siedzący wciąż jeszcze przy stolikach goście, poznać Pieprzykiewicza nie mogli. Z chmurnego i zamyślonego przedtem oblicza biła jasność i pogoda, biegł szybko, sadząc, jak młodzian, i nie oglądając się nawet na gości, którzy każdy krok jego śledzili.

— Co się z nim naraz zrobiło? — mówił aptekarz.

— Chyba prezydent ma racyę, — zauważył sędzia: — córka musiała powrócić...

— Ależ nie uciekała wcale! moi ludzie mieli tę sprawę na oku.

Równocześnie prawie wpadł do pokoju zadyszany sekwestrator.

— A co? a co... — pytali poborca i kontroler.

— Nieszczęście! — zawołał, ciskając się na krzesło i sapiąc piersiami ze znużenia.

— Co się stało? — krzyknęli równocześnie aptekarz i rewizor, podbiegając do sekwestratora.

— Gracuś Pieprzykiewicz zabity!

— Kto zabity?! — huknął wystraszony burmistrz.

— Pieprzykiewicz...

— Także tu był przed chwilą!...

— Ale nie ojciec... syn jego Gracuś! — krzyknął aptekarz.

— Co?... gdzie?...

— W pojedynku...

— Z kim?...

— Z młodym Piętką...

— Nie może być!...

— Jak Boga kocham! — klął się sekwestrator, — moja kucharka sprawdziła to na miejscu.

— Przecież tu stary Pieprzykiewicz biegł w najlepszym humorze.

— Nieszczęśliwy, nic jeszcze nie wie!

— Ale i moi ludzie nic jeszcze nie wiedzą! to nie może być!

— Od dwóch dni wyjechał z miasta i nie wrócił, — rzekł poborca.

— Ja to już wiem od wczoraj od samego doktora — dodał kontroler; — był przy jego zgonie.

— Rany Boskie! — krzyknął burmistrz — stracę miejsce, jeśli się o tem naczelnik od kogo innego dowie! — dodał, chwytając za kaszkiet.

— Gdzie prezydent lecisz? — pytali aptekarz sędzia. — Skończmyż butelkę.

— Pal ją dyabli! — zawołał zrozpaczony burmistrz, wybiegając do drzwi z kaszkietem na tył głowy odwróconym, — biegnę z raportem!

* * *

W miesiąc po opisanych wypadkach, Pieprzykiewicz wyprawiał gody weselne. Waluś zaślubiał Wiktę; drużbami byli obaj niedawni adwersarze, Gracuś Pieprzykiewicz z Figowskim, a od ołtarza prowadzili pannę młodą obaj sekundanci, stary Szabelski ze sztykującym majorem.

Po raz to pierwszy Kastor pozostał sam w domu...

Burmistrza na ślubie nie było; zawieszony bowiem w urzędowaniu wskutek fałszywego „dokładu“, rozchorował się był na jakąś dolegliwość, która mu na ceremonialniejsze zebrania uczęszczać nie pozwalała...

Bywalcy handlu pana Pieprzykiewicza, kontroler, poborca, sędzia, rewizor, aptekarz i sekwestrator, stawili się *in gremio* na uroczystość, mającą wydobyć z głębi piwnic owo słynne półwiekowe wino, na które się oddawna oblizywali.

Pani Barbara kręciła trochę nosem na koligacyę z Pieprzykiewiczami; ale widok odrodzonego Walusia i hożej synowej, ulgę jej w tem strapieniu przynosił.

Waluś, siadając do powozu, szepnął pannie młodej na ucho:

— No, Wikto... lepsza będzie teraz *frajda*, niż na owej maskaradzie... co?

Wikcia ścisnęła mu rękę.

— Nie mów już tym językiem Walusiu... bo na wsi to chyba nie uchodzi...

— Bądź spokojna... zobaczysz, jak się zmienię... A chętnie też na wieś pojedziesz?

— Z całego serca! — szepnęła mu czule, — bo będę z tym, który serce moje zdobył w ogniu.

— W ogniu?... — spytał zdziwiony.

— A naturalnie... w onym strasznym pojedynku...

— Nie przypominaj mi go! — rzekł Waluś, i dodał w duchu, spluwając przez okno: — Jeszcze do dziś dnia czuję ów przeklęty smak... amerykańskiego pojedynku.

BUCHALTERYA PODWÓJNA.

HUMORESKA.

Ne sutor ultra crepidam...

Dlaczego pan Ambroży Ciapuciński, radca honorowy, a więc w godności swojej, po trzydziestu latach służby, aż do IX-tej posunięty klasy... opuścił urzędowanie w najwyższej izbie obrachunkowej, — jest to tajemnica, na której dociekanie... marnych kilkaset wierszy niniejszej humoreski stanowczoby nie wystarczyło.

Faktem jest tylko, że pewnego pięknego poranku, kiedy słońce wykąpane w srebrzystej rosie, zajrzało wesoło między drzewa ogrodu Saskiego, kładąc kilkanaście smug świetlanych na pięknym zielonym trawniku, — pan Ambroży, który tylko co piątą swą szklankę wody krynicznej w wybornem usposobieniu wychylił, a pełną piersią łykał powietrze, o którego świeżości (mimo zaprzeczeń prasy) był jak najsolenniej przekonanym, nagle sposępniał i zadrżał na myśl samą, że za chwilę trzeba się będzie zamknąć na godzin siedem w dusznej atmosferze biurowej, przesyconej dymem tytuniowym, którego nie znosił, oraz wonią akt bibułowych, które mu już do żywego dojadły...

Wracając na kawkę do wiernej Małgosi, szedł całą

drogę chmurny i zamyślony zarazem... przechodniom się nie kłaniał... na śpieszące się do magazynu panienki ani zerknął, choć do nich zawsze jakiś pociąg szczególny ukrywał pomimo 30-letniej nieskazitelnej służby, — a co najdziwniejsza... przed kościołem nawet Świętokrzyskim kapelusza uchylić zapomniał, co już najwymowniej dowodziło głębokiej jego zadumy.

Dopiero gdy się ujrzał na schodach, wiodących do jego schludnego mieszkanka, zatrzymał się, czoło otarł fularową chustką, wzrok wypogodził, usta nawet złożył do uśmiechu, — znać było, że się wreszcie zdobył na stanowczą jakąś decyzyę, która przelotną chmurę rozproszyła, a troskę myśli w pogodę ducha zamienić zdołała.

— Niema co! — rzekł sobie gładząc łysinkę, przy dzwonku zwiastującym jego przybycie, — uduszę się tu kiedy w tych murach!

A gdy sobie jeszcze przypominał kwaśną fizyognomię nowego zwierzchnika, któremu nigdy żaden z podwładnych dogodzić nie potrafił, — zadzwonił po raz drugi tak nerwowo, że pani Małgorzata, człapiąca się zwykle w wydeptanych pantofelkach wolnym miarowym krokiem, nagle przyśpieszyć biegu musiała, zdziwiona tą niecierpliwością towarzysza ćwierć-wiekowego pożycia małżeńskiego.

— Cóż się stało... mężu?.. czyś nie zasłabł? — spytała troskliwie.

— Nie... ale tu dłużej nie wytrzymam... wyprowadzamy się na wieś!

— Na wieś?.. — powtórzyła zdziwiona, — gdzie? jak? kiedy?

— Kiedy?.. jak najprędzej! — odrzekł pan Ambroży.— Jak?.. to zależeć będzie od tego, czy przy kolei, czy na jakim trakcie osiądziemy. — A gdzie?.. to się dopiero pokaże, jak sobie kupię habendę!

— Ależ mężu!.. bój się Boga!.. zapominasz o edukacyi Joasi... wszak chodzi na pensyę...

— To i cóż!.. pensyę ukończy na Ś-ty Jan, a że i termina tranzakcyi o majątki ziemskie także na Ś-ty Jan przypadają, więc się te dwie daty wybornie z sobą zbiegają, i jedno drugiemu nie przeszkadza.

— Zresztą... mężu... zastanów się — perswadowała niewiasta, — całe życie spędziliśmy w mieście... na gospodarstwie się nie znasz...

— Pozwól moja Małgosiu, że cię z błędu wyprowadzę. Przedewszystkiem nalej mi kawy — dodał, patrząc na zegar, — bo to już akurat dwadzieścia pięć minut po ostatnim kubku wody... największy czas na kawę, jeśli ma mi pójść... na pożytek.

Potem zasiadając przy dymiącej szklaneczce, którą mu pani Małgorzata skwapliwie nektarem napełniła, dodał:

— A teraz musisz wiedzieć, że miasta mam już potąd — i wskazał gestem na szyję, — naczelnika mam już po uszy... a tych akt zapleśniałych, po same dziurki w nosie. Wszystko mi to zbrzydło... i powietrze mi nie służy... i woda, i ta kawa ze sfałszowaną śmietanką, już mi smakować przestaje... Muszę... muszę się na wieś wydostać.

— Ale ta okropna gospodarka... nie znasz się...

— Et! gospodarka to nie filozofia, moja Małgosiu, skoro i chłop ciemny gospodarować potrafi — mówił dalej, łamiąc rogalik i zapuszczając go w szklankę. — We mnie jest materyału na gospodarza więcej, niż u wszystkich szlachciców. Przez co oni giną? czy nie czytasz codzień w gazetach? Przez brak kontroli i systematycznej rachunkowości... tylko przez to!.. W tej sztuce ja jestem mistrzem! Jak ja regestra założę i poprowadzę, to już tam jedna słomka nie zginie... jedno jaje się nie stłucze, żeby mi tego bilans tygodniowy nie wykazał. Zaprowadzę rachunkowość włoską... cudowną... wzorową!.. i dopiero pokażę szlachcicom, co to jest umieć rachować i zaprowadzić odpowiednie kontrole!

Mówił to z takiem przejęciem się, z taką głęboką wiarą, że pani Małgorzata przeczyć mu dłużej nie mogła; dodała więc tylko nieśmiałą uwagę o niedostateczności funduszów i o wątpliwej przyszłości Joasi na punkcie małżeństwa.

— Co do funduszów, mylisz się, Małgosiu; uciułaliśmy sobie kilkadziesiąt tysięcy złotych... to więcej, niż potrzeba na kupno wioski, bo ziemię dziś za bezcen sprzedają. Dalej, za moje 30 lat służby, należeć się mi będą trzy czwarte emerytury... co przy bezpłatnem mieszkaniu, przy swojem mleczku i masełku, przy swoich kartofelkach, sałatkach, jarzynach, przy swoich kurkach i kaczuszkach, pozwoli nam żyć wygodnie i spokojnie, jak u Pana Boga za piecem. Co się tycze Joasi, prędzej się na wsi za mąż wyda, za jakiego pracowitego rolnika, niżeli tu w mieście, gdzie większa część młodzieży ma w całym majątku fraczek z garniturem, szapoklak i parę lakierów... przyszłości żadnej, urzędy wszystkie zamknięte.

Pani Małgorzata zamilkła... Przywykłą była do tego, że mąż decydował zawsze w ostatniej instancyi; nalała więc i sobie szklaneczkę kawy i zapijała ją w zamyśleniu, gdy tymczasem pan Ambroży przeglądał ostatnie szpalty „Kuryera,“ szukając tam ogłoszeń o dobrach *za bezcen* nabyć się mogących.

Śniadanie przeszło w milczeniu. Pierwsza to była po latach trzydziestu kawa, którą małżonkowie w dziwnym jakimś nastroju, i nic do siebie nie mówiąc, spożyli. Myśli ich rozbiegały się w różne strony. Pan Ambroży gonił marzeniem po polach i łąkach; pani Małgorzata wspomnieniami całego życia zawisła u starych domostw dzielnicy, którą zamieszkiwali. Nareszcie, gdy już ostatni haust kawy wychylono, pan Ambroży spojrzał na zegarek.

— Czas wielki — rzekł z westchnieniem do — jarzma.... do pługa!... — ale... — dodał już weselej — wstąpię z powrotem do „Kuryera“ i podam ogłoszenie... to będzie najlepiej!...

I ucałowawszy czoło wiernej towarzyszki, powlókł się niechętnie do biura.

* * *

W kilka dni potem, ciche dotąd mieszkanko Ciapucińskich stało się istnem piekłem. Od samego rana, dzwonek nie milkł na chwilę. Zgraja faktorów i stręczycieli różnego kalibru i płci, oblegała pokoik pana Ambrożego; każdy żydek miał w ręku *anszlag*, jakby *akurat stworzony dla pana radcego*. Jeden przynosił mu, za darmo prawie, wioskę z takiem jeziorkiem, co („żebym ja tak

zdrów buł“) samemi rybami się zapłaci. Drugi zachwalał znów lasek, który („auf meine munes“) sam był wart więcej, niż cena całego majątku. Trzeci pokazywał przy anszlagu rysunek pałacyku... urządzonego z takim *wystawem*, że każden hrabia albo *kszążę* mógłby tam mieszkać spokojnie („żebym się z tego miejsca nie ruszył“). Czwarty sławił grunta, z których... samą cebulą zapłaci się w parę lat wioska panu radcemu („jak szanuję godnoszcz jego osoby“). Piąty wreszcie przynosił w dodatku do wsi, *takie propinacye z młynem*, że... grosza dać nie trzeba było na kupno („żebym tak miał szczęście w handlu!“).

Pan Ambroży nie należał do ludzi namiętnych, nie zapalał się łatwo, ale raz uprzedziwszy się do czegoś, był już w uporze niezwalczony. Zbierał więc wszystkie te dane... obiecywał rozpatrzeć się w nich, nie mógł jednak pośpieszyć na obejrzenie tych cudów świata, z tej prostej przyczyny, że surowy naczelnik na kolanie urlopów nie dawał, a bez tego talizmanu byłby sumienny służbista nosa za rogatki miejskie nie wytknął.

Całe wieczory mąż i żona siadywali nad stosami anszlagów, wertując opisy, z których nic prawie nie rozumieli. Pan Ambroży kupił był nawet już sobie u antykwaryusza parę wycofanych z obiegu podręczników gospodarskich, wertował je, robił z nich wyciągi, i w nich też szukał rozwiązania zagadek anszlagowych, jak kwestyi wysiewów, klasyfikacyi gruntów, płodozmianów etc., ale mimo to syzyfowa ta praca nie na wiele byłaby mu się przydała, gdyby nie traf szczególny, który mu spro-

wadził mentora, doradcę i opiekuna, w osobie dawnego jakiegoś kolegi.

Przechodząc koło pewnej, dość niepozornej, choć tłumnie nawiedzanej cukierni, zmuszony był wstąpić na czarną kawę z arakiem, tego dnia bowiem piąty kubek zimnej wody niekoniecznie mu poszedł na zdrowie.

Wśród obłoków dymu tytuniowego siedziało tam grono ludzi wąsatych, butnych, żywo a głośno rozprawiających o rzeczach gospodarskich.

Pan Ambroży dech w sobie zaparł, tak go żywo ten przedmiot obchodził. Przysunął się więc nieznacznie z krzesełkiem, a trzymając gazetę tylko dla formy, połykał każdy wyraz, wypowiadany na temat ulubionego mu zajęcia.

Krocie morgów ziemi, tysiące włók łąk i lasów, przechodziły z ust do ust tych panów. Rublami sypano jak pestkami — parków, pałaców, fabryk, owczarń, obór i stajen istne tam było zatrzęsienie, a wszystko zarodowe, obmedalowane, opatentowane i słowem honoru poręczone.

Pan Ambroży zgłupiał z podziwu... patrzył na rozmawiających z pewnym trwożliwym respektem, biorąc ich co najmniej... za ordynatów pierwszej wody. Dopiero gdy przyszło płacić za kawę, gdy ten i ów dobrze obszukał portmonetkę i obiedwie kieszenie kamizelki, nim tam wytartą znalazł dziesiątczynę, — pan Ambroży uczuł pewną na punkcie ordynacyi wątpliwość, z której wyprowadził go do reszty ostatni mąż z owego grona, pozostały na miejscu z gazetą w ręką i wzrokiem w pana Ambrożego wlepionym.

— Niech mnie dyabli wezmą, jeśli się mylę! — rzekł

do pana Ambrożego, przypatrując się mu się coraz uważniej. — Czy nie radca?!

— Jakbyś pan zgadł — odparł z uśmiechem Ciapuciński, uradowany w duszy, że tytuł IX-tej klasy tak był znany... Nie wiedział nieborak, że interpelant rzucił to słowo na chybi-trafi, pewien będąc, że na całym obszarze Kongresówki każdy urzędnik, a bez mała i każdy szlachcic z pewnością się do tytułu radcy przypisze.

— Z kimże mam przyjemność? — powtórzył.

— Nie poznajesz mnie? — spytał nieznajomy, — to możem ja się omylił.. Jakże godność?

— Ambroży Ciapuciński... radca honorowy.

— A no... wszakżem powiedział!... więc mnie kochany Ambroży nie poznajesz?... mnie?... kolegi?...

— Dalibóg nie...

— A bodajżeś skisł jakeś maleńki był! Jestem Damian Kobyłkiewicz... wszak w szkołach byliśmy razem... chyba że się mylę... gdzieżeś radca kończył?

— W Łomży...

— A no i ja w Łomży! niech mnie piorun spali!

— A pod którym dyrektorem kończyłeś kolega? — spytał przezorny Ciapuciński.

— Ja?... a dyabli go tam spamiętają!... dawne to czasy... bardzo dawne... postarzeliśmy się obadwaj... zmężniałeś... ba!... i wyłysiałeś do tej pory... bo w szkołach miałeś na łbie szopę nie taką.

— Ktoż bo dzieckiem włosów nie ma!...

— A to się wie!... dajże pyska, jak mnie kochasz!... Co to pijesz?... kawę z araczkiem?

— Tak, trochę dziś nie domagam...

— A wiesz, że i mnie coś ckliwo dziś było... dyabli wiedzą po czem... napiję się z tobą dla kompanii...

I zawoławszy garsona, kazał sobie bez ceremonii podać czarnej kawy z arakiem.

Między tak niespodzianymi kolegami zawiązała się pogawędka, z której pan Ambroży dowiedział się, że owi domniemani ordynaci, byli poprostu stręczycielami majątków ziemskich, tylko w lepszym gatunku.

— Ja, bo widzisz mój radco! — ciągnął p. Damian — sprzedałem teraz wieś, bom się już na niej napracował... i chcę trochę odpocząć w mieście.

— A ja przeciwnie — odrzekł radca — napracowałem się w mieście, i radbym teraz odpocząć na wsi.

— Jakto?... i poszukujesz kupna? — spytał z zaiskonemi oczyma pan Damian.

— Tak... coś niedużego, a dobrego... za kilkadziesiąt tysięcy złotych... kupiłbym...

— A wiesz!... żeś ty się chyba w czepku urodził!...— trafiłeś na mnie, jakby cudem!... Mam coś stworzonego dla ciebie... niech mnie dyabli wezmą!

— Daleko stąd?

— Niedaleko... wioseczka, jak orzech zgryzł!... jest w niej wszystko... łąka... mąka... ryby... grzyby...

— A ogród?

— Ale wszystko!... ogród, staw, dworek, borek...

— Nie droga?

— Jak raz na twoją kieszeń!... Przyjadę do ciebie dziś jeszcze, bo tam się koło niej kupcy dyablo kręcą... rozejrzymy się bliżej... naradzimy... Gdzie mieszkasz?

Pan Ambroży podał koledze bilet z adresem.

— Do widzenia zatem! — odrzekł pan Damian, ściskając na odejściu poczciwego towarzysza szkolnej ławy...

Pan Ambroży długo zbierał w myśli wspomnienia szkolnych czasów, ale ani raz na kolegę Kobyłkiewicza nie mógł trafić.

— Człowiek się starzeje... — mruknął, — pamięć już zawodzi — dodał, pocierając czoła. I zapłaciwszy za obie filiżanki kawy, poszedł do domu.

Uradowany, opowiedział żonie szczęśliwe spotkanie. Pani Małgorzata milczała. Natomiast Joasia zmieszała się niepomału; na śliczną jej twarzyczkę wystąpił dziwny jakiś rumieniec, czarne i figlarne jej oczka nagle posmutniały, usteczka lekko zadrżały, upuściła mimowoli na kolana niedawno rozpoczętą robotę i nieśmiało odezwała się do ojca:

— Więc istotnie mamy opuścić Warszawę?

— Tak moja Joasiu — odparł pan Ambroży, — postanowiłem to nieodwołalnie! Czy ci żal tych przebrzydłych murów?

— Przywykłam do nich od dziecka — westchnęła: — tak mi tu było dobrze...

— Na wsi będzie ci lepiej!... Natura odkryje ci nieznane powaby... pola ze zbożem złocistem... zielone łąki umajone kwiatkami... lasek żywicą woniejący... ach! już stąd zapach ten czuję!... A przytem ta wiejska woda kryniczna, baranki, krówki, kurki, kaczuszki... Zobaczysz, co to obcowanie z przyrodą!

Ale miła ta perspektywa obcowania z przyrodą nie trafiała młodej dziewczynie do serca, w którem się już inny ideał zagnieździł. Nie odrzekłszy ani słowa więcej,

wysunęła się po chwili do swego panieńskiego pokoiku, otworzyła książkę, wyjęła z niej listek zasuszony, na którym cichy, ale serdeczny złożyła pocałunek, i wsparłszy główkę na ręku, w głębokiej utonęła zadumie.

Tymczasem dzwonek zadrgał i w ślad za tem służąca podała panu Ambrożemu bilet wizytowy.

Pod olbrzymią koroną widniał napis: „Damian de Kobyłki Kobyłkiewicz.

— Prosić! — rzekł pan Ambroży. — To on — dodał, odwracając się do żony, — może go poznać zechcesz...

— To już nie dziś — odpowiedziała pani Małgorzata, której także troska ustawiczna humor odbierała.

Nim wszedł ów nowy gość do pokoju, pani Małgorzata wysunęła się do córki, podzielić z nią razem uczucia, dotychczas przed ojcem tajone.

Pan Damian de Kobyłki Kobyłkiewicz był tu od razu jak u siebie; z pliką map i regestrów pomiarowych, rozstasował się na stole, i począł roztaczać przed gospodarzem szczegóły stręczonego majątku.

— Oaza to... niech mnie dyabli wezmą! — dodał w konkluzyi, — miejsce rozkoszne... urocze... a warsztat taki, że lada kiep, choćby nie chciał, dorabiać się musi fortuny.

— A jak się nazywa? — spytał pan Ambroży.

— *Kącik*... miluchny kącik... prawdziwy kącik raju — odrzekł pan Damian. — Od Warszawy szosą parę milek, a potem jeszcze milka w bok... jutro się wybierzemy...

I rzeczywiście, pomimo surowych zasad radcy honorowego na punkcie urlopu, pan Damian de Kobyłki Kobyłkiewicz taki hypnotyczny wpływ zdobył sobie od razu

na mniemanym koledze szkolnym, że nazajutrz raniutko obadwaj ruszyli w drogę.

* * *

Ktokolwiek był kiedy „*w trakcie kupowania majątków*,“ temu dobrze wiadomo, że jak panna na przyjazd narzeczonego, tak wieś każda na przyjęcie kupca, w najpiękniejsze stroi się szaty.

Budyneczki wtedy, od frontu przynajmniej, świeżem bieleją wapnem; koniki błyszczą zpod zgrzebła; na wołach i krówkach kroplaby wody się nie utrzymała, trawniki świeżo skoszone lśnią się jak dywany, podlane kwiatki hardo w górę główkami strzelają, podwórze z gnoju oczyszczone i lekko piaskiem potrząśnięte, wygląda jak miejska jakaś ulica... nawet ciekawe słonko w dniu takim zwykło się także ukazywać.

Dopiero, gdy już po ukończonej tranzakcyi, nabywca *na stałe* przyjedzie, wioska wraca do dawnego swego... *porządku*.

Więc na budyneczkach tynk zwolna opadać poczyna, pozostawiając szare plastry po sobie... na dachach tu i owdzie prześwieca dziura, przez którą połamane łaty, jak zęby czarownicy, wystają. W miejsce owych opiekłych inwentarzy, wyłażą z budynków jakieś zmory, dychawiczne szkapiny, kulawe woły, krowy, którym pieski gromadzkie nie jeden ogon nadgryzły, owce wpółnagie, z oskubaną wełną, w trawnikach chwasty zieloną murawę głuszą, kwiatki łby swoje smętnie na łodygach zwieszają, a i owo słoneczko wesołe skrywa się zwykle ze wstydu

za jakąś ołowianą chmurę, z której drobno pryskający deszczyk wybornie licuje z gorzkiem nowonabywcy rozczarowaniem.

Tak się też działo w Kąciku, nowem dziedzictwie pana Ambrożego Ciapucińskiego, który tam razem z rodziną od kilku dopiero miesięcy zamieszkał.

Biedna pani Małgorzata, przyzwyczajona do porządków miejskich i dobrze opatrzonego mieszkanka, oswoić się nie mogła z nową drewnianą siedzibą, do której wiatr wpadał przez szpary rozeschłych okien, a deszcz kapał na podstawione miednice, uderzając w nie miarowo, jak gdyby wtórował dzikiej harmonii wichrów... Nie lepiej też szło jej ze służbą wiejską, której co w łapy wpadło, już tam z nich cało nie wyszło.

Biedniejszą była jeszcze Joasia, która w tym uroczym Kąciku, kąta sobie znaleźć nie mogła. Łzy cisnęły jej się do oczu na wspomnienie koleżanek z pensyi i towarzyszek lat dziecinnych, a więcej jeszcze na myśl o młodzieńcu, którego na wieczorkach pensyonarskich studentem poznała, a z którym, gdy już dochrapał się urzędziku, w sekrecie przed ojcem, dozgonną poprzysięgli sobie miłość. Matka, świadoma tej tajemnicy, pocieszała córkę jak mogła, ale nie wielką przynosiła jej ulgę, będąc sama w tak niewesołem usposobieniu.

Jeden tylko pan Ambroży czuł się szczęśliwym: miał śmietankę niefabrykowaną i wody ile chciał wypić. W gospodarstwie wyręczył go usłużny koleżka, pan Damian de Kobyłki Kobyłkiewicz, który tu się nieproszony, dla puszczenia w ruch machiny, na czas jakiś *propria motu* usadowił. Kręcił się po sąsiedztwach i jarmarczkach, pod

pozorem oryentowania się w ekonomicznych stosunkach miejscowych, a kilka godzin w tygodniu poświęcił lustracyi gospodarstwa, hałasując wtedy, klnąc, grożąc i sypiąc dyabłami, jak na dobrego administratora przystało.

Sam pan Ambroży zabrał się z energią do ulubionego swego dziełka, zakładając niezliczone księgi i kontrole, mające być ciągłem odbiciem wszystkich przychodów i rozchodów rolnych. Więc każda krówka miała tam swoje *konto,* kredytowane za mleko i nawóz, a obdłużane za każdą garść siana lub trawy i za słomę na podściół użytą. Każda gęś i kura miała również swoje konto obciążane za zielsko i poślad, a kredytowane za pierze i jaja. Kuchnia dłużną była piwnicy — piwnica kopczykom z warzywami — szabaśnik do pieczenia chleba rachował się ze spichlerkiem, spichlerek z wiatrakiem, pólko ze stodołą, stodoła znów ze spichlerkiem... słowem... był to jeden olbrzymi buchalteryjny łańcuch, wiążący się tysiącem ogniw z głównem ogniwem wszechrzeczy... z kasą!

I wlokło się to wszystko czas jakiś, póki co sobota pan Ambroży mógł wydobywać ze starego olbrzymiego pugilaresu równiutko ułożone papierki, na wypłatę dla ludzi, na dokupno szkap, zboża, żelaza, soli, smarowideł, na opłacanie podatków, wreszcie na własne domowe potrzeby.

Jak wszystko jednak w naturze koniec swój mieć musi, tak i na te papierki bankowe, smutny przyjść musiał koniec. Pugilaresik z początku mocno wydęty, zwolna kurczyć się poczynał, objętość jego zmniejszała się z dnia na dzień, aż nareszcie pewnej chmurnej soboty ujrzał

pan Ambroży — dwa brzegi skórzane, a w nich przeraźliwą pustkę.

Roztworzył czemprędzej księgę kasową, zsumował przychód i rozchód, odjął jedno od drugiego i wypadło mu... okrąglutkie zero, dowodzące wzorowego w buchalteryi porządku. Ucieszył się wprawdzie tej zgodności ksiąg z kasą, ale i sposępniał zarazem. Pan Damian bowiem stał mu nad uchem, dowodząc z rozkrzyżowanemi rękoma i całą armią dyabłów, że tak dłużej gospodarować nie potrafi.

— Skądże wezmę? — bronił się zakłopotany Ciapuciński.

— A stawaj sobie na łbie! — wołał coraz głośniej administrator, — ale pieniądze być muszą, inaczej wszystko stanie i pójdzie na marne! Masz przecie hypotekę, trza na nią dług zaraz zaciągnąć!

— Połkną mnie żydy — oponował ciągle biedny dziedzic, który długów bał się jak ognia, i po raz pierwszy w takich znajdował się opałach.

— Nie połkną! do krocset dyabłów! od czegoż ja jestem? Zresztą nie chcesz się sam z żydami ujadać, to ja cię w tem wyręczę... zeznasz plenipotencyę na mnie, ale bez straty czasu... Dziś zaraz jechać musimy!

Nim się oszołomiony radca zebrał na odpowiedź, już pani Małgorzata znalazła się, jak *Deus ex machina,* w pokoju. Rezolutna jej postawa, oczy pałające gniewem i wyraz twarzy poważny, dowodziły, że porzuciła dotychczasową bierną swą rolę, zdobywając się na krok stanowczy.

— Mąż mój nie pojedzie z panem i długów zaciągać nie będzie! — zawołała prawie rozkazująco.

— No, to ja tu nie będę miał co robić! — odparł z pogróżką pan Damian.

— Nie zatrzymujemy ani na chwilę! — rzekła tym samym tonem.

— Jakto?.. wymawiacie mi dom?!.. No... kolego?!..

Ciapuciński oczy spuścił.

— Dobrze! wyjadę do wszystkich dyabłów!.. gińcie tu bez mojej pomocy!

— Już nam ta pomoc do żywego dojadła! — wybuchnęła głośnym płaczem pani Małgorzata. — Żyliśmy szczęśliwi i spokojni, nie znaliśmy trosk i biedy, tylko dzięki panu, wdał się mój mąż w to fatalne kupno, które nas do upadku doprowadzi!

Pan Ambroży westchnął głęboko, po raz pierwszy czuł się upokorzonym wobec żony, która mu całą prawdę odkryła.

— O! dziś wyjeżdżam!.. — huknął pełną piersią pan Damian; — dziś... zaraz! — dodał, macając się po kieszeniach — ale do kroćtysięcy... w tej chwili jestem trochę ściśnięty w funduszach... na drogę ..

— Znajdą się na wsiadaniu — dodała z pogardą pani Małgorzata, ukazując mu kilka papierków różowych. Konie będą zaraz gotowe...

Pan Damian, czerwony jak ćwik, wybiegł z pokoju rzeczy swe czemprędzej spakować. W niespełna godzinkę wyjeżdżał z sukursem na drogę, pogwizdując sobie dla fantazyi wesoły jakiś kuplecik.

— A teraz pozwolisz, że rządy ja sama obejmę —

rzekła mężowi po odjeździe rzekomego kolegi pani Małgorzata. — Uprzedzam cię jednak, że potrwa to tylko tak długo, póki kupca na ten miły Kącik nie znajdę.

I zabrała się do dzieła z całą energią, którą w takich razach kobiety nasze znaleźć w sobie umieją. Oddaliła ekonoma, pijanicę, którego pan Damian de Kobyłki Kobyłkiewicz na rządcę odrazu wypromował. Przy pomocy karbowego, mającego zdrowy, prosty chłopski rozum, zaczęła gospodarować o wiele racyonalnej i oszczędniej, niż się to działo dotychczas... Niestety! pomimo żelaznej pracy i poświęcenia, cudów dokazać nie mogła: — wieś sama była lichotą, plony dawała nędzne, z inwentarzy dochodu większego osiągnąć nie było można; nie przybyło więc nowych długów, ale po opłaceniu niezbędnych bieżących wydatków, na ratę Towarzystwa już nie stało.

W domu zaległa troska i słuszna o jutro obawa. Pan Ambroży sztychował tam ciągle w swoich księgach, pocieszając się, że przy tak zaprowadzonych kontrolach wkrótce się wszystko poprawi. Natomiast biedna jego żona posępniała coraz bardziej i coraz czarniej w przyszłość rodziny spoglądała.

Joasia nikła też z dniem każdym. Prócz trosk matczynych, którym zaradzić nie mogła, tęsknota szarpała jej serce i resztę sił ducha odbierała...

W takim nastroju domu zjawił się nagle gość młody, piękny, o szlachetnym acz nieśmiałym wyrazie twarzy.

Przybycie jego zwiastowała trąbka pocztowa, na której odgłos wszyscy się w sieni znaleźli.

Joasia wydała okrzyk, oczy jej błysnęły radością. Pani Małgorzata przycisnęła go, jak syna, do serca. Jeden pan

Ambroży, w najwyższem zdziwieniu przypatrywał się temu powitaniu.

— Przedstawiam ci mężu pana Karola Prackiego. Dawny nasz znajomy, jeszcze z wieczorków pensyonarskich, dziś, jak słyszę... urzędnik.

— Towarzystwa kredytowego ziemskiego, — dodał z ukłonem przybyły.

— Prosimy, prosimy!.. — zawołał uprzejmie pan Ambroży, rad niezmiernie gościowi, który posępne oblicza żony i córki tak naraz rozjaśnić potrafił.

Pan Karol uczuł się tu wkrótce jakby w najbliższej rodzinie. Kilka słów wymienionych z Joasią, przekonało go o stałości jej uczuć. Gdy się już do syta o nowinkach miejskich nagadano, pan Karol z wielką ostrożnością napomknął, że Kącik zalega z ratami, i jeśli takowe nie będą wniesione, wystawiony zostanie na sprzedaż.

Ciapucińscy pobledli ze wzruszenia; lecz na Joasi wiadomość ta wprost przeciwne wywarła wrażenie.

— To wrócimy do Warszawy! — zawołała radośnie. — Przy emeryturze ojczulka, przy naszej wspólnej pracy, damy sobie radę, mameczko.

— Jeśli drodzy państwo i mój współudział w pracy przyjąć raczą, to się wszystko da jak najlepiej załatwić — rzekł pan Karol, całując rękę pani Małgorzały i ściskając dłoń pana Ambrożego. — Jestem teraz kapitalistą, dzięki memu stryjowi; z całej duszy uiszczę raty zaległe, a tymczasem starać się będę o nabywcę na Kącik.

— Jakiż tytuł mielibyśmy do przyjęcia takiej pomocy?— spytał wzruszony pan Ambroży.

Pan Karol za całą odpowiedź ujął drżącą Joasię za

rękę, w milczeniu przyklękli oboje przed rodzicami. Pani Małgorzata ze łzami w oczach dała znak wymowny mężowi, nieme te oświadczyny w niemem też wzruszeniu przyjęte i pobłogosławione zostały.

* * *

W niespełna pół roku Ciapucińscy po sprzedaży Kącika wracali do Warszawy na ślub córki, biedniejsi o połowę mienia, ale bogatsi doświadczeniem, które tak drogo opłacili.

Cztery furmanki przewoziły sprzęty domowe do miasta; na piątej piętrzyły się stosy regestrów, ksiąg i kontrol, których niepiśmienny nowonabywca nie potrzebował, a z któremi wreszcie poczciwy rachmistrz najwyższej izby obrachunkowej byłby się nigdy nie rozstał.

BAKALARKA.

OBRAZEK HUMORYSTYCZNY.

Nie masz chyba wznioślejszego zadania nad kształcenie dzieci.

Praca ta ciężka, mozolna, wymagająca niepospolitego zasobu cierpliwości i prawdziwego zamiłowania, jeśli jest skierowana do umysłów już trochę więcej rozwiniętych, do dzieci w dobrych zasadach domowych wychowanych, jeśli jest odpowiednio wynagrodzona, to przynajmniej obok moralnego zadowolenia, opłaca łożone na nią trudy i zwolna wyczerpywane siły.

Ale prawdziwem (dla mnie przynajmniej) apostolstwem, jest kształcenie ludu wiejskiego.

Praca ta, mrówcza napozór, cicha, drobiazgowa, w skutkach swych o wiele jest donioślejszą, niżby to zdawać się mogło. Urabiając na ludzi mających pojmować główniejsze choćby zadania życia, prostaczków, rosnących prawie w stanie pierwotnej ciemnoty, zastępując wiedzą chrześcijańską wiarę w gusła i zabobony, uprzystępniając przez naukę pojęcie zjawisk meteorologicznych, wszczepiając w młode serca miłość na miejsce nienawiści, ufność na miejsce niewiary, dając możność przeczytania i książki pobożnej, i nauczki moralnej, i popularnych dziejów narodu, — szkółka wiejska spełnia zadanie olbrzymie i w da-

leko szerszym zakresie, niż szkoły w ogniskach miast większych istniejące.

Warunkiem jednak nieodzownym pożyteczności takiej szkółki, jest umiejętny dobór jej kierownika. Jednoczyć on w sobie powinien nietylko odpowiedni zapas początkowej wiedzy, ale iście pedagogiczny sposób wykładu, zasady moralne stosowane w życiu i słowie, oraz umiejętność zaskarbienia sobie serc małych wiejskich prostaczków, którzy w psotach i sposobach dokuczenia znienawidzonemu zwierzchnikowi, stokroć bywają sprytniejsi od naszych mundurkowych figlarzów.

W kraju, jak nasz rolniczym, gdzie stosunek dzieci włościańskich, co najmniej w trójnasób przewyższa liczbę dziatek innych stanów, zajęcie nauczyciela wiejskiego mogłoby dać chleb skromny tysiącom rodzin, gdyby przepisy obowiązujące i położenie materyalne ziemian pozwalały na zakładanie szkółek co kilka wiosek, oraz gdybyśmy posiadali odpowiedni na nauczycieli wiejskich materyał.

Niestety, jak trudnymi są warunki do założenia szkółki koniecznie, tak niemniej trudnem jest wynalezienie odpowiednich kierowników, którzyby nietylko dla chleba, ale i z powołania, ciężkie to zadanie podejmowali. Jednemu przykrzy się zimowy pobyt na wsi (a w tej właśnie porze szkółka wiejska najbardziej jest czynną), drugiemu stosunek ze dworem; ten zgodzić się nie może z arystokracyą wiejską: ekonomem, pisarzem, gorzelanym, tamten znów pomiata „bydłem“, to jest warstwą, która mu uczniów ma dostarczać, — słowem, znośny pedagog wiejski, to *rara avis*, z którym się rzadko bardzo spotyka.

Zdawaćby się mogło, że zajęcie takie, wymagające stosunkowo więcej może serca, niż wiedzy, najstosowniej kobiecie przypaśćby powinno w udziale.

Umiejętność wychodzenia z dziećmi, dar, którym kobieta przez naturę prawie uposażoną bywa, większa doza cierpliwości i słodyczy, łatwiejsze zastosowywanie się do warunków i ludzi otaczających, mniejsze potrzeby i wymagania rozrywek, a co najważniejsza, silniejsze poczucie ważności obowiązków drobiazgowych, doniosłości pracy mrówczej, w ciaśniejszym obrębie zamkniętej, — wszystko to przemawiać się zdaje stanowczo za powierzeniem tego zadania kobiecie.

A jednak, mimo narzekań na biedę, my osób, któreby się nauczaniu dziatwy wiejskiej poświęcić chciały, prawie nie mamy, — jak się o tem cierpliwy czytelnik tej humoreski, z życia zaczerpniętej, przekona. Nadając bohaterce niniejszego szkicu miano *bakalarki*, nie czyniliśmy tego bynajmniej w chęci jej ośmieszenia — pragnęliśmy tylko uniknąć miana *nauczycielki,* z którem się zwykle łączy pojęcie wyższego pedagogicznego wykształcenia. Tym krzewicielkom zdrowego posiewu składamy hołd i cześć szczególną, ta bowiem warstwa najpożyteczniejszych w miastach naszych pracownic, tylko na prawdziwą wdzięczność społeczeństwa naszego zasługuje.

Rzecz dzieje się w Galicyi.

W głowach właścicieli piętnasto-włókowego Zacniewa, oddawna kiełkowała myśl założenia szkółki wiejskiej.

Państwo Szczepanowstwo kochali lud z głębi serca, ale też wszystkie jego widzieli niedostatki; kochali dziatwę, choć sami nigdy szczęśliwymi nie byli rodzicami.

Może właśnie to niezaspokojone uczucie czyniło ich wrażliwszymi na niedolę dzieci wiejskich, chowanych w stanie na wpół dzikiej natury, a jednak posiadających serca tkliwe i umysły zdolne do przyswojenia sobie początkowej przynajmniej wiedzy.

Wioszczyna, którą zamieszkiwali, oddalona była od gminy o dobrą milę z ogonem; o posyłaniu więc dzieci do szkoły gminnej ani mowy być nie mogło.

Pan Szczepan starał się długo o pozwolenie na szkółkę miejscową, ale mu to szło ciągle oporem. Poradzono mu w końcu, aby urządził odpowiedni lokal dla szkoły, a skoro się znajdzie pedagog płci męskiej lub żeńskiej, upoważniony do otworzenia własnej szkółki elementarnej, to wolno mu będzie domek szkolny w Zacniewie oddać na taki użytek.

W warunkach, w jakich się 15-włókowa wioszczyna znajdowała, utrzymanie szkoły jedynie z opłat wpisowych, było istnem niepodobieństwem. W obec oporu, jaki zwykle nauka u naszych kmiotków znajduje, samo napomknięcie o jakiej takiej opłacie, już byłoby dostatecznem do wywołania burzliwej opozycyi. Łaską to już bywa nie małą, jeśli rodzice, w porze wolniejszej od zajęć, kiedy gęś podskubana powędrowała do Prus, a *świniak* na zimowe leże, pozwolą swym malcom na uczęszczanie do szkółki; tam więc dziecię znaleźć musi co najmniej naukę bezpłatną, nie licząc książek i utensylii piśmiennych, na które także chłop złamanego grosza nie wyda.

Pojmował to dobrze pan Szczepan, ale go te trudności nie zrażały. Gotów był na sprawienie wszelkich potrzebnych utensylii: ławek, tablicy i książek, a nadto gotów

był ponieść całkowite utrzymanie padagoga, byle raz ukochaną myśl swoją w czyn wprowadzić i szkółkę powołać do życia. Przyjechawszy do miasta, ogłosił w pismach o potrzebie nauczyciela na wieś — i oznaczywszy godziny przedpołudniowe na ich przyjęcie, oczekiwał z niecierpliwością w skromnym hoteliku przybycia upragnionych gości.

Zaraz nazajutrz rozpoczął się ich pochód.

Pierwszym zjawił się jegomość w wypłowiałym fraku, z czerwieniejącymi guzikami. Wyniosłe czoło, posiane jak firmament gwiazdkami koloru róży, nos potężny o barwie episkopalnych fioletów, zdradzały zaraz, że tam nie tyle głowa, ile raczej gardło pracowało.

— Czy to tu ogłaszano o potrzebie pedagoga? — spytał z wysoka.

— Tak jest — odrzekł pokornie na widok munduru pan Szczepan.

— Jestem kandydatem na taką posadę...

— Jakże godność? — spytał szlachcic nawzajem.

— To do rzeczy nie należy! — odparł przybyły dość butnie, — nie zwykłem szastać mojem imieniem i nazwiskiem, nie wiedząc z góry, czy się to na co przyda.

Pan Szczepan skonfundowany nieco, zamilkł. Uwaga wydała mu się dość słuszną.

— A czy pan dobrodziej był już gdzie kiedy nauczycielem?

— Zdaje się — odparł dumnie zagadniony, — że szata moja powinna już go była pojaśnić.

— Przepraszam bardzo — sumitował się szlachcic, — ale my dziś, panie, po wsiach znamy tylko mundur se-

kwestratora, lub co najwyżej komornika, a że te przeklęte insygnia wszystkie trochę podobne do siebie...

— Nie tłómacz się pan — przerwał mu przybyły, — zapomniałem z kim mówię. Otóż odpowiadając na jego zapytanie, stwierdzam i konstatuję przedewszystkiem moją profesyę pedagogiczną.

— Gdzie pan dobrodziej urzędował?

— Jużci nie w szlachtuzie, tylko w klasach — odrzekł wśród lekkiej czkawki.

Odpowiedź ta zniecierpliwiła trochę pana Szczepana — czkawka dawała mu do myślenia, — tłumiąc w sobie pewną nieufność, która się wyradzać poczynała, zapytał znowu:

— A jakież przedmioty były przez pana wykładane?

— Jakie przedmioty?... — powtórzył lekko zmieszany pedagog, namyślając się trochę, — języki starożytne...

— Hm... to żałuję bardzo... ale będą nam one zupełnie niepotrzebne.

— Co? — odparł, nabierając znów rezonu, przybyły, — języki starożytne... owa podstawa wszechwiedzy... są według pana niepotrzebne?

— Ależ... na wsi...

— Otóż to są przekonania dzisiejszych praktycznych pokoleń, które je wiodą do upadku! — zawołał z teatralną emfazą wrzekomy pedagog, spoglądając dokoła siebie; a spostrzegłszy nagle na komodzie manierkę, w której pan Szczepan zwykł był wozić nektar domowej produkcyi, spytał szybko:

— Co to za ciecz zawiera w sobie to naczynie?

— Ee... to domowa nalewka, roboty mojej żony...

— Czy mogę prosić o kropelkę? — spytał pożądliwie przybyły. — Krzywda wyrządzona przez pana językom starożytnym, tak mnie zirytowała, że dla uspokojenia...

— Służę, — odparł czemprędzej pan Szczepan, podając manierkę i kieliszek.

Ale przybyły udał, że tego mniejszego naczynia nie widzi, — przyłożywszy do ust oplataną flaszeczkę, pociągnął z niej jak syfon, kilkanaście łyków, tak, że gdy ją od ust odjął, już w niej ani kropelki nie było.

— A to spust! — pomyślał zdziwiony szlachcic, — niech go kurek zdziobie!

— Otóż wracając do języków starożytnych...

— Ależ szanowny panie profesorze — przerwał mu pan Szczepan, — nie porozumieliśmy się wzajemnie... Ja poszukuję nauczyciela dla chłopów.

— Dla chłopów?! — przedrzeźniał pogardliwie pedagog.

— Wszakżem ogłosił wyraźnie...

— To jeszcze niczego nie dowodziło; mogły tam uczęszczać i dzieci szlacheckie... oficyalistów...

— Ale nie, i jeszcze raz nie! wyłącznie dzieci włościańskie, a tym przecie greka i łacina niepotrzebne...

— Niepotrzebne... tego pan nie mów... ale w początkach przynajmniej, póki to bydło czytać nie umie... zbyteczne...

— Otóż widzę, że zaszło nieporozumienie...

— Niekoniecznie — odrzekł przybyły, — możebym się zgodził na pewne koncesye i zniżył się do tych chamów, ale przedewszystkiem — dodał, zapuszczając ręce w kieszenie — muszę wiedzieć co pan płacisz?

— Hm!... — mruknął urażony tym tonem i gestem

pan Szczepan, — pozwól pan, że ja nawzajem poproszę go przedewszystkiem o okazanie mi swych kwalifikacyi piśmiennych, bo co prawda, frak niczego nie dowodzi.

— Jakto nie dowodzi! — zapytał urażony profesor.

— A naturalnie, że nie dowodzi... — powtórzył jeszcze głośniej szlachcic, — można sobie frak taki kupić na tandecie!

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się na całe gardło wrzekomy pedagog, w którym manierka nalewki zaczynała robić swoje, wywołując zwykłą u pijaków szczerość, — skądżeś się mosanie tego domyślił? co?!

— Dość było widzieć spust pański!

— Dobry?! prawda?! — zawołał, klepiąc szlachcica po brzuchu. — Za Sasów byłbym, panie, słynnym i fortuny się dobił — dodał, ciskając się na fotel, — ale dziś... czasy podłe... człowiek i tej niewinnej pasyjce dogodzić niema za co! To też, wiesz co kochanie — zakonkludował tonem poufałym, gestykulując błagalnie, — dajmy pokój pedagogice, bo ja się na tem tyle znam, co i ty... ot, pożycz mi lepiej z parę papierków, bom goły jak bizun... dam ci za to buzi i pójdę!

Pan Szczepan, rad tej ostatniej perspektywie, sięgnął czemprędzej do woreczka, wcisnął parę banknotów wrzekomemu profesorowi, i kwitując go już z buzi, odprowadził tryumfalnie na kurytarz chwiejącego się na nogach pijanicę, zatrzaskując z powrotem drzwi od numeru.

— A tom się urządził! — westchnął, ciskając się na fotel, — jeśli tak dalej pójdzie... winszuję!

W niespełna kwadrans, ktoś trzykrotnie do drzwi zapukał.

Pan Szczepan z pewną już ostrożnością drzwi z klucza otworzył: — na progu ukazał się nowy kandydat.

Długi bardzo surdut, opięty pod szyję, mina pokorna, czyniły go do seminarzysty podobnym; ruchy miał giętkie, elastyczne... głosik słodziuchny, raczej do miauczenia kota, niż do dźwięku ludzkiego podobny — a jednak gdy z pod brwi zsuniętych spojrzał maleńkiemi, zielonawemi oczyma, dziwne jakieś uczucie nieufności i obawy budził pomimowoli.

— Czy to pan dobrodziej poszukuje nauczyciela? — zapytał uprzejmie.

— Tak jest, panie, ale uprzedzić muszę, że do szkółki wiejskiej... — dodał przezorny pan Szczepan.

— Wiem o tem z ogłoszenia — odparł przybyły, — i dlatego się stawiam; lud nasz bowiem był zawsze i jest przedmiotem najgłębszych studyów moich, jemu radbym wszystkie me siły poświęcić.

— Bardzom rad, że się na tym punkcie schodzimy, — rzekł pan Szczepan, podając mu rękę.

— Nie powinno to pana dziwić — ciągnął dalej gość nowy. — Jeśli na kim ciążyło jarzmo poddaństwa przez tyle wieków, jeśli tyle pokoleń rosło w zbydlęceniu, opuszczeniu i upadku, to dla każdego człowieka, pojmującego swe zadanie życiowe i świadomego dzisiejszych socyalnych prądów, niemasz nic żywotniejszego ponad pracę i działalność w tym kierunku.

— To też... — wtrącił pan Szczepan.

— Na Zachodzie — ciągnął bez przerwy przybyły, — lud już dawno umiał był sobie wywalczyć prawo obywatelstwa! upomniał się o swe ogólno-ludzkie prawa,

o naukę, która również dla uprzywilejowanej tylko kasty dostępną była!

— Ależ szanowny panie... — wtrącił pan Szczepan, spoglądając na zegarek.

— Nie miłe to wspomnienia dla tych posesyonatów, co kraj poszarpali w strzępy, co frymarcząc z wrogami, starostwami i synekurami, dobili się fortun magnackich; gdybym też miał przed sobą jednego z tych polipów, z tych pasierbów ojczyzny, byłbym może programu swego z taką otwartością nie roztaczał. Ale kiedy mówię do dziecięcia ludu... bo pan nie możesz być szlachcicem, skoro dbasz o lud...

— Za pozwoleniem! — krzyknął urażony do żywego pan Szczepan, — przedewszystkiem proszę mnie od klejnotu szlacheckiego nie odsądzać.

— Jakto?... miałżebyś i pan należeć do stanu?...

— Tak jest — przerwał mu zaperzony, — do stanu, który nie szarpał swej rodzinnej ziemi na strzępy, do stanu, który nie starostwami i synekurami, ale pracą i cichą zasługą dochodził do posiadania kilkunastu włók ziemi!...

— A jednak dla chłopów byliście katami! — zawołał z zaiskrzonemi oczyma trybun ludu.

— Jak kto! i jak gdzie!! winy dość ciężkiej ogółowi nie zaprzeczam, ale nie od niego wyłącznie zależały reformy; — zresztą mój panie, dziś już te rachunki załatwione, i każdy z nas w duszy rad jest temu, że się nareszcie jątrząca rana zabliźniać zaczęła!

— Daleko jej do tego, daleko! — wołał z deklamacyą przybysz.

— Jeśli apostołować będą ludzie, którzy tylko frazesa głosić będą, to zapewne; ale jeśli się biorą ludzie świadomi potrzeb ludu, do czynnej pracy, to jesteśmy bliżej niż pan myślisz!

— Więc wracając do posady w szkole wiejskiej...

— Wybacz pan — przerwał mu pan Szczepan, — ale ta posada nie odpowiada pańskim... kwalifikacyom...

— Kwalifikacyi moich jeszcze pan nie znasz! — odparł, prostując się groźnie kandydat, — chciałeś pan zapewne powiedzieć, że nie odpowiada moim poglądom na kwestye społeczne.

— Tłómacz pan sobie, jak chcesz! — zawołał, machnąwszy ręką, biedny szlachcic.

— Aaa! wszyscyście jednacy!... nie w smak wam teorye postępu; ale mniejsza z tem, ja moich przekonań nie sprzedam, wolę mój jeden surdut i zelowane buty, niż wasze czamary i cuganty.

— Moje uszanowanie — rzekł, kłaniając się na zakończenie rozmowy pan Szczepan.

— Kłaniam się! — odpowiedział dumnie kandydat, idąc zwolna ku drzwiom, lecz nagle zatrzymał się przy nich.

— Jestem w chwilowej potrzebie... nie masz pan przy sobie kilku papierków? — spytał krótko.

— Przecieżbym do obcego miasta bez grosza się nie puszczał, — odrzekł z uśmiechem ironii zagadnięty.

— To proszę o pożyczkę...

— A cóż u licha!... — mruknął sobie pod nosem biedny pan Szczepan, dobywając trzy papierki i podając je przybyszowi. Kandydat na opiekuna ludu obejrzał je pogardliwie z obudwóch stron, snadź nie znał jeszcze

biletów nowego wzoru, poczem wsunął je do kieszeni, a dobywając swój pomięty bilet wizytowy, dodał:

— Nie myśl pan, żeby to była jałmużna, oddam z procentem... tylko dziś zaręczyć nie mogę, gdzie i kiedy...

— Mniejsza z tem... — szepnął pan Szczepan, zamykając drzwi na klucz i ciskając się na fotel. — Niech pioruny spalą! — krzyknął wściekły z dwóch świeżo przebytych audyencyi.

W niemej zadumie, sapiąc jeszcze resztkami wzburzonej krwi szlacheckiej, oczy zmrużył, senność jakaś zwolna ogarniać go zaczynała, gdy nagle ktoś klamką u drzwi poruszył.

* * *

Pan Szczepan się ocknął, oczy przetarł, po chwili ruch klamki z większą się już siłą powtórzył.

— Kto tam?! — spytał.

— Interes pilny! — odpowiedział z kurytarza głos jakiś basowy.

Pan Szczepan nie bardzo rad nowej wizycie, niechętnie drzwi uchylił; jednocześnie wsunął się do pokoju barczysty, o sumiastych wąsach, mężczyzna.

— Czy z panem Szczepanem Zacniewskim mam honor?... — zapytał przybyły.

— Tak jest, z kimże nawzajem?

— Jestem Olimpiusz Czubkowski, herbu Prace Małe; o ile sobie przypominam, jest to klejnot i rodziny Zacniewskich.

— Rzeczywiście — odrzekł gospodarz, — tylko my się Pracami Wielkiemi pieczętujemy...

— To już prawie jedno...

— Jest pewna różnica między pracą wielką a małą — odrzekł pan Szczepan, — ale cóż za interes pana sprowadza?

— Ach, kochany koligacie — począł Czubkowski, stroszące czuba i rozpierając się nieproszony na krześle, — anibyś odgadł, pocom przyszedł...

— Rzeczywiście, trudno mi...

— O miejsce nauczyciela w szkółce — dodał, spuszczając oczy, jak gdyby się tego despektu wstydził. — Tak, kochany koligacie, potrzeba zmusza człowieka do chwytania się nawet tak podłego chleba.

— A co to, to przepraszam! nie widzę wcale, żeby stanowisko nauczyciela wiejskiego podłem było...

— Mój kuzynie — rzekł Czubkowski, potrząsając głową, — jużcić z posesyonatów i benenatów, jeśli kto miał trzy folwarki z lasem, pałacem i parkiem, po którym można było we cztery konie zawracać, to przyznasz, że spaść na belfra chłopskiego nie łatwo...

— Tembardziej... — wtrącił oburzony pan Szczepan, — skoro się nie ma do tego potrzebnych kwalifikacyi...

— Jakto kwalifikacyi?!... przecież czytać i pisać umiem, rachunków też tyle co chłopu trzeba, posiadam, a że ci te chamskie dusze potrafię utrzymać w rygorze, o to możesz być spokojnym.

— Otóż ja myślę, że w tym względzie grubo się pan mylisz...

— Nie mylę się! — przerwał barczysty kandydat, — co obiecuję, to dotrzymam... jak mi honor miły!... Wiem, że tam dziś są jakieś przepisy, sądy gminne i inne fara-

muszki, ale ja sobie kpię z tego, i zresztą znam także trochę prawa. Jużcić wobec świadków nie będę hycla tłukł, ale jeśli urządzisz przy szkole jaką ciupę osobną, dziurę niby w rodzaju kozy, to ja mu tam, notabene w cichości, tak skórę szelmie wygarbuję, że popamięta ruski miesiąc!...

— Wybacz pan — odezwał się surowo i poważnie pan Szczepan, — ale ja mam zupełnie inne poglądy.

— No, jakie, jakie? możeś waćpan mason, albo farmazon?

— Czem jestem, to jestem... ale z ludem postępuję inaczej, a na nauczyciela do mej szkółki szukam przedewszystkiem specyalisty, poświęconego temu i posiadającego pedagogiczne kwalifikacye.

— Cóż więc ma dziś począć nasz brat?! — zawołał zdesperowany Czubkowski, — jak ze wsi wyleci, nigdzie dla niego miejsca niema. Chodziłem po biurach, wszędzie się ode mnie odwracali, w bankach kanalie miejsc nie mają, na kolejach łotry także nie mają, w kantorach prywatnych hycle wolą żydów, niż naszych... w fabrykach sobaki Niemce się rozsiadły; jeśli więc i brat szlachcic swojego nie przygarnie, to cóż robić mamy: wieszać się, czy psy łapać?!...

— Przykro mi bardzo... — bąkał zakłopotany pan Szczepan, — ale mimo najszczerszej chęci dalibóg nic nie poradzę, bo zresztą na posadę nauczyciela trzeba dziś posiadać specyalne pozwolenie.

— To może masz u siebie miejsce na rządcę? — spytał Czubkowski. — Gospodarstwo znam, konie, nawet zkiepska wyścigowe hodowałem, chamów utrzymam ci w rygorze!

— Cała moja fortuna piętnaście włók, gdzież na tem rządcę trzymać?...

— Jakto?... i na takiej wioszczynie chcesz chłopom szkółkę zakładać?

— A no, postanowiliśmy z żoną.

— To musisz mieć kapitały?

— Ale gdzie tam!...

— No, to pójdziesz z torbami, jak i ja, jeśli się w filantropię bawić będziesz...

— Ha, wola Boża!... — westchnął pan Szczepan, — choć ja myślę, żeby mi chłopi z torbą pójść nie dali...

— O tak! wierz ich sercu, wierz, a będziesz zbawiony! Jak mnie we wsi tradowali, to stali hycle przed pałacem, palcami sobie pokazywali, a żaden nawet nie westchnął.

— A to może dlatego, że się to działo przed pałacem; u mnie dworek modrzewiowy...

— Farmazon widzę z waćpana, socyalista i przewrócona głowa! — zakonkludował Czubkowski, wstając z krzesła. — No, ale kiedym się napróżno trudził, to może choć jaką pożyczkę od koligata uzyskam, bo dalibóg na szklankę piwa i kiepskie cygaro mnie nie stać.

Pan Szczepan po raz trzeci sięgnął z westchnieniem do pugilaresu i wsunął Czubkowskiemu trzy banknoty; pożegnawszy go, chwycił za czapkę.

— Umknę z tego piekła!... — zawołał, — bo jak tak dalej pójdzie, to chyba na piechotę będę musiał wracać do siebie.

Wychodząc z hotelu, zapowiedział szwajcarowi, żeby żadnego więcej mężczyzny nie wpuszczał, sam zaś poszedł co prędzej do redakcyi zmienić ogłoszenie w ten

sposób, że w miejsce nauczyciela, poszukuje się do szkółki wiejskiej *nauczycielki... płci żeńskiej...*

— To już zbyteczny dodatek, dwa grzyby w barszcz!... — zauważył dyspozytor drukarni.

— Proszę tak wydrukować, jak żądam, — zakonkludował szlachcic, w obawie, aby się przypadkiem na posadę nauczycielki jaki mężczyzna nie zgłosił.

Nazajutrz, ubrany nieco staranniej, oczekiwał pan Szczepan kandydatek; nie czekał długo, z ostatniem uderzeniem godziny dziewiątej, ktoś lekko do drzwi zapukał.

— *Antre!...* — zawołał gospodarz, — i na to hasło, zwolna wsunęła się zawoalowana niewiasta.

Obejrzawszy się dokoła z całą ostrożnością, jak gdyby się jakiejś zasadzki obawiała, odsłoniła oblicze, nie pierwszej już wprawdzie młodości, ale wcale nieszpetne... a nawet małymi dodatkami tualetowymi pięknie i umiejętnie okraszone.

Więc ponad oczyma biegły dwie równiuchne linie, zdradzające kunsztowność... brwi; pod oczyma lekki odcień z przypalonego korka nadawał wzrokowi jakąś melancholijną głębię; usteczka zbyt może były karminowe, policzki zbyt żywym może rumieńcem od reszty kredowej prawie białości odbijały; słowem — Warszawiak byłby się odrazu na farbowanym lisie poznał, ale prostoduszny szlachcic, nie znający postępów kunsztu malarskiego, brał oleodruk za dzieło oryginalne, sztukę za naturę, i mimowoli z pewnem zajęciem pięknemu przyglądał się zjawisku — a trzeba wiedzieć, że pan Szczepan mimo pięciu z okładem krzyżyków, mimo ćwierćwiekowego zgodnego ze swoją małżonką pożycia, nie był wcale na wdzięki

niewieście obojętnym (czego mu autor za grzech bynajmniej nie poczytuje).

— Pan dobrodziej wybaczy — mówiła, obzierając się ciągle przybyła, — że z pewną nieśmiałością wchodzę do męskiego numeru... tyle jest na nas teraz sieci zastawianych...

— O pani! co do mnie...

— Do takich podstępów uciekają się teraz mężczyźni, byle niewinną ofiarę złowić w sidła...

— Ależ pani, racz spojrzeć na moje siwiejące włosy..

— Włosy niczego nie dowodzą — ciągnęła dalej słodziutko, — na szczytach wulkanów bieleją śniegi, a mimo to w ich głębi wre lawa i huczą gromy podziemne...

— Jakaś poetka — pomyślał sobie pan Szczepan i dodał zaraz:

— Upewnić panią mogę solennie, że jej tu żadne niebezpieczeństwo nie grozi; mam żonę...

— To niczego nie dowodzi...

— No, więc jakże pani inaczej dowiodę? Mam kłopotów dosyć na karku; dziś nam ziemianom co innego w głowie.

— To nie o głowę chodzi... — szeptała dalej skromnisia, — namiętności mają siedlisko swoje gdzieindziej — dodała, wskazując na serce.

— No, jeśli się pani ciągle mnie jeszcze boisz, to trudno, nie zatrzymuję dłużej, choć przykro mi to bardzo.

Na te ostatnie słowa, będące pewnym rodzajem komplementu, skromnisia podniosła oczy, czarne, duże, pełne tajemniczego wyrazu, a topiąc je w spojrzeniu pana Szczepana, odrzekła:

— I dla mnie byłoby prawdziwą przykrością odejść z niczem, raz, że poszukuję miejsca, a powtóre, że osoba pańska dziwne we mnie budzi zaufanie.

— A no... więc jeśli tak, to proszę siadać, — rzekł pan Szczepan, wyciągając rękę.

Przybyła podała mu także drobną dłoń swoją, która lekko zadrżała; drgnienie to magnetycznie oddziałało na szlachcica.

— Dalipan, śliczna niewiasta!... — pomyślał sobie, — gdyby nie Andzia! — Ale w tej chwili stanęła mu na myśli wierna towarzyszka życia, wzrostu trzech blizko łokci i łapki wcale pokaźnej; sny złote w mig gdzieś się rozwiały.

— Czemże pani służyć mogę? — spytał poważnie.

— Pan dobrodziej poszukuje nauczycielki...

— Tak, pani, do szkółki wiejskiej.

— Trudno, proszę pana, wolałabym była miejsce znaleźć w mieście, więcej tu pokarmu dla ducha po całodziennej ciężkiej pracy; ale, że teraz trudno jest dla nas o zajęcie, brak miejsc coraz większy, a potrzeby w miastach się wzmagają, zdecydowana jestem przyjąć to stanowisko na wsi.

— A czy pani posiada pozwolenie na otwarcie szkółki?

— Nie, panie...

— A to napróżnobyśmy się z sobą umawiali, bo to jest warunek nieodzowny.

— Nie byłoby mi to trudnem, przy moich stosunkach — odparła przybyła, — bo mając pozwolenie nauczania, mogę i takie upoważnienie uzyskać; radabym jednak poznać

warunki miejscowe, oraz wysokość uposażenia, żeby wiedzieć, czy warto będzie poruszać moje stosunki...

Ta dwukrotna wzmianka o stosunkach, nie bardzo się panu Szczepanowi podobała.

— Przeznaczamy z żoną płacę roczną 150 guldenów, prócz ordynaryi.

— Wybaczy pan dobrodziej — wtrąciła z lekkim uśmiechem, — ale za takie uposażenie, nikt chyba zanudzać się na wsi nie pójdzie.

— Trudno, praca to nie zabawa, zresztą nie jesteśmy w stanie ofiarować więcej.

— Sto pięćdziesiąt guldenów — powtarzała, — ależ to nędza!

— Jak gdzie, proszę pani. W mieście, zgadzam się, że z tego nikt nie wyżyje; ale na wsi, mając do tego mieszkanie, opał, światło, kilkanaście korcy zboża, morg ogrodu na okopowiny, krowę i wieprzka na oborze i wreszcie dodatek warzyw i owoców, — to ostatecznie pensya na kawę, cukier, harbatę, trochę mięsa i odzież skromną wystarczy.

— Jak komu — odrzekła, spuszczając wzrok, — kto zupełnie zerwał ze światem...

— My też łaskawa pani takich tylko szukać musimy,— bo sami bardzo oszczędnie dzisiaj żyć po wsiach nawykamy.

— A jakież byłyby obowiązki moje, za to skromne wynagrodzenie?... ile godzin pracy?... ile feryi?

— Nauczanie elementarne dzieci wiejskich, musi przynajmniej cztery godziny dziennie zająć — objaśniał ją pan Szczepan, — czas trwania nauki od 1-go października,

to jest od wykopisk do rozpoczęcia robót polnych, — latem lekcyi znacznie mniej, bo dzieci koło domu pomagają rodzicom...

— A czy znalazłabym przynajmniej w domu państwa jakie odpowiednie towarzystwo?

— O to trudniejby było, bo okolica nieznana pani, zresztą niezbyt gęsto zamieszkana.

— A u państwa niema peryodycznych zebrań towarzyskich?...

— Hm?... — szepnął pan Szczepan, — na tym punkcie się nie wtrącam, to już rzecz mojej żony.

— No, bo inaczej, przyznasz pan, że byłby to grób dla kobiety młodej, inteligentnej...

— Żałuję bardzo, ale obiecywać więcej nad to, com powiedział, nie mogę.

— Nie zdziwisz się pan dobrodziej, że się tak zaraz zdecydować nie będę mogła.

— Nie dziwię się bynajmniej, bo i ja na pierwszy rzut oka, wątpiłem zaraz, czy się to miejsce pani uśmiechać będzie.

— Na wszelki wypadek prosiłabym o adres, i mój nawzajem zostawiam.

— I owszem — odrzekł pan Szczepan, — ale nas to tymczasem do niczego nie obowiązuje, bo gdybym znalazł osobę o skromniejszych widokach i wymaganiach, to ją zgodzę.

— A naturalnie, i ja nawzajem gdybym znalazła miejsce w mieście, a korzystniejsze, to je także przyjmę, — dodała, podnosząc się z pewną dystynkcyą i grzecznym gestem żegnając p. Szczepana.

Ściśnienie rączki zakończyło konferencyę, po której pan Szczepan jeszcze chwil kilka miał na oczach piękną nieznajomą. — „To nie dla mnie, a raczej nie dla nas!“ — dodał, machnąwszy ręką.

Przez następnych kilka godzin przesunęło się z półtuzina przeróżnych kandydatek: panien, mężatek, wdów, rozwódek, a nawet separatek, które dla samego tylko oddalenia się od prześladującego je małżonka, pragnęły *zaryć się* gdzieś na wsi. Motywa te jednak nie były dostatecznymi dla oddania kierownictwa szkółką, tembardziej, że mało która z kandydatek, odpowiednie posiadała pozwolenie, i jakie takie kwalifikacye naukowe, lub przynajmniej elementarną praktykę.

Pozbywszy się znów kilku papierków (na poparcie procesu rozwodowego wyproszonych), pan Szczepan znudzony wysłuchywaniem najprzeróżniejszych epizodów z domowego życia, lamentów na społeczeństwo, skarg na nikczemność i przewrotność mężczyzn, zwątpił już był o możności znalezienia odpowiedniej osoby na wieś, gdy dobrze już popołudniu, drzwi od numeru, po raz już niewiadomo który, skrzypnęły, ukazując oczom szlachcica drobniuchną postać niewieścią.

* * *

— Czy z panem dziedzicem mam szczęście mówić? — spytała, dygnąwszy jak zabawka na sprężynie.

— Tak jest — odrzekł pan Szczepan, — z kimże nawzajem?

— Jestem Walerya Czajczyna, *primo voto* Brzdęcka, —

mówiła kobiecina, dygając kilkakrotnie, jak naciśnięta guma — a śmieszną była nad wszelki wyraz.

Malutka, czupurna, o drobnych rysach twarzy, ani szpetna, ani ładna, ani młoda, ani stara, wyglądała na wszelakiego rodzaju stworzenie, tylko nie na kobietę.

Płeć miała ostrą, raczej do męskiej podobną, tylko znów brak zarostu zdradzał kobietę; oczka migające jak u sowy i nosek krogulczy, zwieszający się zwolna ku śpiczastej brodzie, ponad którą biegła wązka smuga ust zaciśniętych, nadawały jej wyraz mocno ukrywanej złości; wszystko to znów było w sprzeczności z głosem rzewnym, tkliwym, drgającym nawet chwilami, choć jego brzmienie nic w sobie niewieściego nie miało.

Odziana w długą salopkę bez rękawów, szczelnie do chudego korpusu przystającą, wyglądała, jak owe figurki z sukna, do wycierania stalek służące.

Zwinna, ruchliwa, podskakująca, strzelała oczkami przy żywej rozmowie, na wszystkie strony, najmniej kierując je ku osobie, do której mówiła, jak gdyby myśli swe w ten sposób ukryć pragnęła.

— Pan dziedzic może znał ś. p. mojego męża Brzdęckiego? — spytała z żałosnem westchnieniem. — O panie, święty to był człowiek — ciągnęła szybko głosem drgającym niby ze wzruszenia, — szlachcic, panie dziedzicu, najczystszej wody... oto jego herb — dodała, wskazując na krwawnikową pieczęć, którą jako brelok na samym wierzchu nosiła. — A jaki miły, jaki inteligentny, jaki wesoły, jaki ujmujący, jaki galant dla naszej płci niewieściej, jak zbudowany... — dodała, spuszczając ślepki.

— Proszę — wtrącił pan Szczepan z pewnem zdziwie-

niem, nie mogąc dopatrzeć się świętości w tych wszystkich wyrecytowanych przymiotach ś. p. Brzdęckiego.

— Ooo... panie dziedzicu, takich mężczyzn dziś już niema prawie; tracąc takiego męża, traci się wszystko...

— A jednak, pocieszyłaś się pani — zauważył złośliwie.

— Zrobiłam to z konieczności... *dziur nesessite* — odparła skromnie, wtrącając pyszną francuszczyznę. — Po ś. p. Brzdęckim została mi córeczka Anetka Brzdęcka, czarująca, arystokratycznych manier, rysów jak moje drobnych, wrażliwa, nerwowa; dla niej to poświęciłam się, wychodząc za mąż po raz drugi.

— Nie bardzo co prawda rozumiem to poświęcenie — rzekł pan Szczepan, — chyba, że drugi mąż pani jest człowiekiem bardzo zamożnym, i przyszłość sierocie zapewnił.

— Przeciwnie — odrzekła z westchnieniem, — zrobiłam nawet *pur ęsi dzir*... mezalians... Pan Czajka bowiem, aczkolwiek bardzo uczciwy, zacny, godny człowiek, nie należy do sfery, z której wychodził ś. p. Brzdęcki.

— Czemże jest?

— Jest... jakby to nazwać... technikiem.

— Jakim technikiem?

— To jest on wszystko potrafi, i dom postawić, i ogrodzenie, i koło machin, jeśliby pan dziedzic miał potrzebę, to to jest geniusz...

— Mam moich majstrów w domu, zresztą wieś mała, nic się budować nie będzie — przerwał pan Szczepan, nie ciekawy talentów i pozycyi społecznej pana Czajki. — Cóż panią do mnie sprowadza?

— Właśnie... wyczytałam ogłoszenie, że pan dziedzic poszukuje nauczycielki do szkoły w swoich dobrach.

— Tak jest — poprawił pan Szczepan, — z tą tylko różnicą, że nie do szkoły, ale do szkółki, i nie w dobrach, tylko jak już wspomniałem, w jednej mojej wioszczynie.

— Zbytek skromności pana dziedzica — dygnęła kandydatka.

— Wcale nie, moja droga pani: piętnastowłókowego folwarku nie można nazywać dobrami.

— No zapewne, ojciec ś. p. mego męża Brzdęckiego posiadał włók trzydzieści, ale niemniej i piętnaście włók także piechotą nie chodzi.

— Więc pani jesteś kandydatką na to miejsce?

— Tak jest, panie dziedzicu, pragnęłabym bardzo...

— A masz pani potrzebne kwalifikacye, pozwolenie?..

— Oto są — odrzekła, wydobywając z zanadrza zwitek papierów.

Pan Szczepan przejrzał je uważnie: w rzeczy samej pani Walerya Czajczyna, 1-mo voto Brzdęcka, posiadała wszystkie potrzebne dokumenta w największym porządku.

— A nie będzie się pani to zajęcie na wsi przykrzyło?

— O, panie dziedzicu, młodość spędziłam na wsi, przy boku ś. p. Brzdęckiego, na wsi przyszła mi na świat Anetka, znam lud i jego potrzeby, potrafię się więc zastosować do mojej nowej pozycyi...

— A jakież są pani wymagania?

— Nie stawiam żadnych — odpowiedziała rzewnie, — bo kobieta zmuszona dziś wychowywać dziecię wątłe, nerwowe i delikatne, godzić się musi z tem, co się jej na

drodze życia nasunie. Warunki pana dziedzica będą moimi.

Odpowiedź ta zręczna a skromna, ujęła pana Szczepana; wymienił uposażenie w zbożu, pieniądzach i innych regaliach, dodając, że jest to wszystko, na co się zdobyć może.

— Przyjmuję — odrzekła pani Czajczyna, dygając do samej ziemi.

— Nadmieniam także — ciągnął dalej p. Szczepan, — że mieszkanie składa się tylko z jednego niewielkiego pokoju, na panią więc i córeczkę zaledwie wystarczy, z mężem byłoby niepodobieństwem; zresztą...

— O, panie dziedzicu — przerwała mu, widząc, że stawia to jako przeszkodę, — mąż mój pracować musi, czasem na jakieś święta wpadnie do nas, zresztą zawsze w pracy po fabrykach...

— A od kiedy mogłabyś pani objąć to miejsce?

— Każdego czasu na rozkaz pana dziedzica przybędę.

— Dobrze więc — zakonkludował pan Szczepan, rad, że już nareszcie zmudne to poszukiwanie zakończy; do domu wracać mu było pilno, pragnął też jak najprędzej widzieć urzeczywistnionem, dzieło kształcenia dzieci, którego tak gorąco oboje z żoną pragnęli.

Pozostawiwszy zadatek pani Czajczynie i w zamian wziąwszy jej papiery i kartę wizytową, na której nazwisko obecne, drobniuchnemi literkami, obok sążnistych *„primo voto Brzdęcka“* pod koroną wydrukowanem było, podpisał zredagowany przez nią naprędce kontrakt, nie czytając go naturalnie zwykłym szlacheckim obyczajem, i ruszył z dobrą miną do domu.

Przygotowania utensyliów do szkółki wiejskiej potrzebnych, sporządzenie ławek przez miejscowego stelmacha, tablicy i stołów, zajęły parę tygodni czasu. Gdy już wszystko ukończone zostało, izba szkolna i mieszkanie nauczycielki wybielone i czyściuchno wymyte, pan Szczepan doniósł o tem przyszłej przełożonej, prosząc jej o jak najśpieszniejsze przybycie.

* * *

W kilka dni potem, dwie fury zaledwie do połowy drabin ładowane, zwiozły przed dom szkolny panią Czajczynę, 1-mo voto Brzdęcką; obok niej na kuferku pokrytym wystrzępionym jakimś dywanikiem, siedziała dziewczynka lat około dziesięciu, w eleganckim, choć wyszarzanym płaszczyku, w jasno niebieskiej wełnianej chusteczce, okręconej około głowy i szyi, z jedwabną parasolką w ręku.

Na drugiej furze rozparł się krzepki, przysadzisty mężczyzna, o rudym zaroście brody i wąsów, czerwony jak ćwik, ćmiąc z długiej cygarnicy papierosa i rozglądając się dumnie wokoło.

Był to ów genialny technik, szczęśliwy małżonek dawnej pani Brzdęckiej, imć pan Czajka. Stanowił on rodzaj księcia-małżonka, na którego żona pracowała. Sam, próżniak skończony, nie posiadający naprawdę żadnego fachu, żadnego elementarnego nawet wykształcenia, stanowił dość zwykłą odmianę gatunku ludzkiego, zwaną trywialnie... wałkoniem.

Czem umiał zdobyć sobie serce niepocieszonej pani

Brzdęckiej, któż to odgadnąć zdoła. Rozumem — nie, pracą — jeszcze mniej, ujmującym wyrazem twarzy — także nie. Chyba więc siła zwierzęca, muskuły jak postronki, kark gruby, jak u bawoła i włosy twardości lwiej grzywy, zaimponowały zasuszonej babinie, obiecując jej rozkosze, których może ze ś. p. Brzdęckim nie zaznała.

W ślad za przybyłymi do domu szkolnego lokatorami, zbiegła się dziatwy wiejskiej gromada, ciekawa zobaczyć nauczycielkę, o której im już pani dziedziczka w dłuższych pogawędkach mówiła.

Pani Czajczyna, zajęta zbieraniem rzeczy z fury i swoją nerwową córeczką, uwagi na nich nie zwróciła — ale za to jej krępy małżonek, tak ostro spojrzał dziecinom w oczy i tak przeraźliwie odchrząknął, że się to wszystko, jak stado wróbli na widok strachа, rozprysło.

Zadowolony z pierwszego wrażenia, jakie osobą swoją wywołał, stanął rozkraczony, z rękoma w kieszeniach przed domem i dalsze czynił obserwacye. Spostrzegł ku wielkiemu zgorszenia swemu, że z przechodzących parobków, nietylko nikt mu się nie kłaniał, ale nawet nikt wielkiej na niego nie zwracał uwagi; — co gorsza, pieski podwórzowe, na które gwizdać począł, nie tylko nie zbliżały się do niego, ale żaden ogonem nie machnął, co także dowodziło, że sobie nie wiele z niego robiły.

— Hardy tu naród, harde sobaki!... — pomyślał w duchu, — no, ale ja ich to zwolna respektu nauczę.

Tymczasem na skręcie uliczki do domu szkolnego wiodącej, ukazał się pan Szczepan ze swoją Anusią podążając na powitanie nauczycielki. Pan Czajka w jednej chwili zrobił zwrot na pięcie, wpadł do mieszkania i wysłał co

tchu żonę na spotkanie dziedziców, z któremi zapoznawać się w tej chwili nie miał szczególnej ochoty.

Z całą troskliwością wypytali się państwo Szczepanowstwo, coby na razie przysłać trzeba, słońce bowiem miało się już ku zachodowi, a o ugotowaniu wieczerzy, wobec nierozpakowanych rzeczy, mowy być nie mogło.

— Dla mnie niby nie trzeba — dziękowała pani Czajczyna, — ale dla mojej Anetki prosiłabym o szklaneczkę herbaty i parę jajek *alakok* (z francuszczyzną trzeba się było i przed dziedziczką popisać).

— Będzie i dla niej, i dla pani — uspokajała pani Szczepanowa, gładząc po głowie dziewczynkę, gdy tymczasem mąż jej zarządzał przyniesienie świeżego siana i słomy do sienników.

Mieszkanko nauczycielki, tuż przy izbie szkolnej, składało się z jednego pokoiku, alkierza i kuchenki; czysto wybielone i schludne, byłoby dla jednej kobiety z dzieckiem zupełnie wystarczającem, ale gdy się gdzie rozkwaterowywał pan Czajka, miejsca dlań wszędzie było za mało.

Debiut swój rozpoczął od tego, że przyniesioną dla żony i pasierbicy wieczerzę, sam prawie całą spałaszował — na jedynem łóżku rozwalił się zaraz po jedzeniu, i tak, jak był odziany, w grubych jałowiczych butach, urżnął śpika, czując się podróżą bardzo znużonym. Żona z Anetką w alkierzu, na gołej słomie spoczęły, bojąc się przerwać snu Samsonowi, który chrapał, że aż szyby w oknach dzwoniły.

Nazajutrz zajęła się pani Czajczyna jak najprędszem uporządkowaniem mieszkania, lekcye bowiem na żądanie

państwa Szczepanowstwa niebawem rozpocząć się miały. Że jednak szczególny miała pociąg do wszelkiego rodzaju szopek, uprosiła więc dziedzica, aby inauguracya tej jednoklasowej akademii odbyła się z całą uroczystością, wobec księdza proboszcza, wójta gminy, sołtysa, całej arystokracyi wioskowej i całej gromady włościan.

Pan Szczepan pragnął tylko poświęcenia szkoły przez kapłana w obecności chłopków, reszty bowiem dygnitarzy nie był żądnym, że jednak pani Czajczyna perswadowała, iż to dla nadania szkółce charakteru urzędowego jest koniecznem i obowiązkowem, że tak ona, jak i wójt gminy raporta władzy swej o tym ważnym fakcie złożyć muszą, zgodził się rad nie rad na uroczystość, która też wedle programu, z całą pompą się odbyła.

Odtąd w cichej dytychczas izbie wiejskiej, nowe zawrzało życie. Dzieciaki obojga płci w liczbie około trzydziestu, stawiły się do apelu i rozpoczęła się nauka (wedle zapewnień pani Czajczyny) w całem tego słowa znaczeniu.

Pan Szczepan sprowadził całe stosy książek i elementarzy, których wykaz nauczycielka mu podała, co dni kilka dopełniano jakieś braki to w kajetach, to w piórach, z któremi — wedle twierdzenia pani Czajczyny — niedźwiedzie łapy wiejskich dzieci, niemiłosiernie się obchodziły. Nie żałował jednak wydatku i zachodu, bo ile razy koło domu szkolnego przechodził, cieszyło go nad wszelki wyraz dolatujące z izby brzęczenie dzieciaków, niby roju w ulu pracującego. Radzi też już być zaczynali chłopi, bo ze zbytniemi dzieciakami przez zimę, matki mniej miały kłopotu.

Dobroczynny wpływ szkółki po kilku tygodniach widzieć się już także dawał na zewnątrz. Zamiast nastraszonych kudłów, gładko przyczesane główki, twarzyczki czysto umyte, a odzież i bielizna staranniej i ochędożniej utrzymywane, nadawały wiejskiej dziatwie piętno pewnego już postępu.

Pani Szczepanowa, zaglądając od czasu do czasu do szkółki, rada też była niezmiernie widokowi karniejszej nieco dziatwy i budzącemu się zapałowi do nauki, ilekroć jednak wchodziła do izby szkolnej, tyle razy pani Czajczyna zatrzaskiwała drzwi od swego mieszkania, jak gdyby się tam wejścia natrętów obawiała, — a co dziwniejsza, ile razy pani Szczepanowa pragnęła być obecną przy nauce, tyle razy pani przełożona przerywała takową, prosząc dziedziczkę najusilniej, aby to odłożyła do ogólnego egzaminu, pragnęła bowiem tem większą zrobić obojgu niespodziankę.

Szło więc wszystko, pozornie przynajmniej, jak najlepiej, i gratyfikacyjki, już to w zbożu, już w pieniądzach dowodziły, jak radzi byli państwo Szczepanowstwo spełnieniu się ich najgorętszych pragnień.

* * *

Jedyną ciemną stronę obrazu stanowił imć pan Czajka, który niepytany i nieproszony, rozkwaterował się był, jak u siebie. Z ludźmi kłócił się i wymyślał, jak gdyby u niego służyli; owczarz skarżył się, że z nieodstępnym papierosem wchodził mu do owczarni, pastuch monitował go o to samo, na co odbierał krótką odpowiedź:

— Stul pysk! rozumiesz kundlu!.. i basta!

Jeśli mu przypadkiem odpowiadał, że on nie pies, żeby mu od kundlów wymyślano, pan Czajka dodawał wtedy:

— Stul pysk! powtarzam, jeśli nie chcesz zębów w garści zanieść do chałupy!..

Te, i tym podobne skargi, wielce pana Szczepana drażniły, ale najgorszą była skarga pachciarza, któremu mleka codzień do udoju brakowało, od czasu, jak pan Czajka zbyt często oborę odwiedzał.

Na interpelacyę uczynioną w tej mierze, objaśniał on wizyty swoje w oborze, interesami... natury delikatnej, — wskazywano mu inne okolice, któreby z równą dla siebie korzyścią mógł odwiedzać, ale zamiłowanie jego do obory było większem, nad wszelką perswazyę, a tymczasem, pachciarz, płacący ze sztuki, biadał i utyskiwał coraz głośniej.

Zniecierpliwiony nareszcie do żywego, zaczaił się pewnej nocy między krowami, razem z pastuchem i jego czujnym kundelkiem, i pochwycili za kołnierz pana Czajkę, w chwili, kiedy z półgarnca mleka już był wydoił. Wszczęła się bójka nie na żarty i przy herkulesowej sile księciamałżonka, byłby on z niej wyszedł zwycięsko, gdyby nie pomoc stróża nocnego i reszty służby z podwórza. Ubezwładnionego poprowadzono do dworu, ale niestety... brakowało *corpus delicti*, brakło wydojonego mleka, które podczas bójki zmyślny kundelek pastucha, korzystając z zamieszania, do ostatniej kropelki wychlapał.

Pan Czajka, biegły w tego rodzaju sprawach, wyparł się wszystkiego, groził skargą o napaść, i byłby ją pewnikiem w sądzie wygrał, gdyby nie interwencya gą-

siorka wódki, którym pachciarz i chłopi sprawę palącą zaleli.

Po tej awanturze, pan Szczepan zniecierpliwiony ciągłemi skargami, zwrócił w sposób dość stanowczy uwagę pani Czajczynej, że przy wzajemnej umowie, nie było wzmianki o stałym pobycie małżonka, że przeciwnie, wyraźnie zapewniała, iż mąż jej zatrudnionym będzie w jednej z fabryk, dość gęsto po okolicy rozsianych.

Czuła połowica, ze łzą w oku przyjęła to do wiadomości — głosem drżącym ze wzruszenia czy złości, zapewniała, że pan Czajka był już wszędzie, bo bezczynność go zabija, ale nie obiecywano mu roboty prędzej, niż w lecie, kiedy fabryki doprowadzać się będą do porządku. Broniła także męża przeciwko zarzutom, jakimi go ludzie obarczali.

— To zacność chodząca panie dziedzicu! — mówiła głosem wzruszonym, — on za dobro pana dziedzica, dałby się w kawałki poćwiertować, i za to właśnie, że my tak o dobro pańskie dbamy, wrą na nas wszyscy, jak psy!

Pan Szczepan ręką tylko machnął i odszedł, to „dobro pańskie“ było frazesem, aż nadto dobrze mu znanym, każdy bowiem patentowany złodziej zawsze te sakramentalne wyrazy miewa na ustach. Dla miłej zgody, a szczególniej dla miłości dziatwy i szkółki, rad nierad postanowił czekać już lata cierpliwie.

Nadeszła wiosna, ciepła, piękna, uśmiechnięta. Jak tylko sałata, rzodkiewki i inne smakołyki pojawiły się na grzędach, pan Czajka zaczął przenosić sferę swych interesów... natury delikatnej, z obory do ogrodu warzywnego. Ponieważ do tego światło dzienne niekoniecznie było po-

trzebnem, najczęściej odwiedziny takie późnym odbywały się wieczorem, i to wtedy, kiedy już ogrodnik całodzienną pracą strudzony, spożywał w domu wieczerzę.

Wizyty te niepostrzeżone trwały czas jakiś bezkarnie, choć ogrodnik użalał się na swych pomocników, że mu wyjadają rzodkiewki, a raz nawet do czynnej względem nich posunął się admonicyi.

Niesprawiedliwą karą dotknięci chłopcy, zasadzili się ze swoim pieskiem na złodzieja, i pewnej księżycowej nocy schwycili pana Czajkę na gorącym uczynku. Narobili hałasu, piesek nawet szat mu trochę ponadzierał, zbiegła się służba z podwórza, ale nim się to wszystko stało, pan Czajka połknął, co miał w gębie, resztę gdzieś zręcznie zaprzepaścił, i z wściekłością obrażonej cnoty odgrażał się, że mu za postrzępione szaty i szkodę przez psa wyrządzoną, ogrodnik sowicie zapłaci.

I znów sprawa z jego powództwa iść miała do sądu, i znów dla braku dowodów, groziłaby była kara ogrodnikowi, gdyby nie interwencya gąsiorka wódki, który jak poprzednio, rzecz całą zalać potrafił.

Pan Szczepan, przekonany w gruncie o winie Czajki, zdobył się wreszcie na energię, i zabronił mu w sposób jak najbardziej stanowczy odwiedzin ogrodu.

— Gdzież się biedny sierota podzieje? — pytała drżącym głosem małżonka.

— Gdzie chce, byle nie w oborze i ogrodzie! — odpowiadał nieubłagany pan Szczepan.

Minęło parę miesięcy pozornego przynajmniej spokoju — w ciągu tego czasu pan Czajka parę razy wydalał się z domu, niby do okolicznych fabryk, po robotę, ale

z krótkotrwałych takich wędrówek wracał po dniach kilku. Namiętny lubownik przyrody i spacerów, kroczył on dnie całe po polach, tam zwłaszcza, gdzie się zielenił strączysty groszek rychlik, i radliny słodkiej marchwi pastewnej.

Wycieczki takie odbywały się w różnych porach dnia, często niepostrzeżenie i wieczorami, powodując znów groźne admonicye dziedzica udzielane polowemu za potratowany groch rychlik i powyrywaną młodą marchew.

— To nikt inny wielmożny panie, ino naucyciel — bronił się polowy. (Nauczycielem zwali chłopi męża nauczycielki, tak jak *vice versa* w miastach mianują profesorową żonę profesora, doktorową żonę doktora i t. p.).

— Kto kradnie, to kradnie, tyś od tego, żebyś pilnował! — odpowiadał zagniewany dziedzic, — schwytaj złodzieja na uczynku, to raz koniec temu wszystkiemu położymy!

Nareszcie, po paru tygodniach, dosyć już późnym wieczorem, zawrzało w grochu. Krzyk, hałas, ujadanie pieska polowego, sprowadziły ludzi z podwórza, nadbiegł też i sam pan Szczepan.

Jak dzik, osaczony w ostępie, miotał pan Czajka przekleństwami na otaczającą go zgraję; rzecz była już cale poważna, bo polowy dzierżył w ręku czerwoną chustę delikwenta, w której sporo strączków grochu i kilkadziesiąt narwanych marchewek spoczywało.

Tłómaczenie się pana Czajki interesami... natury delikatnej, uwzględnionem przez pana Szczepana być nie mogło, bo gdyby nawet oskarżony był jakie dowody na poparcie swojej obrony okazał, to fakt znalezionych w ta-

kiej ilości zielenin, obarczał go tem silniej, że one właśnie mogły być powodem owych... zbyt delikatnych interesów.

Pan Szczepan zabrał *corpus delicti* ze sobą, i tak, jak byli, w otoczeniu służby folwarcznej, powędrowali z panem Czajką do domu szkolnego.

Spotkanie się małżonków było rozdzierającem. Pani Czajczyna z rozpaczy załamywała drobne swe rączęta, tak, że aż kosteczki trzeszczały, sznurowała wąziuchne usteczka, mrugała oczkami jak kotek, chcąc w ten sposób łzę choćby jedną wycisnąć, ale łzy nie przybywały, jak na złość, a głosik jej drżący, mało już sprawiał wrażenia.

— Koniec z tem być musi! — wołał zniecierpliwiony do żywego pan Szczepan, — taki przykład na wsi demoralizuje mi ludzi i niweczy najzbawienniejszy nawet wpływ szkoły; jeśli pani miejsce miłe, nie wymawiam go, ale wyraźnie zastrzegam, aby mi się jej małżonek usunął, inaczej i my się z sobą rozstać będziemy musieli.

Na takie *dictum acerbum,* rady już żadnej nie było. Z westchnieniem z głębi deski piersiowej dobytem, zrobiła pani Czajczyna ruch głowy, oznaczający poddanie się ciężkiej konieczności, a i sam pan Czajka, świadomy kary, jakaby go za kradzież z pola czekała, w niemem milczeniu wyrok ten banicyjny przyjął.

Szczegółów rozstania się Hektora ze swoją Andromachą opisywać nie możemy, bo się ono przy drzwiach zamkniętych odbyło, tyle tylko na zewnątrz wiadomem było, że dwie kwarty wódki popłynęły z karczmy do szkoły, i że nazajutrz pan Czajka ze sporym węzełkiem,

zawieszonym na końcu kija i z sążnistym papierosem w gębie, opuszczał szkołę w dzień biały, ciskając piorunujące spojrzenia dokoła.

* * *

Nadchodziła pora wakacyi, które poprzedzić miał generalny egzamin i tak zwany akt uroczysty, mający być zorganizowany przez biegłą w takich szopkach panią Czajczynę.

W dniu oznaczonym na niedzielę, zgromadziła się w pełnym komplecie dziatwa świątecznie przystrojona, zeszły się baby wiejskie z dzieciakami u piersi, jak gdyby zachęcać je chciały do naśladowania kiedyś przykładu uczących się dzieci, przylazły też i chłopy, rade przyjrzeć się nowemu dla nich festynowi, dotąd bowiem prócz procesyi kościelnych, dożynek i zwykłych tanów w karczmie, żadnych innych uroczystości nie widzieli.

Na godzinę oznaczoną po nieszporach, przyjechał ksiądz proboszcz, wójt gminy z łańcuchem na szyi, ławnik z insygniami urzędowemi, sołtys z błyszczącą blachą na piersiach, podsołtys z mniejszym już znaczkiem, stawiła się też do apelu i arystokracya wiejska Zacniewa. Więc ekonom w *dyżurku* o sutej odstającej spódnicy, żona jego z *tyrmiurą,* na której kiepski kawalerzysta mógł się był rozsiąść, jak na siodle, ogrodnik w mocno kraciastej *bążurce,* kupionej na tandecie (wyraz ostatniej mody wielkomiejskiej), żona jego w jasno-zielonej sukni, przypominającej wszelkiego rodzaju nowalie, gospodyni szeleszcząca jak dzik spódnicami, na które nie żałowała kroch-

malu, będąc jego generalną fabrykantką, wreszcie przybył także organista w dużym pąsowym krawacie, bijącym taką łuną, że bydło na przydrożnem pastwisku o mały włos go nie zabodło.

Na długim stole szkolnym, okrytym jakąś kołdrą zieloną, mającą naśladować urzędowe tegoż koloru sukno, leżały nagrody w elementarzach, książeczkach do nabożeństwa, i obrazkach świętych, sprowadzonych przez pana Szczepana w ilości mu wskazanej.

Dziatwa, otoczywszy stół w półkole, pożądliwem spoglądała okiem na te dary, przypaść jej w udziale mające, trwożliwe ciskając natomiast spojrzenia na tylu zgromadzonych dygnitarzy.

Na znak dany przez Czajczynę, papierem w trąbkę zwiniętym, kilkanaście głosów dziecinnych zaintonowało kantatę nieznanego światu autora. Muzyka nader podejrzanej wartości, bez sensu i rytmu, sparodyowana nadto przez malców, nieposiadających ani słuchu, ani głosu, robiła wrażenie jakiegoś beczenia, które zamiast uroczystego nastroju, śmiech tylko tłumiony między obecnymi wywołało. Fiasco to nie mogło być dostrzeżonem przez panią Czajczynę, która nadziawszy w dniu tak ważnym na cienki swój nosek sążniste srebrne okulary, była pochłonięta dwiema w tej chwili czynnościami: dyrygowaniem chóru jedną ręką, a drugą poprawianiem na okrągłym nosie krogulczym spadających jej ciągle okularów.

Skończyła się wreszcie kantata życzeniem ostatniej strofy, skierowanem do dziedziców: „Niech żyją!“, którym jakieś złośliwe echo z tłumu odpowiedziało: „Tylko niech tak nie wyją...“ Podejrzywano o tę złośliwość mu

zykalnego organistę, ale ponsowy krawat nie dał rozpoznać rumieńca sprawcy.

Po tym epizodzie, szanowany przez parafian proboszcz powstał z miejsca, i w kilku serdecznych wyrazach wystawił kmiotkom ważność i pożytek szkoły, wdzięczność, jaką żywić powinni dla dziedziców za ich chętny współudział i posłuszeństwo, jakie się należy wszelkiej władzy nadanej od Boga, w ślad za czem pani Czajczyna usunęła dzieci w tył, ukazując zdziwionym kilkoro nieznanych dzieci, wprowadzonych przez nią z jej prywatnego mieszkania.

Na czele tej gromadki szła jej córeczka Anetka, w białej sukience, z przepaską jedwabną przez piersi, z wieńcem kwiatów na głowie, przystrojona jak do pierwszej komunii św., a za nią trzech sporych chłopców i dziewczynka, z miejska, z pewną nawet elegancyą wystrojonych. Były to dzieci oficyalistów z okolicznych wsi — z miejscowymi bowiem pani Czajczyna w ciągłej była wojnie — a stanowiły ową niespodziankę, z którą się kryła w swem mieszkaniu, tak zwany *drugi oddział,* o którym nigdy z panią Szczepanową mowy nawet nie było.

Zdziwili się temu obecni. Wójt się zmieszał, zrodziła się w nim bowiem wątpliwość, czy na taki drugi oddział było pozwolenie władzy? Pan Szczepan uczuł nawet żal pewny, że jeśli już kształcić się miały dzieci niewłościańskie, to pierwszeństwo należało się chyba dzieciom jego oficyalistów. By jednak nie psuć dalej harmonii, którą kocia muzyka i tak już mocno nadwerężyła — milczał.

Rozpoczął się popis tego II-go oddziału, od deklamacyi... francuskiej.

Obecni spojrzeli po sobie ze zgrozą i oburzeniem.

Ksiądz proboszcz rozumiał tyle francuszczyzny, ile jej łacina przypominała; reszta dygnitarzy i arystokracyi wiejskiej ani w ząb. Państwu Szczepanowstwu francuszczyzna ta przywiodła na pamięć nie tylko *krowy hiszpańskie,* ale zwykłą trzodę polską.

Zaledwie nerwowa Anetka skończyła papuzią deklamacyę, i następujący po niej Jędruś, syn ekonoma z Pępkowa, wyrecytował jednym tchem tytuł: „La lecier elepotole“, co miało zapowiedzieć znaną bajkę o mleczarce i jej dzbanie; pan Szczepan, nie mogąc już dłużej wytrzymać, przerwał tę głupią komedyę, tembardziej, że wójt siniał już ze strachu a chłopi i baby przedrwiwać między sobą zaczęły.

— Za pozwoleniem! — zawołał oburzony, — przyszliśmy tu na egzamin naszych wiejskich dzieci, dla których szkołę założono.

— A juści... a ino... — mruczeli głośno chłopi.

— Ma wielmożny pan racyę — dodawały baby, znudzone czekaniem i utulaniem niecierpliwiących się niemowląt.

— Tembardziej — ozwał się i wójt, — że mnie... władzy... nawet nie wiadomo, czy wolno uczyć chłopskie dzieci po francusku...

— Ja też nie chłopskie dzieci uczyłam — odezwała się piskliwie przełożona — moja córka jest szlachcianka!

— Dosyć tego! — zawołał ponownie p. Szczepan, — swój tak zwany drugi oddział, o którego istnieniu nikt

nie wiedział, zechciej sobie pani sama później wysłuchywać; my prosimy o egzamin dzieci wiejskich. Dalej chłopcy i dziewuchy na środek! — zakomenderował, i wysypała się gromada dzieciaków, także zniecierpliwionych, z takim impetem, że arystokracyę drugiego oddziału na tyłach swoich pozostawiła.

Pani Czajczyna pokraśniała ze wstydu czy złości, zacisnęła drobne piąsteczki, wargi przygryzła, ale rada nie rada, rozpoczęła egzamin, każąc czytać na swoich elementarzach pierwszej uczennicy i kilku następnym.

Czytanie szło gładko, wyjątkowo gładko, tak nawet gładko a pośpiesznie, że wzbudziło w księdzu i panu Szczepanie wątpliwość, czy jest rzeczywiście czytaniem. Dziwna modulacya głosu w ustępach najmniej nadających się do tego, spoglądanie na obecnych w czasie czytania, wreszcie nieodwracanie stronnic w miejscach, które już na następnej karcie drukowane były, przemieniły wszelką wątpliwość w pewnik matematyczny.

— Pozwól kochanie — przerwał trzeciemu z rzędu dziecku ksiądz proboszcz, i wziąwszy inny elementarz ze stołu, podał mu pierwszą zaraz kartę do przeczytania.

Chłopiec milczał, patrząc na niego trwożliwie.

— Czytaj kochanie... nie bój się chłopysiu — ośmielał go sam pan Szczepan.

Chłopiec dalej milczał uporczywie.

— No, to przesylabizuj mi parę wyrazów — mówił łagodnie proboszcz, otwierając elementarz w innem miejscu.

Chłopiec milczał dalej, patrząc trwożliwie na swoją kierowniczkę. Pani Czajczyna pokraśniała, jak wiśnia.

— Na taki egzamin dzieci nie były przygotowane — szepnęła ze złością.

— Jakto nie przygotowane? — spytał proboszcz, — kto tańczy, musi umieć chodzić; kto czyta, musi umieć sylabizować.

— To stara metoda — odrzekła urażona, — dziś już nikt sylabizować nie uczy.

— Mniejsza o to! — wtrącił niespokojny pan Szczepan, który żadnej kontroli nad sposobem nauczania nie rozciągał, — niech mu pani po swojemu każe na tej książce czytać, ale niech pokaże, że umie.

— Jo na inszej karcie, ino na tej mojej, nie umię — odparł, przyszedłszy do siebie, dzieciak.

— Przecież litery, mój chłopysiu, są jedne i te same na tej karcie, jakaż to litera? — pytał proboszcz dalej.

Nieszczęśliwy egzaminowany głośnym płaczem wybuchnął.

— Ja ta na inszej karcie nie umię! — szlochał coraz głośniej, tuląc głowę między kolana matuli.

Pytani na wyrywki inni chłopcy: Ignaś, Sobek, Antek, Grześ, których pan Szczepan wywoływał, tak samo liter prawie nie znali. Egzamin dowiódł, że biedne dzieci, tyranizowane przez panią Czajczynę (poświęconą głównie oddziałowi drugiemu), wykuły za panią matką pacierz, umiały całą stronnicę na pamięć, nie czytając prawie wcale, blaga bowiem tylko i chęć popisu były podstawą nauczania pani Czajczyny.

Finałem najgłówniejszym egzaminu był płacz i łkanie każdego pytanego dzieciaka, tak, że uroczystość, rozpoczęta jednem beczeniem kantaty, zakończyła się stokroć

gorszym generalnym bekiem, przypominającym stado cisnących się do paśnika owiec.

— Szopka smutnie wypadła — zauważył, podnosząc się z miejsca, proboszcz.

— Okropieństwo! — dorzucił organista.

— I wyraźnie... przeciwne przepisom władzy! — dodał wójt gminy.

Chłopi mruczeli już na głos, kobiety głaskały po głowach biedne, rozbeczane ofiary takiej nauki.

— Szkoda było czasu i atłasu — zakonkludował pan Szczepan, i by utulić płacz zawiedzionych laureatów, rozdano im książeczki, elementarze i obrazki, nie jako nagrody, ale jako zachętę, by się na przyszłość, przy innej organizacyi szkółki, do nauki żwawo garnęli.

Zaraz nazajutrz, pan Szczepan po dłuższej konferencyi z żoną, która nawiasem mówiąc, nigdy szczególnego nabożeństwa do pani Czajczyny nie miała, zdobył się na odwagę i wymówił jej miejsce w szkółce.

— Pan dziedzic zdaje się zapominać, że szkoła jest *moją* — odrzekła piskliwym, choć niby łagodnym głosem.

— No, to niby *de nomine,* ale *de facto* przecież...

— I *de nomine* i *de facto* — odparła z całą stanowczością.

— Pani chyba sobie żartuje — wtrącił zmieszany.

— Nie mam zwyczaju i czasu na żarty — odrzekła, zabierając się do wyjścia.

— Za pozwoleniem! — krzyknął już pełną piersią rozłoszczony szlachcic, chwytając ją za rękę.

— Proszę mnie puścić! rozumiesz pan! — krzyknęła zatrzymana.

— Hola mościa panno! — huknął, ściskając ją bezwiednie, ale zarazem tak mocno, że drobne kosteczki zachrobotały.

— Dla Boga! ludzie! ratujcie!.. rozbój niewinnej ofiary! — wrzeszczała głosem sowy, pawia drącego się w ogrodzie, lub wreszcie szarej ptaszyny, od której nazwisko swe obecne dzierżyła.

Na krzyk ten zbiegło się paru ciekawych. Pan Szczepan oprzytomniał, puścił siną i spienioną ze złości, i ochłonąwszy nieco, spytał ciszej:

— Więc się pani dobrowolnie nie usuniesz?

— Nie.

— I jak długo?

— Do ekspiracyi kontraktu.

— To jest?

— To jest do lat trzech! — zakonkludowała pani Czajczyna, zwracając się ku drzwiom.

— Zobaczymy! — wrzasnął wściekły.

— Zobaczymy! — powtórzyło piskliwe echo.

* * *

Wracającego biedaka spotkała pani Szczepanowa przed domem; z szybkich jego kroków, z rąk w tyle założonych, ze spuszczonej głowy, nastroszonych wąsów i przyśpieszonego sapania, wierna towarzyszka poznała, że się coś niedobrego święci. Poszła więc w milczeniu za nim do kancelaryi, oczekując relacyi, ale pan Szczepan sapał ciągle, jak miech kowalski, i do słowa przyjść jeszcze nie mógł. Cisnął kapelusz na stół, chwycił za fajkę, na-

łożył ją szczerym, wonnym drajkenigiem, zapalił, dopiero gdy parę kłębów dymu uniosło się nad jego głową, zaczął zafrasowanej swej żonie zdawać sprawę ze swej wycieczki.

— A cóż tam w tym kontrakcie stoi? — zapytała oburzona.

— Albo ja wiem! — westchnął biedak, rozkrzyżowując ręce.

— Nie masz-że drugiego egzemplarza?

— A nie mam! — zakonkludował z iście desperackim gestem.

— Hm... to źle... to źle... — biadała pani Szczepanowa.

— A no źle! bardzo źle!.. — wtórzył jej zbiedzony małżonek, — radźże teraz Anusiu, bo ja już głowę tracę.

— Ja ci mój Szczepanku nic nie poradzę, ale wiesz co? jedźmy do księdza proboszcza po radę...

— A jedźmy... — powtórzył machinalnie pan Szczepan i w niespełna godzinkę potem byli oboje na plebanii.

Narada dosyć ożywiona i wyczerpująca, do żadnego nie doprowadziła rezultatu; ksiądz, z charakteru swego duchownego, zalecał zgodę, pojednanie... o czem zacietrzewiony szlachcic ani słyszeć nie chciał.

— Ja ją spieniam, sprocesuję babę i z bebechami za wrota wyrzucę!

— A no... jeśli ma iść na proces, to ja się na tem nie znam — odpowiadał proboszcz, — poślę wam po organistę, on tam niegdyś był dependentem u adwokata, to może coś wam prędzej poradzi.

Przyzwany ex-dependent, — który, jak mówili jedni, dla miłości sztuki, — a jak twierdzili drudzy, dla miłości

jakiejś księżej gospodyni, zamienił był akta na organy, — stawił się niezwłocznie.

Dowiedziawszy się o przedmiocie konferencyi, zatarł ręce z radości — raz, że się w nim odezwała dawna żyłka pieniacka, powtóre, że serdecznie pani Czajczyny nienawidził, które to zresztą uczucie wszyscy prawie, co ją znali, podzielali.

Podjął się z chęcią ex-kauzyperda napisania skargi do sądu i poprosił o umowę, któraby mu za podstawę do tego posłużyła.

— Ba! — rzekł pan Szczepan, — kiedy ja nie mam kontraktu.

— Co?! — spytał oburzony jurysta, — jakże można nie mieć kontraktu między stronami?

— A no... widać, że można, skoro nie mam.

— Hm — mruczał pod nosem ex-dependent, pocierając czoła, — to głupia historya!

— A no... wasana też się dlatego radzimy....

— Ja bez dokumentu nic nie poradzę, bo nie mam podstawy prawnej do akcyi.

— Może jednak... coś... przecież... jakiś kruczek naprzykładby się znalazł? — pytał zakłopotany pan Szczepan.

— Panie dziedzicu — sumitował się ex-jurysta, — nie znam się na kruczkach, bo mecenas Kodeksiński, przy którym praktykowałem, żadnej sprawy z kruczkami nie przyjmował.

— No, na to mamy tu lepszego majstra — zauważył proboszcz.

— Naprzykład? — spytał pan Szczepan.

— Pisarza gminnego.

— A prawda! — klasnął w ręce uradowany szlachcic.

— Huncwota bo jest kawał — zauważył ponownie ksiądz.

— I kodeksu nie zna ani krzty — dodał organista.

— Ale na kruczki szelma kuta, jak koń na cztery nogi! — rzekł proboszcz: — dojadł on mi już nie raz...

— A to poślijmy po niego, mój proboszczuniu! — prosił pan Szczepan.

— Nie kochany dziedzicu — zaoponował kapłan, — plebania nie może służyć jako miejsce do radzenia nad kruczkami, swarami, procesami; stąd miłość chrześcijańska, zgoda i przebaczenie płynąć tylko między ludźmi powinny — jeśli chcecie, idźcie do niego, i tam się porozumiejcie z nim sam na sam.

Państwo Szczepanowstwo w milczeniu i ze schylonemi głowami uznali zasadność tego twierdzenia.

— To i ja pójdę z państwem — odezwał się ex-dependent, ciekawy tej narady.

— I waści zabraniam! — szepnął mu na ucho ksiądz proboszcz, — jesteś sługą Bożym, nie wypada kręcić ci się w takich sprawach.

Państwo Szczepanowstwo pożegnali proboszcza i udali się niezwłocznie do domu, mieszczącego zarząd gminny.

Pan pisarz siedział właśnie przy biurku.

Dość słusznego wzrostu, chudy, choć mocno, zwłaszcza na nosie czerwony, z oczkami z pod niebieskich okularów bystro na wsze strony strzelającemi, z wiecznym, papierosem w gębie — wyobrażał on zaraz na pierwsze wejrzenie typ skończonego łobuza, ale w lepszym i szlachetniejszym gatunku, całe bowiem wzięcie się pana pisarza, modne uczesanie głowy z grzywką na czole, a ró-

wnym przedziałem z tyłu, wreszcie odzież, acz podniszczona, ale modnie i dość elegancko skrojona, dowodziły, że nie z takich on pieców chleb jadał.

Dziedziców Zacniewa pan pisarz przywitał, wstając grzecznie, ale bez uniżoności — przeciwnie, ukłon jego był raczej jakby nieco protekcyonalnym, głową tylko bowiem zwykł był skinąć, nie zginając karku ani trochę. Podobno duma ta szlachetna pozostała mu jeszcze z czasów, kiedy wojskowo sługiwał; bali się go w gminie, jak ognia, ale też jak na ogień zalanie wodą bywa jedynym środkiem, tak i na pana pisarza, zalanie jego złego humoru cieczą, jak najmniej wody zawierającą, było jedynem lekarstwem. Nie pogardzał też dadatkami w najróżniejszych postaciach, bądź to w zbożu, bądź w drobiu, warzywach, trunkach, zwierzynie, papierosach — najmilszą dla niego jednak była moneta, kurs w kraju mająca, ta bowiem najmniej miejsca zajmowała, a najwięcej dostarczyć mogła rozkoszy.

Znali go wszyscy w gminie z tej strony, i najczęściej zaraz przy powitaniu, jednał sobie każdy dobry humor pana pisarza, wsuwając mu coś w łapę.

Wiedział o tym talizmanie pan Szczepan i nim jeszcze wszedł do izby biurowej, dobył z kieszeni zielonego papierka, wsuwając go zaraz przy wejściu w szeroką a wyćwiczoną dłoń gminnego dostojnika. Po kolorze biletu bankowego poznał pan pisarz, że interes musi już być trochę większej wagi.

Zaledwie pierwsze te ceremonie załatwiono, i zaledwie państwo Szczepanowstwo zasiąść zdołali, wsunął się także chyłkiem organista, którego żyłka pieniacka, jak księżyc

lunatyka, mimowiednie pociągnęła na naradę. Gestem dość grzecznym, ale wpółurzędowym wskazał mu pan pisarz miejsce bardziej nieco oddalone, bo prawie z piecem graniczące, i zwracając się do pana Szczepana, zapytał o przedmiot narady.

W krótkich słowach streścił zakłopotany dziedzic rzecz całą, prosząc jednocześnie o podanie sposobu pozbycia się tej baby, razem z jej szkodnym małżonkiem.

— *Notabene* — dodał organista, — zwracam uwagę, że niema żadnego *dokumentu,* na którymby się oprzeć można.

— Do czego? — spytał pan pisarz.

— Do rozpoczęcia akcyi o unieważnienie umowy i żądania sądowej eksmisyi — odrzekł dumnie kauzyperda.

— Jak to zaraz znać cybulusa, który wojskowo nie służył! — zaśpiewał pan pisarz, przeciągając wyrazy.

— A cóż to ma do tego? — spytał urażony ex-de-pendent.

— A ma, zaraz się pan przekonasz. Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób bierze się forteca?

— No, to i dziecko wie, że szturmem, — odparł przytomny organista.

— A gdy się szturm nie uda? — spytał znowu.

— No, ja tam nie wiem! — ofuknął interpelowany.

— Głodem się bierze, kochanie, głodem!...

— Nie rozumiem — odparł, machnąwszy rękąex-dependent.

— A w tem i złe... Otóż, panie dziedzicu, szturm do pani Czajczyny się nie udał, trza ją wziąć na głód.

— Jakto na głód? — spytał pan Szczepan.

— A tak, na głód! nic jej nie dawać, ani pensyi, ani ordynaryi, ani roli na kartofle.

— To mnie baba zaskarży! — zauważył pan Szczepan.

— A w tem to i rzecz cała — zaśmiał się pan pisarz, — kiedy my nie mamy tytułu do akcyi, to niech ona skarży, wtedy będzie musiała złożyć sądowi kontrakt, i dowiemy się, co w tym kontrakcie stoi; gdy to będziemy mieli, to już sama obrona mała rzecz.

— A to dalibóg rada z nieba! — zawołał uradowany pan Szczepan.

— Pie... prędzej z piekła, niż z nieba — dodał od niechcenia zazdrosny organista, — ale bądź co bądź, niczła... Jak kontrakt się pozna, to się już do niej z kodeksem w ręku zabierzemy.

— To jeszcze zobaczymy! — rzekł pan pisarz. — Kodeks kodeksem, a kruczki kruczkami; są lepsze sposoby, niż kodeks, a tymczasem niech pan dziedzic nic do niej nie mówi, nie grozi, jak gdyby jej nie było na świecie — mało tego, niech nic, ale ani ziarnka, ani grosika nie daje.

— Usłucham rady, bo widzę, że jedynie praktyczna; z takim dyabłem, jak ona, dobrocią nie poradzę.

I pożegnawszy pana pisarza, któremu za myśl genialną nowy papierek w dłoń wsunął, powracał pan Szczepan z uspokojoną już nieco Anusią do domu.

W drodze spotkali kroczącego śmiało p. Czajkę, z wężełkiem na kiju i sążnistym papierosem w gębie; spojrzał na nich oboje, jak na zbojców, brwi zmarszczył, kłębem dymu buchnął, splunął, ale im głową nawet nie skinął.

— Musi już wiedzieć sobaka — szepnął do żony pan Szczepan, — skoro tak hardo wraca.

— I mnie się zdaje, że wie, bo jak wilk na nas spojrzał... oj, będąż to jeszcze perepałki!...

— Cóż robić — westchnął pan Szczepan, — zachciało nam się szkoły, to i mamy (było to pierwsze narzekanie pana Szczepana na fakt założenia szkółki).

— Nie szkoła temu winna, ale twój piękny wybór, — zauważyła gorliwa propagatorka oświaty.

— Życzyłbym ci tych przyjemności, które ja przeszedłem, nimem tę babę zgodził. Bądź zresztą spokojna, jeśli będziemy szukali nowej kandydatki, a będziemy, to już tobie ten miły sprawunek zostawię.

* * *

Upłynął tydzień od opisanej przez nas konferencyi, nadeszła pora wypłaty pensyi i wydania ordynaryi. Przed śpichrzem stały baby z workami, odbierając kolejno należne im zboże, gdy nagle zjawiła się wśród nich delikatna Anetka Brzdęcka, jedynaczka pani Czajczyny, a za nią dziewka z workami, na ręcznym wózku po należne zboże przysłanemi.

— A co to? — spytał ekonom ze strychulcem w ręku.

— Mamusia przysyła po ordynaryę — odpowiedziało dziewczę.

— Niema ordynaryi! — krzyknął krótko ekonom, rad, że ma okazyę do zemsty za wszystkie psoty pana Czajki.

Anetka kłusem razem z dziewką i próżnymi workami pobiegła do domu szkolnego, a za chwilę zjawił się przed śpichrzem sam pan Czajka we własnej swojej osobie, a za nim dziewka z wózkiem i workami.

— A co to?! — spytał ponownie, ale znacznie głośniej, ekonom.

— Po ordynaryę! — odrzekł takim samym głosem pan Czajka.

— Powiedziałem już raz, że dla was niema ordynaryi! — wrzasnął zniecierpliwiony.

— Jakto niema?! zbankrutowaliście do stu dyabłów, czy co?!...

— Wynosić mi się z podwórza, póki grzecznie proszę...

— Nie pójdę, póki mego zboża nie odbiorę!

— Co za „mego?“ jakiego „mego?...“ — przedrzeźniał ekonom. — Asan tu nic swego nie masz!

— A asan niech mi od asana nie wymyśla, bo ja taki dobry wasan, jak i wasan, a może i lepszy!

— Fora ze dwora, precz mi z podwórza! — krzyknął, wyprowadzony z cierpliwości ekonom.

— Ja ci tu fora pokażę! ty złodzieju, skurczybyku! — wrzasnął jeszcze głośniej pan Czajka, przyskakując do niego, i gdyby nie interwencya chłopów, którzy się na powstały hałas zbiegli, kto wie, czyby się ta scena dla ekonoma była tak na sucho zakończyła.

Ujętego za bary atletę wyprowadzono ceremonialnie z podwórza, dziewka z wózkiem i próżnymi workami drugi ten spacer odbyła, i nastała w podwórzu cisza jakby mak siał.

Cisza ta jednak robiła wrażenie zwiastuna nadciągającej burzy.

Zaraz po scenie z ekonomem, pan Czajka razem z żoną 1-o voto Brzdęcką, pobiegli *per pedes apostolorum* do miasteczka, w którym sąd miał swoją rezydencyę; przez parę tygodni ponawiały się te wycieczki ustawicznie — kilkakrotnie widywano jakichś oberwusów, z plikami pa-

pierów pod pachą, dążących do szkoły na ważne jakieś konferencye; byli to pokątni doradcy *minorum gentium*, przyjaciele knajpowi imć pana Czajki, a obecnie sprawy jego opiekunowie. W karczmie, bratali się oni z chłopami, opowiadali dziwy o nieuczciwości szlachciców, o krzywdach, jakich się względem biedniejszych dopuszczali, i o mającym wkrótce nastąpić nowym podziale gruntów.

Chłopi słuchali, spoglądali z podełba na siebie, ale nie bardzo temu jakoś wierzyli.

Dowiadywał się o tem wszystkiem przez służbę swoją pan Szczepan, — martwił się, wąsy targał i całymi czasem dniami nie wychodził z domu, krocząc w około stołu, po swej kancelaryjce. Wieś mieszcząca w sobie budynek szkolny i wstrętną dla niego Czajków rodzinę, zbrzydła mu była z kretesem.

W takich tarapatach zastał go pachciarz, przynoszący zapłatę miesięczną za krowy.

— Jaśnie pan się bardzo frasuje — bąkał nieśmiało z pewnem, a nawet widocznem współczuciem.

— Jak się nie mam frasować mój Josku, kiedy mi ta banda złodziejska cały spokój we wsi zamąciła.

— A nie mówiałem jaśnie panu, że ta skoła to na dobre nie wyńdzie — dowodził już śmielej przeciwnik chłopskiej edukacyi, któremu łatwiej było orznąć ciemnego kmiotka, niż piśmiennego i rachunkowego sawanta.

— Któż mógł to wszystko przewidzieć? — westchnął pan Szczepan.

— Jaśnie panie, choćby te Cajki i nie takie gałgany były, to i tak skoła psu na budę się nie zdała. Po co

chłopu hadukacya? tyle set lat wieś nasza była bez skoły i buło dobre, i zborze się rodziło, i krowy doiły, i chłopy w polu pracowali za pańszczyznę, a tero...

— Nie wtrącaj się głupi żydzie, bo ty się na tem nie znasz! — przerwał mu pan Szczepan.

— Co się nimom znać? abo to ja pirsy rok z chłopami zyję? taćem się na wsi urodził i wychował. Z chłopami takby się zrobiło, jak z panami: póki nie wiele cyta, to łazi po polu, roboty pilnuje, i gospodarstwa się trzyma zębami; jak ino zacnie cytać a pisać, a siadywać w książkach, tak jak pan Literacki z Przemądrzałówki, to gospodarkę dyabli biorą, krowy mleko zarywają, i nareszcie komornik zjezdza i ślachcica z książkami i papierami na bruk wyzuca...

— Et, głupiś żydzie, jak but! — krzyknął zniecierpliwiony pan Szczepan.

— Niech i tak będzie — ciągnął Josek, rachując miedziaki na stole, — ale jaśnie pan obacy, ze póty chłopskiej roboty, póki się cytać nie ponaucają, jak raz wezmą do książek, a zaro znajdą się Miemce, co im rózne książki będą znosić, to tak będzie, jak w tej fabryce miemieckiej, co to co dwa miesiące robota staje i rzemieślniki targują się o większą zapłatę.

Czarne przepowiednie pachciarza zasępiły czoło pana Szczepana, nie potrafiły jednak podkopać jego miłości dla ludu i gorącej chęci kształcenia go w uczciwym, chrześcijańskim kierunku.

— Bajesz Josku trzy po trzy! — odezwał się po chwili, — ot, powiedz mi raczej, co te łotry Czajkowie czynić zamierzają, bo wy żydy wszystko musicie wiedzieć...

— A no... co mają zamyślać? radzili z takimi jak i oni gałganami, parę niedziel.

— I co uradzili?

— Siedzieć i cekać!..

— A to okropne! — krzyknął szlachcic, zaciskając pięście, — skończy się, że ja chyba gwałtu użyję!

— Jaśnie panie, ostrożnie...

— Niech się już co chce dzieje!

— Jaśnie panie, Josek radzi: ostrożnie, nie bez gwałt, uni tylko tego cekają, zeby proces kryminalny zrobić jaśnie panu.

— A łotry! kanalie!... więc jakiż na nich sposób?

— Jeśli jaśnie pan chce, to ja sprobuję pójść z nimi w targi; pedają, że gdzie Pan Bóg nie moze, to kobietę posyła, a gdzie dyabeł nie moze...

— To żyda posyła... — zaśmiał się dziedzic.

— A juści!... Jaśnie pan niech się na Joska spuści i ceka...

— A no, próbuj mój Jośku, byleś niedługo zwlekał...

— Już ja jaśnie panie wymiarkuję, kiedy, jak i co...

I skłoniwszy się do nóg dziedzicowi, u którego lat już trzydzieści pachtował, odebrał pokwitowanie, i powlókł się żydzina do wsi.

* * *

I znów minęło parę tygodni, a pachciarz relacyi nie zdawał.

Co robił, jak robił, i kiedy robił, nikt na wsi nie wiedział. Zauważono tylko częstsze niż zazwyczaj pogawędki żyda z panem Czajką, z którym od pamiętnej sceny

w oborze byli zupełnie na bakier, pan Czajka bowiem zdeklarowanym stał się antysemitą; zauważono dalej pewne zbliżenie się pani Czajczyny, 1-o voto Brzdęckiej, z pachciarką, na którą dawniej spoglądać nawet nie raczyła; zauważono wreszcie, że nawet arystokratyczna Anetka przechadzała się po wsi z Ryfką, córeczką pachciarza. Donoszono o tem wszystkiem dziedzicowi, który rad temu w duszy, udawał, że go te wiadomostki zupełnie prawie nie obchodzą.

Nareszcie po kilku tygodniach mrówczej pracy, istnej roboty pająka, oprzędzającego złowioną muchę w niewidzialną misterną siatkę, zjawił się we dworze pachciarz.

— No i cóż? — spytał, biegnąc prawie na spotkanie pan Szczepan.

— Jutro wyjadą.

— Kto?!

— Całe pokolenie: Cajka, Cajcyna, Cajcanka...

— Ze wszystkiem?

— Zupełnie.

— Bez pretensyi?

— Bez pretensyi, ale jaśnie pan zapłaci półroczną pensyę i wyda półroczną ordynacyę.

— A Josku, z nieba jesteś!

— Jesce nie kuniec... Jaśnie pan da im na drogę i na pseprowadzkę trzydzieści sześć guldenów i sześćdziesiąt centów.

(Końcówka sześć guldenów i sześćdziesiąt centów stanowiła komisowe, umówione między Joskiem a Czajkami).

— A dobrze, dobrze, mój Josku...

— I dwie furmanki na zecy do samego miasta — zakonkludował pachciarz.

Ten ostatni warunek był dla pana Szczepana najuciążliwszym, roboty bowiem w polu wołały gwałtu, i z każdego konia radby był dziesięć zrobić. Myśl jednak, że się wrogów ze wsi pozbędzie, i że nareszcie błogosławiony spokój dawny odzyska, przemogła gospodarskie skrupuły.

— Dobrze — odrzekł wesoło, — ale czy mnie jeszcze potem szarpać po sądach nie będą?

— Niech Pan Bóg obroni! — zapewniał żyd, podnosząc ramiona pod same uszy, — kontrakt oddadzą i oboje przy sołtysie i dwóch świadkach pokwitują jaśnie pana od wszystkich pretensyi.

I rzeczywiście, we dwa dni potem, pan Szczepan darł już swój podpis, lekkomyślnie nieco na nieszczęśliwym cyrografie umieszczony, chował do szuflady pokwitowanie formalne pani Czajczyny i jej księcia-małżonka, a przez wieś Zacniew jechały tęgim kłusem dwie fornalki, uwożące panią Waleryę 1-o voto Brzdęcką, skrytą pod czerwonym parasolem, jej muskularnego małżonka z olbrzymim papierosem w gębie i nerwową Anetkę, w bladoniebieskim, jedwabnym kapelusiku, z jedwabną parasolką w ręce.

* * *

Państwo Szczepanowstwo po raz pierwszy pełną odetchnęli piersią — było to pierwsze śniadanie, które od paru miesięcy wesoło i z apetytem spożyli.

Epizod ten nie odwiódł ich bynajmniej od zamiaru pro-

wadzenia szkółki, — po kilku bowiem tygodniach pojechali razem w poszukiwaniu nowej kierowniczki.

Pan Szczepan, wynalazłszy adres pierwszej kandydatki, która na nim — jak sobie czytelnik przypomina, — dość miłe wywarła wrażenie, poprosił ją na wspólną naradę z żoną, była bowiem jeszcze bez miejsca.

Niestety! kobieta bystrzejszym w takich razach opatrzona darem spostrzegawczym, poznała się od razu i na sztucznych brwiach, i na wpływie okopconego korka pod rzęsami i na zbyt żywych rumieńcach, i na karminie usteczek, zaczem w krótkich bardzo słowach dała kandydatce grzeczną, lecz stanowczą odprawę.

Po jej wyjściu, odezwała się mocno urażona do męża:

— Czyś się ty bliżej poznał z tą panią, żeś tak dobrze jej adres zapamiętał?

— Miałem go w konotatniku — bronił się pan Szczepan, — a co do znajomości, zapewnić cię mogę Anusiu, że się tak, jak dzisiejsza, na jednem krótkiem posiedzeniu zakończyła.

— Bo inaczej mogłabym mniemać, że szukasz nie dla szkółki, ale dla siebie jakiejś nowej przewodniczki — zauważyła z przekąsem.

— Moja Anusiu — westchnął urażony pan Szczepan, — dajże podejrzeniom pokój. Mam dosyć jednej przewodniczki, — dodał z większym jeszcze przekąsem.

Ale wierna towarzyszka życia, zrozumiawszy przytyk, prędko małżonka ugłaskać potrafiła, do czego kobiety szczególniejszy talent posiadają, — rozpoczęli więc wspólnie mozolne poszukiwania, jak dotąd bezowocne, bo skro-

mnym wiejskim chlebem, niestety! ludzie mimo biedy w miastach, wciąż jeszcze pogardzają.

Nie zraża to jednak państwa Szczepanowstwa; pomni ewangelicznej prawdy: „Szukaj, a znajdziesz“, w poszukiwaniach swych nie ustają, zagrzewa ich bowiem w tej pracy głęboka miłość dla ludu, i to silne przekonanie, że oświata, byle umiejętnie i rozumnie na gruncie chrześcijańskim krzewiona, jest tak dla ludu, jak i dla dworów, zadatkiem wspólnego szczęścia, na najtrwalszej opartego podwalinie.

ZEMSTA PANA FABIANA.

HUMORESKA.

W błogosławionej epoce, której trzydziestolecie dziś „Tygodnik“ obchodzi, poczciwa ziemia nasza nie chlubiła się jeszcze instytucyami kredytowemi, które rolnikom tyle pożytku (ile umarłemu kadzidło) przynoszą.

Wprawdzie i potrzeby kredytowe rolnika były podówczas mniejsze; bo w jednej okolicy pańszczyzna obrabiała grunta dworskie, a w innych, bardziej już postępowych, *kopiarze* za snopki z pól dworskich otrzymywane, i *komornicy* — nb. nie owi straszni z pierogiem na łbie i rożenkiem u boku — za komorne i jeden morg ziemi załatwiali potrzebne dworowi roboty.

Naprawdę więc szlachcicowi potrzeba było tylko pieniędzy na niewielki podatek, na sól i żelazo, od którego się prawie cła nie płaciło, na skromny przyodziewek i światło — opał bowiem miał bezmała każdy na gruncie... wreszcie na lekkie wybryki, od których żaden stan na świecie nie jest wolny. Wyłączam tu naturalnie Trapistów, Kapucynów i Karmelitów bosych, z których pierwsi bez pożywienia, drudzy nieszczęśni bez niewiasty, a ostatni nawet bez obuwia obywać się muszą.

W takich tedy szczęśliwych warunkach, ten tylko brnąć musiał w długi, kto się spłókiwał w dyabełka czy sztosa,

lub kto za często przepłókiwał gardło, musującym zwłaszcza nektarem. Zato, hołdownikom skromnego preferka, patryarchalnego wiseczka i madziarskiego cienkusza, ziemica dawała aż nadto wystarczające środki na zaspokojenie tych pierwszych i ostatnich razem potrzeb.

Zdarzały się jednak i podówczas lata klęsk i nieurodzajów, w których niejeden z zasobnych nawet ziemian musiał uciekać się do pożyczek. Na zaspokojenie tej potrzeby, miał on w każdem prawie miasteczku gotowy bank, w osobie kupca zbożowego, który ani żyranta nie żądał, ani hypoteki nie był łakomy, ani na procentach nie darł, a nadto przy takiej tranzakcyi częstował jeszcze nieraz koszernem winem i żydowskim torcikiem odświętnym.

Tkwiło jednak w tych pożyczkach inne niebezpieczeństwo: pan kupiec bowiem stawiał warunek *pierwszeństwa*... do kupna zboża, okowity, wełny, opasów i byłby nawet rygor ten do trzody chlewnej posunął, gdyby go w tym ferworze wszechpotężny Talmud nie wstrzymywał. Więc też tylko nieopatrzni wpadali w sieci tych zręcznych pająków; inni rachujący się lepiej z uczciwie zapracowanym groszem, do innych uciekali się źródeł.

Źródłami takiemi były, w miastach zwłaszcza powiatowych, osoby, zajmujące wybitniejsze stanowiska społeczne: więc jakiś emeryt stołeczny osiadły na dewocyi, miejscowy ksiądz proboszcz, doktor, regent lub inżynier szosowy, wreszcie aptekarz, który przy ówczesnej taksie na leki i jakiej takiej zręczności w zastępowaniu środków droższych tańszymi surogatami, nie wiele czasu potrzebował na zgromadzenie sobie kapitaliku.

Do potentatów finansowych tej ostatniej kategoryi należał pan Fortunat.

Średniej tuszy i miary, wyrazu twarzy tem jowialniejszego, im większą udawać chciał powagę, częściej uśmiechnięty niż chmurny, kochający siebie więcej, niż wszystkich razem bliźnich na świecie, trochę podejrzliwy, a bardziej jeszcze, bo aż do śmieszności — przesądny, pan Fortunat w całej swej karyerze był, mimo to, wybranem dziecięciem Fortuny, od której imię swe dzierżył.

W tej samej aptece, której ściany ongi obmiatał i puszki fajansowe obcierał, został następnie prowizorem; a gdy po latach kilkunastu kwękający wiecznie pryncypał przeniósł się w światy lepsze, nieutulona w żalu wdowa, powodując się tylko dobrem interesu, oddała mu swą rękę z kilkunastu pierścionkami i swoje... laboratoryum z całym arsenałem słoików, puszek, retort, moździerzy i szuflad, pełnych przeróżnego ziela...

W miasteczku nikt się tej, najzwyczajniejszej zresztą kombinacyi, nie dziwił. Jedni uważali ją jako całkiem naturalne następstwo wiernej służby prowizora; inni przebąkiwali coś zlekka i o innych jego zasługach; a najzłośliwsza pani doktorowa szeptała przyjaciółkom na ucho, że spowiedź przedślubna młodej pary trwała niezmiernie długo, i że się proboszcz wyraźnie certował, nim nareszcie zrobił znak krzyża św. i stuknął trzy razy w konfesyonał, na znak udzielonego rozgrzeszenia.

Ploteczki te jednak nie zraziły nikogo, i całe grono notablów stawiło się na weselną ucztę, ażeby pałaszować wszystko co pod rękę popadło, i wysączać rzetel-

nie całą bateryę butelek, dostawionych z miejscowego handelku.

Pan Fortunat jaśniał na tej uczcie wesołością; a ponieważ do wielu innych darów przyrody łączył jeszcze styl na swój sposób wykwintny, szafujący retorycznymi zwrotami i omawiający myśl każdą kilkunastu tej samej natury określeniami, na każdy więc wzniesiony toaścik odpowiadał kwieciście a długo, co biesiadę weselną do późnej przeciągnęło nocy.

Gdy już kury zapiały w miasteczku, a wina nie przybywało, gdy wreszcie sama gospodyni domu, rozmarzona toastami i retorycznymi zwrotami małżonka, kręcić się na krześle poczynała, — pan burmistrz, rozumiejący obowiązki publiczne, pierwszy powstał z miejsca, a w ślad za nim ruszyli i regent, i doktor, i podsędek, i inżynier, z żonami, z córkami i dalekiemi nawet kuzynkami, które acz nie proszone, przyszły chętnie dla uczczenia tej uroczystości, i unosiły teraz w sercu najmilsze wspomnienia, a w kieszeniach... najlepsze cukierki, cichaczem ze stołu ściągnięte.

Zostawszy właścicielem apteki, kamienicy i dość poważnych kapitalików, wspólną własność jego i żony stanowiących, pan Fortunat zajął się zorganizowaniem nowej służby aptecznej; sam bowiem przez lat kilkanaście dość się nawiercił, natłukł, nawarzył i proszków narozcierał, więc miał prawo do lżejszej nieco służby, która go teraz oczekiwała.

Przyjął tedy przedewszystkiem prowizora, bacząc starannie, aby egzemplarz ten celował nietyle powierzchownością i mizdrzeniem się do płci pięknej, ile statecznem

zachowaniem się i zamiłowaniem pracy, która według pana Fortunata bywa „najpiękniejszem życia zadaniem... jego ozdobą... okrasą... uprzyjemnieniem... umajeniem... i która jedynie... wyłącznie... niepodzielnie... i ostatecznie... o wartości człowieka stanowi!“

Doświadczenie pana Fortunata było dla niego cenną w tej mierze wskazówką. Dobrał więc sobie cichego współpracownika, dla którego zręcznie ukręcona pigułka, klarownie odgotowany dekokt, maść mięciuchna jak masło, zgrabnie pozawijane proszki i plaster równiutko rozsmarowany — najwyższe stanowiły rozkosze.

Sam zajął się trochę polityką, a więcej interesami pieniężnymi, oraz lokacyą kapitałów, które w ruch puścić należało.

Gdy wieść o tem gruchnęła po okolicy, zjawiać się poczęli różni mniej lub bliżej mu znajomi szlachcice, z chęcią lokacyi i pożyczek.

Pan Fortunat każdego przyjmował jak najmilej.

— Nie przeczę bynajmniej, szanowny panie — poczynał do nowoprzybyłego, — że zamierzam nadać niejaki ruch fundusikom nagromadzonym przez lat szeregi, a drzemiącym dziś nieprodukcyjnie. Według mnie — ciągnął dalej kwieciście, — obowiązkiem, i że tak powiem, zadaniem każdego inteligentnego obywatela i członka społeczeństwa powinno być rozbudzenie większego ruchu ekonomicznego, większej, że ją tak nazwę, cyrkulacyi, szerszego wnikania w potrzeby danej okolicy, wreszcie przyczyniania się do rozwoju życia handlowego, przemysłowego, ekonomicznego, któreby obecnej martwocie... zaskorupieniu... zaślimaczeniu się... kres położyć mogło.

— „Ślicznie mówi!“ — pomyślał sobie interesant. — Właśnie w tym celu przybyłem do szanownego pana — poczynał raźnie, ośmielony tym wstępem.

Lecz tu przerywał mu zaraz p. Fortunat:

— Za pozwoleniem szanownego pana... nie skończyłem jeszcze, a raczej nie dopowiedziałem wszystkiego, coby myśl moją należycie oddać... uwydatnić... odmalować... odzwierciedlić, i, że tak powiem... uwypuklić mogło. Pojmując obowiązki obywatelskie, społeczne i ogólno... że je tak nazwę... krajowe, oraz rozumiejąc doniosłość szerszej na tem polu inicyatywy i działalności, zataić nie mogę, że działalność ta musi być z drugiej strony uwarunkowana największą ostrożnością... oględnością... przezornością i skrupulatnością... Inaczej operacya byłaby chybioną, skrzywioną, spaczoną i, że tak powiem... poronioną... Zamiast pożytku, szkodę raczej... stratę... zawód... rozczarowanie... i pewne zachwianie wiary w stosunki wzajemne sprowadziéby mogła. Dlatego — kończył p. Fortunat — nie mówmy dziś jeszcze o szczegółach samego interesu, bo na to dość będzie czasu, jeśli do tranzakcyi przyjdzie... Chciałem tylko dziś wypowiedzieć szanownemu panu moje wyznanie wiary... wskazać wytyczne, któremi kierować się zamierzam... cele, do których podążam... i rezultaty ogólno-społeczne, których się w przyszłości spodziewam.

Ponieważ na tych elukubracyach schodziło zwykle parę godzin czasu, wśród których szlachcicowi żołądek kurczyć się zaczynał i żal mu się niewyprzężonych koni robiło, pierwsze więc posiedzenie zwykle się na tych frazesach kończyło.

Jeśli po kilku tygodniach p. Fortunat zebrał potrzebne wiadomości o majątkowym stanie interesanta, o jego rzetelności, solidności, uczciwości, rządności, oszczędności, zamożności i innych mniej lub więcej *ościstych* szczegółach... jeśli szlachcic nie przybywał w dzień nieparzysty lub czego Boże broń, feralny... jeśli nie zajeżdżał we trzy konie, co także było złą wróżbą... jeśli tego dnia służąca nic nie stłukła w domu i żaden pogrzeb nie przechodził koło mieszkania p. Fortunata, — naówczas tranzakcya pożyczkowa, acz okupowana koniecznością wysłuchania drugiej przemowy o obowiązkach dłużnika, o punktualności, terminowości i świętości długu, przychodziła wreszcie do skutku.

Przy najmniejszej obawie o odbiór należności, lub w razie pojawienia się którychkolwiek z przytoczonych złowróżbnych przepowiedni, p. Fortunat zasypywał interesanta gradem grzecznych i kwiecistych wynurzeń, z taką obfitością wyrzucanych, że biedny szlachcic, spotniały ze znużenia, rad był chwili, w której znalazł się na bryce, równie gołym, jak był przyjechał.

Otóż... do tak opisanego pana Fortunata przybyłem i ja razu jednego z wesołym, choć nieco złośliwym sąsiadem moim panem Fabianem, któremu, jak i mnie, pustki w stodołach, a większe jeszcze pustki w kieszeniach przeświecały.

Młodość dodawała nam animuszu. Mnie wiara we własną pracę nie pozbawiała nigdy odwagi; pana Fabiana żadna przeciwność nie zbijała nigdy z terminu, umiał się bowiem, jak piskorz, biedzie wykręcać na najprzeróżniej-

sze sposoby. Nic więc dziwnego, że obaj z dobrą miną i butą stawiliśmy się w gabinecie pana Fortunata.

Piesek... mops jakiś przebrzydły, zwany *grajcarkiem* dla świderkowatego swego ogona... naprzód nas obwąchał, a potem wyszczerzywszy wystające zęby, zbrodnicze jakieś zamiary względem naszych łydek okazywać zaczynał. Czy się niepoń domyślił, żeśmy goli jak bizuny i pana obrabiać przyjeżdżamy, czy też skłonił go tego apetyt na dość okazałe formy nasze... nie wiem. Pamiętam tylko, żem kij ścisnął w dłoni, i gdyby nie nadejście gospodarza domu, który grajcarka do porządku przywołał, zdecydowany byłem wybić ciekawemu pieskowi wszystkie wystające zęby i choćby z jedno oko w dodatku. Szczęściem nie przyszło do awantury, która byłaby z pewnością całą tranzakcyę rozchwiała; *grajcarek* bowiem był ulubieńcem pana Fortunata, stróżem jego kasy, żony i wszelakiego dobytku.

Przyjęcie było ze wszech miar serdeczne. Po powinszowaniach nowego związku z naszej strony, a po krasomówczem podziękowaniu ze strony pana Fortunata, wstępnym bojem wyłożyliśmy mu nasz interes, krótko i węzłowato, zapobiegając tym sposobem retorycznym kwiatkom i omówieniom.

P. Fortunat, zachwiał się na razie. Nie mając czasu na *wypowiedzenie*, *wygłoszenie*, *wyłonienie* i *wypuklenie* swych myśli i poglądów, uważał cały ten interes za jakąś rzecz wadliwie, bez namysłu, zbyt nagle i po waryacku prawie poczętą. Ale... gdym mu wytłómaczył, że mnie żniwo pszenicy ciągnie gwałtem do domu, że na inny raz będę miał sobie za prawdziwe szczęście wysłuchać

jego wzniosłych poglądów na stosunki nasze w ogóle... gdy nadto obliczył sobie, że był to wtorek, dzień nie feralny... 12-ty sierpnia, a więc data parzysta... gdy wyjrzawszy na ulicę, przekonał się, żem czwórką, a nie trójką koni zajechał, — zmiękł nareszcie i przyniósł paczkę tysiąc-rublową, z której jedną sturublówkę, jako procencik roczny, ściągnął sobie z góry, przyjmując zarazem ode mnie skromny rewersik, który już miałem w zanadrzu.

Z p. Fabianem poszło gorzej. Krążyła o nim gadka po miasteczku, że niegdyś... jakiegoś wierzyciela żyda, zgłaszającego się po należność, wyrzucił był bez ceremonii za drzwi, nie zapłaciwszy mu ani szeląga. Wprawdzie p. Fabian tłómaczył się, że czuł już w sobie wtedy zarody antisemityzmu, a widok natrętnego żyda tak na niego piorunująco oddziałał, że inaczej postąpić sobie nie mógł; ale tłómaczenie to nie było w stanie poprawić mu zachwianego kredytu u żydów, a pośrednio przynajmniej dyskredytowało go i u własnych współwyznawców.

P. Fortunat wykręcał się jak piskorz; p. Fabian nacierał coraz silniej. Im piękniej argumentował aptekarz o konieczności rozejrzenia się, rozpatrzenia, zbadania, wypośrodkowania i wyświetlenia interesów p. Fabiana, tem gwałtowniej p. Fabian domagał się postawienia go na równi ze mną pod względem kredytowym i pożyczenia mu takiej samej sumy. Gdy pojedynek taki na gębę trwał już przeszło godzinę, p. Fortunat coraz silniej zdecydowany na unikanie tranzakcyi z tak natarczywym dłużnikiem, stanął na środku izby, i rozkrzyżowawszy ręce, zawołał:

— A więc... wyznać ci muszę, zacny i szanowny panie

Fabianie, jasno... otwarcie... kategorycznie i ostatecznie, że żądanej sumy już nie mam, nie posiadam, i nie przewiduję w bliższej perspektywie jej wpływu! Chcesz.. wierz! — dodał, uderzając się patetycznie w piersi, — a nie uwierzysz?... to myśl sobie, żem samolub, egoista, kutwa, skąpiec, dusigrosz, przechera!... Zniosę wszystko cierpliwie... pokornie... łagodnie... w skupieniu ducha... i z chrześcijańskiem poddaniem się smutnej konieczności.

To rzekłszy, zrobił gest jakiś kabalistyczny, wślad za czem *grajcarek*, jak opętany, wyskoczył z pod stołu i zaczął szczekać tak przeraźliwie, że wszelką odpowiedź p. Fabiana uczynił wprost niemożliwą.

W godzinę potem wracaliśmy obadwaj do domu.

— Ja mu tego nie daruję! — odgrażał się pan Fabian na bryce; — ja mu *sielmie* życie zatruję!!...

— Jakim sposobem? — spytałem go nieśmiało, w obawie rozpaczliwego jakiego kroku.

— No... no... dowiesz się o tem... ale nie rychlej, niż od dziś za rok.

— Dlaczegoż za rok?

— Dlatego, że będziesz przecie oddawał swój dług... a wtedy ja ci asystować będę... bo się już pan Fortunat nie będzie mógł brakiem gotówki wykręcać!... Jeśli mi pożyczy, to dobrze... a nie? to pożałuje!

— No, ale przecież go nie zabijesz? — spytałem mimowiednie.

— A pfe!... co mi po takiem marnem życiu!

— Ani zelżysz?

— Miałbym się też nad kim znęcać!

— Hm... ciekawym bardzo, co też masz za plan?

— Zobaczysz... od dziś za rok!

. . . . . .

I minął roczek, jakby z bicza trzasł.

Pszeniczka zarodziła, dopisały i kartofle do gorzelni o zwykłym *pistoryuszu*, płacącej w owe błogosławione czasy po 15 groszy od garnca... Jechałem więc w jak najlepszym humorze do pana Fortunata, wioząc palące mnie tysiąc rubli... płacenie bowiem długów miałem sobie zawsze za szczególną przyjemność. Obok mnie kiwał się na bryce pan Fabian, pilnujący jak cerber moich tysiąca rubli, które się do swojej kabzy przeprowadzić spodziewał. Kiedy niekiedy, gdy oczy odmrużał, wąsa nerwowo targał i coś sobie pod nosem pomrukiwał: widać było, że układa jakieś plany, z którymi zdradzić się nie chce.

Nareszcie, po kilku godzinach podróży, znaleźliśmy się u pana Fortunata, który nas i tym razem powitał jak najserdeczniej.

— Dziś mój termin — rzekłem, kłaniając się uprzejmie, — wszak pan dobrodziej zwrotu swej sumki życzy?...

— Widzisz, szanowny panie — począł pan Fortunat, — trąba wojenna, dmąca od zachodu...

Na sam wyraz *trąby wojennej*, sięgnąłem co prędzej do kieszeni, i w mig prawie położyłem na stole pieniądze w paczkę związane.

Pan Fortunat zmieszał się nieco... widocznie żal mu było tej lokacyi.

— Za pozwoleniem — rzekł, nie dotykając pieniędzy, — nie dokończyłem, nie domówiłem, nie dopełniłem jeszcze mego poglądu. Trąba wojenna, dmąca od zachodu, mo-

głaby mnie była zatrwożyć, spłoszyć, zachwiać, zaniepokoić... gdyby nie znana uczciwość, punktualność, solidność i akuratność szanownego pana, które najlepszą są dla mnie rękojmią... Jeśli więc nadal służyć mogę tym kapitalikiem...

— Serdecznie dziękuję za zaufanie — przerwałem, ściskając dłoń wierzyciela. — Według mnie, kto długi płaci, ten się bogaci. W tym roku urodzaj dobry, pieniędzy więc na teraz mi nie braknie...

— Ale natomiast ja mogę służyć! — wtrącił pośpiesznie milczący dotąd pan Fabian, podsuwając się szybko ku stolikowi.

Lecz nim krok drugi postąpił, już paczka pieniędzy, nie przeliczona nawet, wśliznęła się w głęboką kieszeń pana Fortunata, i równocześnie, jakby na dany znak, po głośniejszem chrząknięciu gospodarza domu, zjawił się i *grajcarek* z wyszczerzonymi ząbkami.

Pan Fortunat, śmielszy już wobec nowego sukursu, uśmiechnął się słodziutko do pana Fabiana.

— Żałuję niewymownie... nieskończenie... niewypowiedzianie — mówił rzewnie, — że służyć najszanowniejszemu panu nie mogę... ale... w tej chwili przypomniała mi się właśnie... wypłata gwałtowna... obowiązkowa... terminowa... i najmniejszej nie cierpiąca zwłoki, która mi wprost uniemożliwia rozporządzenie tym fundusikiem... A może papierosika, dobry panie?

Pan Fabian bladł i siniał naprzemiany; znać było, że się w jego sercu gwałtowna walka odbywa; umiał jednak ukryć ją pod jowialnym pozornie uśmiechem. Zapalił więc papierosa jak najspokojniej, a że z okazyi

zwróconego długu pan Fortunat, jak zwykle, kazał podać butelczynę cienkusza, wszczęła się więc napowrót między nami trzema gawędka, w której prym naturalnie trzymał sam gospodarz domu.

Gdy się już na dobre rozgadał, a lubując się w swych zwrotach i omówieniach, szczęśliwy z okazyi, coraz się więcej w krasomówczych zapędach rozpalał, — nagle u szczytu rozkoszy, wśród największego ferworu, przerwał mu pan Fabian:

— Panie Fortunacie, słóweczko.

— Słucham, słucham szanownego pana.

— Nie myśl, żeby odmówienie mi pożyczki miało zmienić uczucia moje względem ciebie.

— Spodziewałem się tego — odrzekł prostodusznie pan Fortunat; — miałażby nędzna mamona zmącić harmonię ludzi, którzy się wzajem cenią... szanują...

— Więcej powiem: wielbią nawet! — przerwał mu z emfazą pan Fabian, — bo ja wielbię pańskie poglądy... takich ludzi nam trzeba!... i dlatego z obawą nieraz cię słucham... co mówię?... ze drżeniem prawie!...

— Mnie?... — spytał zdziwiony gospodarz.

— Tak jest... a powiem ci dlaczego. Znasz tutejszego rabina?

— Pie... tak... z widzenia... Słyszałem, że zacofany fanatyk, talmudzista...

— A jednak ma być najmądrzejszy z rabinów, bo nic nie mówi.

— .To niczego nie dowodzi! — odparł pan Fortunat, — to zwykła sztuczka rabinów, pokrywająca najczęściej ich

nicość, czczość, próżnię, formułkowatość, kabalistyczność, mistycyzm...

— Pozwól na Boga... nieszczęśliwy!... — przerwał mu nagle pan Fabian. — I ja tak samo sądziłem; tymczasem... przed paru tygodniami przywiózłszy koszerną pszenicę dla uzyskania od rabina świadectwa, które mi jej cenę znacznie podnosiło, zapytałem go mimochodem na odejściu, dlaczego tak milczy uporczywie? — „Dlatego“... — szepnął mi ze drżeniem do ucha — „że ja chcę żyć dłużej, a każdy człowiek, przychodzący na świat, już ma z góry oznaczoną sobie pewną ilość słów do wypowiedzenia... jak ostatnie wypowie, musi umierać... Idź pan już sobie!“... — zawołał zły widocznie, że przeze mnie tyle słów wyszafował.

— Co pan powiadasz?! — krzyknął przesądny pan Fortunat.

— Chcesz, wierz, nie chcesz, nie wierz, kochany panie Fortunacie. Tylko jeśliby rabin miał racyę, to ty, określając nieraz jedną rzecz kilkunastu wyrazami, własnowolnie przyśpieszałbyś sobie zgon!

W tej chwili ktoś zadzwonił. Nerwowy *grajcarek* zawył przeraźliwie, a jednocześnie pan Fortunat, zrywając się z miejsca dla otworzenia drzwi, ściągnął ceratę ze stołu, a z nią razem butelkę niedopitą i trzy kieliszki, które się z hukiem w drobny proch rozprysły.

Tego już było nadto. Pan Fabian uśmiechnął się złośliwie; pan Fortunat pobladł, jak chusta.

Zmieszany i chwiejny, zawlókł się do drzwi, a odprawiwszy przybysza z niczem, wrócił do nas nadrabiając miną. Znać jednak było, że piekielny koncept pana Fa-

biana (owa zapowiedziana jego zemsta) nie pozostał bez wpływu.

W kilka tygodni potem rozeszło się po okolicy, że pan Fortunat zmienił usposobienie swoje do niepoznania: traci na humorze i wymowie... wyraża się dziwnie jakoś zwięźle i lakonicznie.

Domyśliłem się w tem następstw niewinnej na pozór zemsty pana Fabiana. Żal mi się przesądnego a poczciwego farmaceuty zrobiło; pojechałem więc umyślnie, żeby mu jego obawy wybić z głowy.

— Ee!... ktoby tam wierzył!... — bronił się uśmiechając z przymusem pan Fortunat. - Rabin głupi... furda!... co?... przesądy!... co?!...

— A naturalnie, naturalnie! — uspokajałem go jak mogłem.

Przez resztę jednak wieczoru słuchał tylko, i słowa więcej nie wtrącił.

Doszło wreszcie z czasem do tego, że z jednej ostateczności wpadł w drugą; wyrażał się tak krótko, że nieraz treści domyślić się było trudno... aż nareszcie jednym już tylko wyrazem odpowiadał.

Stan ten trwał z górą ćwierć wieku. Znajomi bliżsi i dalsi poznać świetnego dawniej gawędziarza nie mogli. A gdy nareszcie przyszła kreska na Matyska, i gdy po tyloletniej walce z nurtującą go gadatliwością, popadł w poważną jakąś chorobę, — zapytany przez żonę, jak się czuje?... odrzekł tylko machnąwszy ręką i z głębokiem westchnieniem:

— *Finis*... rabin... miał... racyę!...

I tego dnia jeszcze powędrował w lepsze światy.

UKŁAD O SŁUŻEBNOŚCI.

OBRAZEK WIEJSKI.

Czy znacie mili Czytelnicy „Tygodnika ilustrowanego“, ciężar serwitutów, doskwierających niekiedy biednemu mieszkańcowi wioski?

— Znamy — odpowie mi z westchnieniem niejeden wąsaty ziemianin, prenumerujący pomimo biedy poczciwe nasze pisma.

— Waćpana o to nie pytam — odrzec muszę, — boć trudno nie znać tego człowiekowi, którego to jedynie i bezpośrednio dotycze.

Ale czy znasz służebności, ty, nadobna czytelniczko, której buduar jest gniazdkiem, a salon stołeczny jedyną życia areną?

Czy znasz służebności ty, złoty lub pozłacany młodzieńcze, który przedepcesz życie po wyasfaltowanym trotuarze, lub przesuniesz je w lakierkach, po szklistej posadzce salonu?

Czy znacie służebności: ty ospały finansisto, którego warsztat cały zamyka się na noc w żelaznej kasie ogniotrwałej... ty, osławiony kamieniczniku, którego grunt orny stanowi kilkaset łokci podwórka, obudowanego dokoła trzypiętrowymi gmachami... ty, wybrańcze fortuny, przemysłowcze, zbrojny w cła ochronne, na którego miliony składa się cała armia konsumentów?...

— Milczycie... o szczęśliwi losu wybrańcy!... nic dziwnego, bo też wy znać tej sprawy nie możenie. Pozwólcie przynajmniej, bym ją wam w kilkunastu słowach uplastycznił.

Jeśli, nadobna czytelniczko, weźmiesz na zabawę gorset, który cię ciśnie i swobodę ruchów tamuje, pomnij wtedy, że doznajesz mniej więcej takiej niewygody, jaka na wsi dolega oserwitutowanemu szlachcicowi.

Jeśli ty, filarze salonów, wybierasz się na wieczór taneczny w niemożliwie ciasnych lakierkach, które ci nie tylko na taniec, ale i na zwykłą promenadę po sali nie pozwalają, które cię palą, męczą i dręczą, — masz wtedy maleńką próbkę rozkoszy, których każdy z ziemian, ubrany w serwituty, doznaje.

Kiedy sławetna kanalizacya rozkopie ulicę na dwoje i usypie forteczne wały przed twym domem, ony kamieniczniku, kiedy ci przepaść kanału i strome góry ziemi wyjechać z domu twego nie pozwalają, — masz wtedy maleńki przedsmak tego, czem są serwituty na wsi.

Gdy wam się wreszcie zatrzask żelaznej kasy, o szczęśliwi finansiści i przemysłowcy, zepsuje, gdy stojąc przed skarbami, które w niej spoczywają, macie gwałtowne wypłaty, a zadość im uczynić nie możecie, — jesteście także w położeniu onego szlachcica, który naciskany przez wierzycieli, patrzy na skarby w lesie zawarte, a tknąć ich nie może; patrzy na ogromne szmaty nietkniętej roli, której odprzedać nie może, bo służebnościami związany jest jak słynni bracia Davenportowie lub miss Fay, z tą tylko różnicą, że te blagiery zamorskie znalazły sekret wyzwalania się z krępujących ich więzów,

kiedy ów biedny chudziak żywot przekawęczy, nim mu się uda ten węzeł gordyjski rozplątać!

A teraz, gdym już warstw różnych czytelnikom w części przynajmniej wyjaśnił, czem to są dla nas, ziemian, służebności, — pojmie każdy snadniej, jakiej radości doznać musiał pan Franciszek Salezy Kłopociński, kiedy po paroletnich zapasach, perswazyach i ujadaniu się z kmiotkami, stary kuchta Walenty zameldował mu pewnego wiosennego wieczoru, że gromada włościan zebrała się przede dworem... *wedle serwitutów*.

Pan Franciszek aż pokraśniał z radości; byłby się nawet w pierwszej chwili rzucił staremu kuchcie na szyję, ale buchające odeń sosy, pomieszane z odorem tabaki, którą Walenty nie gardził, i z wonią gorzałki, której namiętnie hołdował, wstrzymały pierwszy napad czułości pana Franciszka Salezego. Ograniczył się więc tylko na pogłaskaniu kuchty pod brodę, co tego ostatniego nie wiele wzruszyło, na poczęstowaniu go tabaczką, co już lepszy skutek wywarło, i wreszcie na wydobyciu z pod łóżka gąsiorka z wódką, co już artystę kunsztu kulinarnego pod siódme niebo powiodło.

— Napij się, mój Walenty, za tę dobrą nowinę... napij, jak mnie kochasz! — rzekł, podając sporą miarkę wódki.

— O... że kocham to kocham wielmożnego pana — odparł, spoglądając pożądliwie na przedmiot swych najgorętszych aspiracyi. — Wszakżem ci ja to prawie wielmożnego pana wychował... chude to było niebożątko... chuderlawe... doktory nic pomódz nie mogły... dopiero jakem ja zaczął kaszę tłuściej krasić, do sosów bulionu

dolewać, zwierzynę jak należy szpikować... choroby gdzieś się podziały, i ot, co wyrosło!

— Masz racyę, Walusiu... to też do ciebie....

— Za zdrowie wielm. pana! — dodał kucharz, biorąc miarkę pełną i przewracając ją dnem do góry jednym posuwistym haustem. — Hu-u-u! — westchnął, ocierając usta czerwoną chustką, — tylko niech wielmożny pan całego gąsiorka między to bydło nie rozczęstuje, bo śliczności dobrana gorzałka!

— Znajdujesz?... — spytał z uśmiechem dziedzic.

— W sam raz wielmożny panie, ani krzty wody zawiele, ani kapuchny zamało... w sam raz, w sam raz!... szkoda jej dalibóg, dla tej hołoty...

— No, no! nie bój się, wystarczy dla nich i dla nas... Powiedz im tylko, żeby się nie rozchodzili, ja zaraz wychodzę.

— Powiem, wielmożny panie... ale jeszcze jedno wielmożnemu panu poradę... a przecie stary Walenty umie radzić...

— Zwłaszcza jak półkwaterek przewróci — wtrącił pan Franciszek z uśmiechem.

— Pewnie że tak, wielmożny panie... bo wódka na ten przykład... i gębę rozwiązuje, i serce *oztwiera*...

— Cóżeś mi więc miał poradzić?

— Oto... wedle chłopów... Zeszło się to łajdactwo przed domem, to prawda, i niby wedle serwitutów, to także prawda... ale niech wielmożny pan zanadto nie częstuje, i nie okazuje radości, bo chłop jak ino widzi, że szlachcic nadto hojny, albo się zanadto cieszy, to już zaraz myśli, że mu się dał orznąć i okoniem staje...

— Czy to być może?

— Ale tak jest, wielmożny panie... taka to już chłopska polityka — zapewniał kuchta. — Z nimi trza więcej stękać, niż gadać... udawać niby frasobliwości... jak ta panna, nie przymierzając, co to i chciałabym... i boję się...— a wreszcie niby to zgodzić się, ale tak jakoś... niby... jakby to z krzywdą dworu było... to wtedy wielmożny panie pójdzie gładko. Inaczej nie... bo chłopa to jak rybę, ino na żywca, robaka i na wędę złapie... w otwarty więcior nie wlezie, a choćby wlazł, to się nawet z garści wymknie mądrala, jak piskorz.

— No, no! nie jest tak źle, mój Walusiu — odrzekł pan Franciszek, idąc zwolna ku drzwiom. — Znam ja ich lepiej... nie od dziś tu mieszkamy... Porodziliśmy się i wychowali razem od dziecka, toć się to jakoś zrobi przy pomocy Bożej i wzajemnej dobrej woli.

— A gąsiorka niech wielmożny pan nie wyczęstuje, bo się udała... okrutnie udała! — dodał kuchta, idąc tuż za szkłem, ze wzrokiem w klarowny nektar utkwionym.

Przed ganeczkiem skromnego szlacheckiego dworku, zarosłym dzikiem winem, które się pięło obficie po czterech drewnianych słupkach, podpierających daszek tak zwanej werendy, stała gromada z kilkunastu chłopów złożona.

Ciche szepty, zrzadka tylko głośniejszymi przerywane wyrazami, podbródki oparte na dłoniach, i kiwające się

od czasu do czasu łepetyny, dowodziły, że szło tu o sprawę jakąś ważną.

I w rzeczy samej, układ o służebności, pociągającej za sobą pewne ograniczenie praw, których chłop nasz tak rzadko i z taką ostrożnością wyrzekać się umie, z drugiej strony nabywanie w zamian pewnej ustalonej własności, której wagi ciemnota większości ludu dostatecznie jeszcze nie pojmuje — czynią dla kmiecia to zerwanie z tradycyą i wejście w nową fazę ekonomiczną aktem tak ryzykownym, że go to słusznie, czy niesłusznie, pewną trwogą i obawą przejmuje.

Dziwić też się temu nie można. Wieki ciemnoty i pańszczyzny, wpływy najczęściej ujemne, rady natury zawistnej i podszepty ludzi złej woli, uczynić go zdawien dawna musiały trwożliwym i niedowierzającym.

Na krok też tak ważny tam się chłop tylko zdobywa, gdzie długoletni, patryarchalny stosunek z dworem, jest w stanie zniweczyć szkodliwość tylko co wymienionych czynników.

Z panem Franciszkiem wzrosła gromada przybyłych, prawie razem.

Razem ongi objeżdżali źrebce po pastwisku; razem z nim po lesie naganką starszemu panu chodzili; razem strugali fujarki ze świeżych pędów wierzbiny; razem na dożynkach tańczyli; razem góry ze śniegu lepili; razem się po zmarzłych stawach ślizgali; razem w noc świętojańską sobótki po polach palili; razem litanie przed figurą świętego Jana śpiewali; razem łowili ryby więciorkiem i siecią; razem wreszcie przy światełku w noc ciemną rosówki do wędek chwytali... Wszystkie te rozrywki z dobrym pa-

niczem wspólne, połączyły ich też silniejszym węzłem z późniejszym ich panem, którego słowom chętniejsze dawali ucho, a do obietnic silniejszą przywiązywali wiarę.

Na widok wychodzącego przed dom dziedzica, chłopi uchylili czapek, a ten i ów, starym obyczajem, zlekka ją ku ziemi nagiął. Nareszcie starszy z nich, z blachą sołtysową na piersi, zbliżył się pierwszy do czarki, którą dziedzic sam nalał i zlekka dotknął ustami.

— Pochwalony!... — rzekł sołtys, wychylając w ślad za tem miarkę. — Do was, Marcinie!

— Pijcie z Bogiem! — odparł zagadniony, ściskając pana za nogi, i spluwając lekko, jak gdyby do owego nektaru bał się przymieszki śliny, któraby mu mocy trochę odjęła. — Do was, Kubo!

Półkwaterek zakrążył dokoła, od Marcina do Kuby, od Kuby do Pietra, od Pietra do Sobka, od Sobka do Grzeli, od Grzeli do Walka i t. d., aż nareszcie powrócił do rąk dziedzica, który go na szyjce gąsiorka zawiesił.

— No, i cóż? — spytał pan Franciszek z jowialnym uśmiechem na twarzy, — zrozumieliście nareszcie moi ludzie, o co chodzi?

Chłopi obejrzeli się po sobie, nie dając odpowiedzi. Ten i ów wsparł podbródek na łokciu, i czekali jeden na drugiego w milczeniu.

— No, cóż?... zaniemówiliście, czy co? — spytał pan Franciszek ponownie. — Sołtysie ?!

Zagadniony w ten sposób sołtys, chłop przysadzisty, krzepki, choć gęstym już szronem przyprószony, postąpił parę kroków naprzód. Mownym był na swój sposób,

i niby w gromadzie najmędrszym; więc też w imieniu gromady nazwyczaił się był głos zabierać.

— A no... wielmożny panie — począł uroczyście, zakładając dla kontenansu ręce w tył, — dzięka Bogu, nikt z nas bez dopuszczenie Boże nie zaniemówił, ino że zwyczajnie... żaden nie chce mówić *osobiście* (co miało znaczyć osobno), bo jak to pedają... słowo frunie wróblem, a przylezie wołem...

— Więc zrozumieliście nareszcie moją propozycyę — spytał dziedzic, widząc, że orator gdzieś na manowce zapuszczać się zaczyna.

— Cośma nie mieli zrozumieć! — odrzekł sołtys.

— A ino... a ino... — powtarzali chłopi.

— Wielmożnemu panu chciałoby się zaorywać ugory, po których mamy prawo pasać.

— A ino... a ino... — pomrukiwali inni.

— Cichojta, kiedy mówię! — ciągnął dalej sołtys. — Wielmożny pan radby zatknąć łąki na potraw... a tu wara, bo nom tabel daje prawo wypasać drugą trawę.

— Jużci że daje! — ozwały się znów głosy.

— Cichojta, *skorno* mówię! — krzyknął orator, odwracając się do przerywających. — Wielmożny pan chciałby obsiać golaźnie po lesie... a tu nie można sadzić chojarków, bo nasze bydło tam chodzi!

— A no, chodzi, bo ma prawo! — zamruczano w tłumie.

— To się wie! — bąkano w odpowiedzi.

— Cichojta, narodzie! słyszycie!! — zawołał dostojnik gminy niecierpliwie. — Jak się pytać, to stoją, zeby im kto gęby zakneblował... a jak nie *potrza,* to brzęczą

niby chrabąszcze... Będzieta wszyscy *marmosić* jak niedźwiedzie, to nijakiego skutku nie zrobima!

— Macie racyę, sołtysie — wtrącił pan Franciszek; — radbym i pastwiska ugorowe, i to łażenie z bydłem uporządkować.

— *Duoobrze*, wielmożny panie — ciągnął sołtys, — toćmy wiema. Ale gdzież się obrócima z naszem bydlątkiem?

— A toć wam chcę dać na własność, w zamian za pastewnik, po jednym morgu gruntu na każdą sztukę bydła.

— Cóż ta, wielmożny panie, znaczy ten szmatek gruntu? Abo to się na nim *bydlok* używi, jak się obsieje *tem owtem*...

— No, jużci, jak wszystko obsiejesz, to pastwiska mieć nie będziesz; ale zostaw trzecią część morga na paśnik, obsiej koniczyną lub trawą, to ci na wszystko starczy.

— Starcy, abo i nie starcy — wtrącił Kuba, kiwając głową. — Moja krowina, to takie *żarte* bydlę, że bez tydzień morg wytrze...

— Cichojta! — zawołał sołtys.

— Co nimom mówić? — odparł Kuba, — kiej tu i o moją chudobę chodzi!

— No, to gadajta sobie *osobliwie!* — zauważył urażony mówca; — ja tu więcej gęby nie *rozewrę!*

— Nie *mieszajta,* kumie! — wołali chłopi do Kuby, — niech ta już sołtys sami gadają...

— A bo ja, abo wy!

— Godajcie sołtysie, gadajcie!... — powtarzali chłopi.

— Niech jeden mówi! — prosił i ze swej strony pan

Franciszek, — bo tak się nigdy nie dogadamy. To wszystko, mój sołtysie, jużem słyszał; po cóż więc przyszliście dzisiaj do mnie?

— A no... przyśliśma *zbić* już z wielmożnym panem jaki *skutek za serwietut* — począł znów sołtys, — bo my ta z naszym dziedzicem nijakiej spierki nie chcema...

— Więc godzicie się na zamianę?

— Zgodzilibyśma się wielmożny panie... ale na tę niwkę od rzeki to nie... bo tam jak ino mokro, to kartofli nie będzie...

— To wam dam grunt niedaleko lasu, tam wam nie wygniją kartofle.

— Pod lasem — ozwał się Kuba, — to znów na suszę wypali.

— Cichojta, kiedy mówię! — syknął znów sołtys, dodając: — To prawda, że pod lasem grunt *je przepality*...

— Więc gdzieżbyście woleli?

— My tak sobie mówili... żeby wielmożny oddał nam *hajno* tę niwkę, co to łońskiego roku byli buraki.

— Nie mogę, moi drodzy, dawać w środku pól, raz, że to na wszystkich nie wystarczy...

— To jedniby dostali tam, a drudzy *kiele* ogrodów.

— Nie mogę, w żaden sposób nie mogę! — bronił się pan Franciszek. — Grunta nowe muszą być w jednem miejscu odmierzone i łączne... inaczej popaskudziłbym sobie szachownicą wszystkie pola.

— Cóż wy na to? — spytał sołtys, odwracając się do obecnych.

Chłopi milczeli, nikt pierwszy nie chciał wyrywać się ze zdaniem.

— No?! — spytał głośniej jeszcze po raz drugi, — tero jak wom każę gadać, to mota gęby zadrutowane jak *świniaki* na ugorze... a jak jo gadałem, to umieliśta pomrukiwać, bąki!... No, Kuba?

Zagadniony otworzył gębę... Ledwie pierwszych słów parę przemówił, zaczęli wszyscy wtórować mu, zwykłym chłopskim obyczajem, i wszczął się gwar a hałas tak straszliwy, że nikogo już zrozumieć nie było można.

Pan Franciszek z ukrywanym uśmiechem wsłuchywał się w tę mieszaninę głosów bezładną. W uśmiechu tym nie było cienia ironii, nie było też złośliwości ani trochę; a choć tam na dnie duszy bolało go, że sprawa z przyjaciółmi lat dziecinnych tak mu długo idzie oporem, sercem jednak poczciwem i głębokim rozsądkiem tłómaczył sam przed sobą prostaczków.

Gdy gwar i hałas doszły już punktu kulminacyjnego, gdy zdawaćby się mogło, że kłócą się zażarcie między sobą i wybuch nawet lada chwila nastąpi, — pan Franciszek z całym spokojem i z tym samym życzliwym uśmiechem na ustach zdjął miarkę z szyi gąsiorka i lekko nią o szkło zadzwonił.

Jakby za dotknięciem różczki czarodziejskiej, cisza odrazu nastała.

Kuchta strwożony o zawartość gąsiorka, wyszedł z niemej dotychczas obojętności, i nagle postąpił krokiem naprzód. Chłopi też sądząc, że ich czeka drugi poczęstunek, zbliżyli się ku gankowi. Ten cmoknął językiem, ów wargi oblizał, jeden łyknął ślinkę, drugi cyknął między zębami, niektórzy ocierać poczęli gęby rękawem.

Tymczasem pan Franciszek, z tym samym co przed-

tem spokojem, zawiesił napowrót miarkę na gąsiorku, i ozwał się do gromady:

— Widzę, moi drodzy, że nie dojdziemy z sobą do ładu.

Chłopi milczeli pod wpływem doznanego zawodu z gąsiorkiem; lecz sołtys nie dał za wygraną.

— Wielmożny panie — mówił, rozkraczając nogi i zakładając znów ręce w tył, — do ładu dońdziema, ino jak ta przy *jeteresie* musima się wielmożny panie trochy potargować... przecie i na jarmarku nikt *bydloka* od pierwszego słowa nie ubija... ino w łapy pluje, a targiem idzie. Wielmożnego pana słowo znaczy, ale wielmożny pan naszego nie słyszał.

— Jakże je słyszeć mogę w takim hałasie? Wszyscy drzecie się razem.

— A no, widzita! *sakże* mówiłem! — zawołał sołtys, odwracając się do chłopów. — Checta skutku, to cichojta, i jo będę mówił; a checta wszyscy gębować, to se gębujta, ale ja swoją gębę zawrę.

— Z jednym to rozumiem — wtrącił p. Franciszek. — Zdajcie się na sołtysa, to dalej radzić będziemy... dobrze?

— A no... niech ta! — ozwał się po chwili Walek kulawy, którego we wsi zwano Sztykutem. — Godajcie sołtysie, co macie...

— Ale ty mi ślykut nie wadź gębą, ani pomrukiem nijakim, bo jak mi *cierpiętliwości* nie stanie, to na jednej *girze* wylecisz.

(*Cierpiętliwość* w sołtysowym dykcyonarzu oznaczać miała cierpliwość, a *girą* nogę zwykli byli chłopi mianować).

— No, a wy? — spytał pan Franciszek pozostałych, — zgadzacie się, żeby sołtys za was się ze mną umawiał?

— Co się nie mamy zgodzić? — odparł Kuba, zwany Bocianem, dla długich nóg swoich; — na to ma blachę ze znakiem, zeby za nas gadał.

— Więc się zgadzasz?

— A no, jak mi wielmożny pan da na tej niwce po burakach, to się zgodzę...

— Słyszałeś ciemny narodzie, że tej nie starczy, — wtrącił sołtys.

— Nie starczy dla wszyćkich, ale zawdy *lo mnie* starczy.

— A cóż to ty masz być lepszego ode mnie? — zawołał Sztykut, przyskakując do niego na jednej nodze.

— Pewnie, żem lepszy — odparł Bocian, — bo co dwie giry, to nie jedna...

— Bodajeś ty, pijanico! — odrzekł Sztykut urażony.— Jak się uchlejesz, to na swoich dwóch kijokach stoisz słabiej, niż jo na mojej jednej.

— Cichojta raki! — zawołał sołtys. — Czy my tu się zeszli wadzić, czy radzić?

— Jużci radzić — rzekł Marcin, zbliżając się poważnie z brodą na dłoni opartą. — Ja się godzę wziąć tu albo tam, ino nie morg.

— A ileżbyś chciał? — spytał sołtys, przymrużając lewe oko, — może włókę, albo i cały *foliwark?*

— O włóce niema gadania — odparł urażony Marcin, — boby na kóżdego nie starczyło... o foliwarku też nie, bo ino jeden...

— Więc o ileż ci idzie? — spytał pan Franciszek.

— A to doproszam się łaski wielmożnego pana... jabym się zgodził, ale na dwa morgi za kóżdą krowę.

— Nie mogę, mój drogi — odrzekł łagodnie p. Franciszek; — tyle dając, toby skórka za wyprawę nie starczyła.

— Wielmożny panie! — zawołał z pewnym patosem Paweł Siuda, filut pierwszego rzędu, a schlebiający zawsze dworowi, — wielmożny pan przez urazy panem zostanie, choćby i dwie mordżyny nam dał... a chłopek biedny *sładniej* się używi z *dzieciszczkami*.

— Pięknie to mój Pawle, że o dzieciszczkach myślisz — rzekł pan Franciszek; — szkoda jednak wielka, że tylko przy ugodzie o służebności masz je na języku. Czemuż to cały rok Boży nie zatroszczysz się o nie?

— Ja wielmożny panie? — spytał niby zdziwiony Siuda.

— A ty — ty! Dzieciaki bose, odarte, nieumyte, nieogarnięte... jakby nieboskie stworzenia...

— A kobieta od czego? — rzekł zagadniony hardo.

— Kobieta zajęłaby się, żeby miała w co odziać; ale jak ty każdy grosz z chałupy wyniesiesz na hulankę, na rozpustę, to z czegóż ma ona co zrobić dla dzieci?

— Ach, wielmożny, najdroższy paniczku! — deklamował dalej winowajca, — cóż biednemu chłopu zostanie dla uciechy, kiej nie te parę kropel? Wielmożni się zjadą, to pogadają, arbatą popijają, w karty pograją, a i wyskoczą niekiedy w taniec, niby kociak z kapusty... Chłop biedny cały dzień przekiwa nad cepami, naugina się przy gnoju... — nawyciąga kości przy snopkach... cóż ma robić we wieczór?... Na *gazycie* nie przeczyta, w karty nie umie, skikać mu się nie chce, bo się cały dzień po polu naskika... więc cóż ma robić na ten przykład?... Oto pójdzie niebożątko do karczmy, spotka tego i owego,

postawi jednego, drugi postawi drugiego... ot i cała uciecha chłopska!

— Nie przebirajta ozorem, jak organista *palicami* — przerwał mu zniecierpliwiony sołtys. — Gadać, to do rzeczy, a nie od rzeczy! — dodał zadowolony z kalemburu, który często wynajdował i chętnie się nim popisywał. — Siuda chce dwa morgi... no, to dwa... a Kacper ile?

— Też dwa...

— A Sztykut?

— A co ja gorszego?

— A Bocian?

— Kiej Sztykut na jedną nogę ma mieć dwa morgi, to mnieby się cztery należało.

Śmiech powstał między chłopami, którzy już nieraz byli świadkami turnieju dwóch zapaśników.

Sztykut, czerwony ze słości, już się zabierał do czynnej repliki, gdy nagle sołtys wrzasnął:

— Cichojta, kiedy mówię!!

Cisza zrobiła się między ludem.

— Kto mi się nie do rzeczy odezwie, to go w kark, że mu w zawiasach zaskrzypi... Czas kończyć te termedye... Wielmożny pan cierpiętliwy, to czeka... a zabraknie mu cierpiętliwości, to pójdzie, i drzwiami trzaśnie za sobą.

— Rzeczywiście — wtrącił pan Franciszek, — szkoda czasu na próżne gawędy. Radbym usłyszeć wasze ostatnie słowo, ja wam moje powiem, i albo skończymy, albo niech rzeczy podawnemu pozostaną.

— Otóż ja *se kalkuluję* — mówił dalej sołtys, — że chłopy *wszytkie,* jak są, zgodziliby się na dwa morgi... Co? czy tak?

— A no, niech ta... — ozwało się kilka głosów.

— Ino co wedle mego gruntu, — wtrącił Bocian.

— A cichoj! rozumiesz!! — wrzasnął sołtys. — Kiej gromada mówi *kseb!* to jednemu zasię mówić *odsib!*... Ot, niech już nam wielmożny pan odmierzy po dwa morgi na każdą krowę... choćby ta hajno od lasu... a zbijema koniec... Czy tak?

— A no, niechby ta!... — odrzekli chłopi niedbale.

— Nikt w okolicy takiej przestrzeni nie dawał — mówił pan Franciszek.

— A cy to jest na okolicę drugi taki dziedzic, jak nasz wielmożny? — wtrącił Siuda pochlebniś; — toć wiadome rzeczy... A gdzie to w biedzie i chorobie tak poratują? a gdzie to dzieciakami zajmie się który dwór, tak jak nasz?... He, he! my niby ciemni, ale widzima dobrze, co czem idzie... Hę?

— A no, jużci — odrzekli zainterpelowani przez Siudę — i znów rozpoczęły się między chłopami szepty i narady.

Pan Franciszek pocierał czoło, bijąc się z myślami. Zwolna zbliżał się ku gąsiorowi, obliczając w głowie, ile ostatecznie dać chłopom będzie w możności.

Stary kuchta przypatrywał mu się z boku. Póki szły targi na sucho, obojętnym pozostawał widzem; ale gdy ujrzał pana zbliżającego się do gąsiorka, żal mu się zrobiło tak smakowitego nektaru. Jednym więc susem poskoczył do dziedzica.

— Wielmożny panie! stać przy swojem — szepnął w ucho panu Franciszkowi. — Gąsiorka nie tykać, bo chłopi pobardzieją.

— Nie wtrącaj się...

— Wielmożny pan zobaczy, że stary Walenty miał racyę... Stać przy swojem, a gąsiorka nie tykać... dopiero tam, potem, na sam koniec, dać im po kapce.

Ale panu Franciszkowi pilno było zrzucić raz z serca ten ciężar. Gdy się więc obliczył, że mu owa niwa pod lasem na półtora morga od krowy dla każdego wystarczy, zwrócił się szybko do gromady.

— No, dzieci! żeby wam dać dowód, jak mi wspólny nasz interes jest drogi, jak pragnę z wami dobrej zgody... ofiaruję po półtora morga od każdej zapisanej w tabeli krowy, ale już ani pręta więcej. Jest to moje ostatnie słowo; chcecie, bierzcie, a nie, to już niech podawnemu pozostanie.

— Wielmożny panie — śpiewał Siuda, — te parę pręcinów...

— Powiedziałem, że ani pręta więcej — przerwał mu stanowczo pan Franciszek; — słowa za nic nie zmienię, i czekam waszej odpowiedzi zaraz, bo mi się już te wieczne zwłoki sprzykrzyły.

Chłopi zbili się w kupkę, jak stado kuropatw, i ponownie naradzać się z sobą poczęli. Ale narada, wobec zdeterminowanej postawy dziedzica, mniej już była długą i hałaśliwą. Po kilku minutach szeptów i gwaru, sołtys postąpił naprzód.

— A no... niechże już będzie wedle woli wielmożnego pana, — rzekł, ściskając go oburącz za nogi.

— Niech ta już będzie nasza krzywda, — westchnął, czyniąc to samo, Siuda.

W ślad za nimi ściskali kolana dziedzicowi i Sztykut, i Bocian, i Kuba, i Grzela, i reszta gromady, a wszyscy

oglądali się na gąsiorek, mający być uwieńczeniem dzieła wzajemnej ugody.

Pan Franciszek wyczytał to z ich oczu... sięgnął więc po gąsiorek, ale nim go ręką dotknął, kuchta porwał już naczynie w swe dłonie.

— Niech się wielmożny pan nie trudzi — podchwycił; — ja pomogę rozdać im potrochu, żeby się nie popili, jak Bóg przykazał...

I nim się dziedzic zdobył na odpowiedź, kuchta rozpoczął traktament.

Przedewszystkiem gruchnął sam miarkę nalaną po brzegi; dalej drżącą ręką dopełniał miarek, ale tylko po obrączkę, żeby kropli nie uronić. Duszę swą w drogim utopił nektarze; myślą pił każdą miarkę z każdym częstowanym, z nim razem wargi roztwierał, językiem klaskał, z nim razem głowę w tył przechylał, i z nim jednocześnie spluwał.

Nareszcie, gdy już ostatnią wypróżniono miarkę, nalał bez pytania po raz drugi dla siebie, ale tak pełną, że już tam i słomkaby się nie utrzymała... ostrożnie powiódł ją do ust... na wargach oparł, i jednym haustem przewrócił do dna.

Postanowiono zaraz nazajutrz rano przystąpić do spisania umowy w urzędzie gminnym, a następnie udać się popołudniu do komisarza dla złożenia mu jej pod zatwierdzenie i wprowadzenie w wykonanie.

Słońce już dobrze skryło się było pod ziemię, kiedy pan Franciszek pożegnał gromadę.

Znużony długiemi pertraktacyami, gwarem i hałasem, rzucił się w kancelaryi swojej na sofkę, szczęśliwy, że

raz nareszcie pozbędzie się ciężaru, który mu we własnej siedzibie wszelką swobodę ruchów tamował.

Wyjątkowa cisza zapanowała we dworku; od dni bowiem kilku ruchliwej pani Cecylii (żony pana Franciszka) nie było w domu, wyjechała ze swą jedynaczką Zosią o mil dziesięć do licznej swej rodziny, której pan Franciszek z uwagi na odległość prawie nie znał, a której pani Cecylia pragnęła była dorastającą już jedynaczkę przedstawić.

Pan Franciszek w tej błogiej samotności snuł dalej przędzę przyszłych projektów. Więc widział już na swych polach nowy systematyczny podział wprowadzonego płodozmianu... i pastewnik zdarty na kapuśniki... i rowy poodnawiane... i całe szlaki kraśniejącej koniczyny... i całe pola okopowizny. Widział już łąki swe nawodnione i niższe miejsca ziemią nawożone... widział już zagajniczek rosnący na bezużytecznych haliznach... oddychał balsamiczną wonią świeżo zasadzonych chojarków... Słowem, dochodził nareszcie do kresu długoletnich marzeń, gdy nagle błogą tę zadumę przerwał sygnał trąbki pocztowej.

Była to tak zwana *sztafeta* — zielona dwukołowa biedka, zaprzężona w ostrokościstą szkapę, która chyżością nadchwaconych nóg swoich zastępować miała szybkość telegrafu, nieznanego jeszcze w okolicy, przez pana Franciszka zamieszkałej.

Na tym dwukołowym wehikule, z powagą średniowiecznego herolda, wytrębywał znaną pocztową surmę chłop krzepki o szerokich płucach i mocno wydętych policzkach. Trąbił tak zawzięcie, że cała wiejskich piesków gromada, lecąc za nim, wtórowała mu wyciem przeraźliwem, a za-

razem trąbił tak fałszywie, że wszystko, co żyło we wsi mniej lub więcej muzykalnego, wybiegło w negliżach nocnych... podziwiać pana *poćtarka*.

Pan Franciszek zerwał się na równe nogi.

Sztafeta w owe czasy była dla szlachcica istnym ewenementem; w wyjątkowych bowiem tylko okolicznościach, i w rzeczach niezmiernej wagi i nagłości uciekano się do tej kosztownej korespondencyi.

Tysiące myśli ciemnych przebiegło panu Franciszkowi po głowie. Nim się jednak opamiętać zdołał, pocztylion, rzuciwszy lejce strudzonej szkapiny, która rada była wytchnieniu, ukazał się na progu kancelaryi, z typową skórzaną torbą, w której na dnie zmiętoszony spoczywał liścik.

Pan Franciszek pobladł, poznawszy pismo żony; strach ogarnął go na myśl samą: czy się jaka przygoda najdroższej jego jedynaczce nie przytrafiła? Aczkolwiek bowiem i o żonę szło mu także nie mało, sentyment jego jednak dla nazbyt czasem rezolutnej magnifiki, nie graniczył z takim, jak dla swej Zośki, fanatyzmem.

Drżącą ręką pokwitował pocztyliona z odbioru sztafety, drżącą też ręką szybko rozerwał kopertę.

List był lakoniczny, zawierał tylko te słowa:

„Kochany mężu! Miś Pawęskowski przyjechał tylko co z za granicy; wszyscy się tu tym drogim kuzynkiem cieszymy; cała rodzina, razem z Misiem radaby cię poznać; jutro więc zjeżdżają do nas w odwiedziny. Zmiłuj się, nie zrób mi wstydu, i przygotuj wszystko, jak należy.

„Twoja wiernie przywiązana
Cecylia“.

Pan Franciszek stanął, jak wryty.

Ta miła *cała rodzina* żony reprezentowała cyfrę, ni mniej, ni więcej, tylko trzydziestu przeszło osób, nie licząc w to naturalnie koni, służby i wehikułów.

Dworek pana Franciszka mógł w najlepszym razie zaledwie połowę pomieścić; co zrobić z resztą? gdzie podziać szkapy i wehikuły? jak umieścić przyjezdnych, żeby przecież na staropolską gościnność nie sarkali?..

Ciężkie to było zadanie, równające się prawie rozwiązaniu kwadratury koła, o której pan Franciszek zapewne nie słyszał; a zadanie tem poważniejsze, że w razie niespełnienia go, *jak należy,* groziły mężowi spazmy, gniewy, łzy i rozpacz nerwowej Cesinki, nie hamującej się bynajmniej w wybuchach gorzko odczutego zawodu.

Pan Franciszek zaczął dreptać po pokoju, jak to zwykł był czynić w chwilach ciężkiej alteracyi. Pot wystąpił mu na czoło. Obliczał i mierzył w myśli pokoje, kalkulował tak i owak: ani sposób pomieścić połowy, a cóż dopiero całej falangi kochanych krewniaków, którzy, nie pytając, czy gospodarz da lub nie da sobie z nimi rady, spaść nań mieli, jak szarańcza, nie troszcząc się o następstwa takiej wizyty.

Zdesperowany prawie na poły, uchylił drzwi, i głosem wzruszonym, zawołał prawie błagalnie:

— Walenty!

Echo pustych pokojów powtórzyło ostatnią zgłoskę, i rozpłynęło się wśród ciszy... Walenty nie przybywał.

Pan Franciszek, przebiegłszy po raz drugi kancelaryę wzdłuż i wpoprzek, krzyknął już donośniej:

— Walenty!!

I znów echo, tylko głośniejsze, rozlegało się po pokojach, ale kuchty jak nie było, tak nie było.

Zniecierpliwiony do ostatka, sunął biedny szlachcic do kuchni.

Tu przed oczyma jego nowy roztoczył się widok.

Na ławie, pod ścianą, oświetloną słabo tlejącym kagankiem, niedaleko trzonu, w ciepłej, a sosami przesyconej atmosferze, rozparł się mistrz Walenty, tnąc sobie chrapkę od ucha.

Zwieszone wąsy, nos wydający tony najprzeróżniejszego brzmienia, nogi rozsunięte, ręce pod fartuchem niby w mufce ukryte, a czapa na czoło mocno zasunięta, dowodziły, że sen to był twardy, na krzyk nawet głuchy, na wszelką perswazyę obojętny.

Tuż obok Walentego błyszczał na kuchennym stole sprawca wszystkiego złego — ów wypróżniony gąsior, którego *dziwnie udana...* tak mocno na nerwy starego kuchty podziałała.

Pan Franciszek ręce załamał. Jedyny możliwy doradca, jedyny jego pomocnik, ubył mu teraz.

Walenty stawał się dla niego w tej chwili najważniejszą prawie osobą, osią, około której miał się skupić cały ruch domu, szykującego się na przyjęcie gości. Od Walentego zależało utrzymanie dobrej opinii domu i zgody małżeńskiej, lub podkopanie tradycyjnej gościnności i późniejsze swary domowe. A tymczasem w miejsce tego ważnego czynnika, miał przed sobą bryłę bezwładną, istotę bezwiedną, z którą może i dogadać się będzie trudno.

Znał pan Franciszek nieszczęśliwą pasyjkę starego kucharza, ale nie przypuszczał nigdy, aby aż do takich

dochodziła rozmiarów. (Na usprawiedliwienie Walentego dodać tylko musimy, że za bytności pani domu, nigdy się to w takich rozmiarach nie zdarzało).

Gdyby nie sztafeta, z Misiem Pawęskowskim i trzydziestu krewniakami w perspektywie, byłby pan Franciszek ruszył ramionami i starego przyjaciela pozostawił w spokoju. Ale wyjątkowe położenie, wyjątkowych wymagało postanowień. Jednym więc susem przyskoczył do śpiącego, i potrząsnął nim z całej siły.

— Walenty!!! — wrzasnął mu nad uchem.

— *Udana*, wielmożny panie... *udana*... — mruczał przez nos pijany.

— Walenty!!! — powtórzył, wstrząsając nim rozpaczliwie.

— Ani kapki zawiele, ani zamało... jak kocham wielmożnego paniczka...

— Nie przebudzisz ty się, pijaku?!! — krzyczał dalej.

— A chłopom nie szafować... bo okoniem staną... Co *udana*, to *udana*...

— Bodajeś się zaprzepaścił! — zaklął zrozpaczony szlachcic, i chwyciwszy się za głowę, wybiegł do czeladniej kuchni, w której pół tuzina dziewek głośną wiodło rozmowę.

— Gdzie Szafrańska? — spytał żałośnie.

Dziewki milczały. Wśród gwaru i hałasu, żadna nie dosłyszała zapytania.

— No!.. mówicie, czy nie?.. do milion kroć tysięcy!

Dziewki spojrzały po sobie; rwały strzępki z fartuchów, ale milczały.

Pan Franciszek tupnął nogą ze złości, a tupnął z taką siłą, że się tuman kurzu wzbił w górę.

— Czego się wielmożny pan gniewają? — spytała najśmielsza z nich, gruba Kaśka, dziewczyna jak łania, a która widocznie mniej sobie niż inne z gniewu dziedzica robiła.

— Czemu nie odpowiadacie?

— Kiej nie wiema, o co pan pytają? — odrzekła głośno.

— Gdzie Szafrańska?.. powiadam... Głuche! gdzie gospodyni?!

— Gospodyni? — odparła Kaśka, — a kto ją ta wie?.. abo to się ona opowiada, jak wychodzi!..

— Szukać mi jej zaraz!

— A gdzież jej ta szukać? — mówiła dalej gruba Kaśka. — Może je u organiściny... może u księżej gospodyni... może u ekonomowej...

— Szukać mi jej wszędzie... słyszycie! Żeby mi ją tu zaraz sprowadzono. No, ruszać się! marsz!!!

Dziewki rozbiegły się w różne strony, ale parami, bo o spóźnionej porze w pojedynkę nie rade były się puszczać.

W niespełna kwadrans wiodły z sobą zasapaną Szafrańską, której niedawna sztafeta, wezwanie pana Franciszka i harmider dziewek, opowiadających straszny gniew dziedzica, wszystkie klepki w głowie pomieszały.

Pani Szafrańska, dzierżąca rządy domu pod nieobecność dziedziczki, była osobą wielce nerwową, choć wygląd jej i tusza, przechodząca rozmiarami samą nawet księżą gospodynię, w jawnej z tym stanem nerwów pozostawały sprzeczności.

Była ona wdową po ś. p. rządcy jakiegoś kilkowłókowego folwarku; a dumna ze swego dawnego stanowiska, lubiła przy każdej zdarzonej okazyi wspominać ś. p. Szafrańskiego, *rządcego,* jakich dziś coraz już mniej na świecie.

— Mój Boże! — stękała babina, drepcząc za dziewkami, — żeby to ś. p. mąż mój widział, jak to teraz dawną panią *rządczynią* ganiają!.. Znali dla mnie ludzie respekt — znali! bo też takiego rządcego, jak był nieboszczyk Szafrański, to i sam hrabia na Więcorach dziś nie ma.

— Niech-no pani pośpisza! — wołała gruba Kaśka, idąc przodem.

— A ty siebie pilnuj, kulfonie! — odcięła się gospodyni, chłodząc się, mimo spóźnionej pory, fartuchem, niby olbrzymim wachlarzem. — Nie masz za grosz respektu! — zrzędziła dalej, — a ja takich, jak ty wycierusów, miałam sama do posługi z pół mędla! Nieboszczyk Szafrański znosić nie mógł, żebym co sama robiła, ani mi w kuchni nie dał postać, ani iść do kur, ani do krów, — a dziś?! Wyjdziesz na chwilę z wizytą, już cię pędzą nazad, jak niewolnicę do jasyru!

Gdy słów tych żałosnych korpulentna branka domawiała, na skręcie dworu ukazał się pan Franciszek.

— Gdzież się to Szafrańska była zawieruszyła? — zapytał gniewnie. — Czekam już z pół godziny!

— Słyszał kto? — odparła zasapana, — pół godziny! Ledwie mi znać dali na plebanię, zrzuciłam ze czterdziestu maryasza... E! to jest, chciałam mówić: rzuciłam wszystko, i pędzę, jak nieboskie stworzenie. O dla Boga!..

oddycham ledwie z pośpiechu, a panu jeszcze nie dość prędko!..

— No, no... proszę ze mną — przerwał jej łagodniej już nieco pan Franciszek. — Rzecz nagła, nie mamy czasu do stracenia.

— Cóż się stało? — zapytała, wchodząc za nim do kancelaryi. — Pewnie ta sztafeta jakieś licho z sobą przyniosła.

— To się wie, że nic dobrego, moja Szafrańska...

— Czy panienka i pani aby zdrowe?

— Zdrowe... zdrowe... — odpowiadał łagodnie pan Franciszek; — ale jutro mamy mieć kupę gości!

— Gości?! Chryste Jezu!.. wszakże pani niema w domu.

— To niczego nie dowodzi. Pani także wraca, a z nią cała chmara krewnych, osób przeszło trzydzieści.

— Rany boskie! — zawołała rozpaczliwie, chwytając się za czepiec; — a gdzież się to pomieści?

— Otoż w tem sęk, moja Szafrańsiu, i na tom posyłał po ciebie, żebyś co poradziła.

— Jeżeli pan sam nie poradzi, to cóż dopiero ja, słaba niewiasta!

Był to epitet, którym się często korpulentna gospodyni darzyła.

— Kobiety zawsze w tych razach mędrsze — odrzekł, schlebiając jej pan Franciszek. — Ja mam teraz na głowie dosyć innych kłopotów. Ale co tam pomoże biadać? Czas ucieka, noc za pasem, a gości jutro patrzeć. Ileż się da pomieścić we dworze?

— We dworze?.. — powtórzyła, opierając się na łokciu,

Szafrańska. — Ano, nasamprzód w gościnnych pokojach jest sześć łóżek i dwie sofy...

— To osiem... dalej?

— Na sali są dwie kanapy, to dziesięć. Wstawićby można ze cztery łóżka, ale najgorzej z pościelą.

— Ha! trudno, — rzekł pan Franciszek; — jest przecie gościnna. Zresztą ja dam moją, pani swoją...

— Panience też się zabierze?.. — spytała Szafrańska.

— O nie! na to nie pozwolę — zaoponował pan Franciszek.

— Skądże wziąć?..

— A no, już chyba poczciwa Szafrańska da co ze swojej pościeli.

— Ja... słaba niewiasta... mój Boże!.. ale zresztą cóż robić?.. To ile już mamy?

— Dotąd będzie na dwanaście osób; ale to wszystko mało. Trza dziewki z garderoby wygnać; przybyłoby znów sześć łóżek.

— Dobrze! niech wędrują do kuchni na słomę — rzekła gospodyni. — Tylko najgorzej z grubą Kaśką... harde to i uparte. Pierzynę ma nową, — chyba jej sam pan nakaże... — dodała, patrząc z podełba na dziedzica.

Pan Franciszek spuścił oczy. Widocznie i on miał dla grubej Kaśki pewny niewytłómaczony respekt. Szepnął więc tylko pod nosem:

— No, bez jednego żołnierza obejdzie się wojna. Razem tedy jest już blizko dwadzieścia... ale gdzież resztę podziejemy?

— A no, niema innej rady, tylko parobków i fornali

zbić do kupy, dwie izby w czworaku wyprzątnąć, słomy i siana nasłać, i tam niech śpią mężczyźni pokotem.

— A zapewne! — dodał pan Franciszek, zacierając ręce. — Widzisz Szafrańsiu — dodał, głaszcząc ją już pod brodę, — że się jakoś wspólnie uradziło.

— Ale trza zaraz wydać dyspozycyę, żeby się na noc wynosili z rzeczami. Dziś zaraz każę parę izb poszorować; przez noc wyschną, jutro się rano ponaściela, i będzie.

— Dobrze, moja Szafrańsiu, to się zrobi. A teraz... czem my to wszystko wyżywimy?

— Czem? a no, trza zaraz, choć to już ciemno, skopu zabić, i cielę jakie zarżnąć, kury i kaczki są młode, zaraz każę kilkadziesiąt zabić i przez noc oskubywać.

— Ale twarde to będzie na jutro, jak kamień.

— Ee! jest na to sposób: sodą się wytrze, to skruszeją. Niech się tylko i Walenty zaraz do oprawiania zabierze.

— Ba! — westchnął pan Franciszek, — w tem sęk.

— Dziś musi się zabrać, toć jeszcze nie późno, — ciągnęła dalej Szafrańska. — Ma on na całą noc do roboty; jutroby już nie dał sobie rady.

— Gadajże dziś z nim! — zawołał pan Franciszek.

— A no, niech mu pan ostro przykaże.

— Walenty śpi, urżnął się jak nieboskie stworzenie, — dodał rozpaczliwie pan Franciszek.

— Co? gdzie? kiedy?!

— Dziś, przed godziną, jakem tu z chłopami targów i układu dobijał. Wymknął mi się szelma z gąsiorkiem i wysączył go do dna. Śpi teraz w kuchni, jak zabity!

— A niepoń! — zawołała gniewnie gospodyni, zrywając się z krzesła, — a heretyk! Ale ja go nauczę, ja go do rozumu doprowadzę!

I z ostatniemi słowy wybiegła do kuchni, chwytając po drodze pełną karawkę wody ze stołu...

Co się tam w kuchni działo, nikt wiedzieć nie mógł; pani Szafrańska bowiem zatrzasnęła drzwi za sobą. Słychać tylko było nasamprzód jęk żałosny, potem trzask jakiś o ciało, potem plusk wody i gwałtowne jakieś spluwanie, dalej szmer głuchy niby po spadłej ulewie, wreszcie nastała cisza, wśród której pani Szafrańska, znacznie już spokojniejsza, wyszła z kuchni.

Pan Franciszek biegał tymczasem z latarką po podwórzu, wydając stosowne rozkazy wypróżnienia dwóch izb parobczych, oraz wyprowadzenia bydła z jednego przedziału do szopy, dla zrobienia miejsca ludziom i koniom przyjezdnym. Owczarzowi kazał zaraz, przy świetle lampki, oprawić skopu i zgładzić ośmiodniowe cielę, niewinną sztafety ofiarę.

Zarządziwszy to wszystko, w niespełna pół godziny wracał do domu, gdy ku największemu swemu zdziwieniu, zastał już w kancelaryi czekającego na niego kuchtę.

Był to zupełnie inny człowiek, odrodzony pod magicznym wpływem pani Szafrańskiej.

Włosy do głowy przylizane, zwilżona jeszcze bielizna i fartuch z deseniami z wody, dowodziły obfitej zimnej kąpieli, którą mu rezolutna niewiasta sprawiła.

Na twarzy Walusia znać jeszcze było ślady orgii: oczy lekko podbrzękłe, okrążone czerwoną obwódką, były oznaką

przerwanego snu; postawa jeszcze nieco chwiejna, dowodziła, że tam ów nektar boski krążyć jeszcze po nogach nie przestawał; zawsze jednak Walenty był już radykalnie przebudzonym, i o tyle trzeźwym, że się z nim dobrze rozmówić było można.

Panu Franciszkowi żal się w duszy starego sługi zrobiło. Nie wspominając więc już o tem co zaszło, krótką mu wydał dyspozycyę jutrzejszego śniadania i obiadu, i prosząc go serdecznie, aby tylko wstydu i zawodu nie zrobił.

— Niech się wielmożny pan nie boi — odrzekł solennie kuchta: — Walenty zna swój obowiązek, i nigdy nie chybi. Niech mi tylko wielmożny pan parę butelek każe wydać...

— Ale się nie urzniesz, mój Walusiu? — spytał z pewną obawą zakłopotany dziedzic.

— Wielmożny panie! Bóg mi świadkiem, że tylko do sosów potrzebuję... Zresztą, czy to mnie kiedy wielmożny pan widział pijanym?

Na to bezczelne zapytanie, pan Franciszek żadnej nie miał odpowiedzi. Uśmiechnął się tylko, i wrócił do kancelaryi użyć trochę wypoczynku i uporządkować myśli w głowie znękanej układami o służebności i przygotowaniami do oczekiwanego najazdu krewniaków.

* * *

Przez całą noc w Kłopocinie nikt prawie oka nie zmrużył.

Pani Szafrańska cały regiment dziewek dworskich i najemnych, wprawiła w ruch gorączkowy. Jedne prały

z grubszego pościel i bieliznę stołową; drugie maglowały je na skrzypiących wałkach; tu żelazka gorące syczały pod rękami praczek; tam znów grzmiały magle, niby zdala grożąca nawałnica. Szmer, gwar, mieszały się z jękiem i piskiem zarzynanego w kuchni drobiu... szczęk szklanek i talerzy wtórował syczącym płomieniom ognia podsycanego na olbrzymim trzonie.

Parobcy wynosili rzeczy wśród płaczu zaspanych dzieci. Jedni napełniali sienniki, inni znosili długą słomę; pastuchy wyprowadzały bydło do szopy; fornale czyścili żłoby na przyjęcie koni przyjezdnych. Wszędzie skręt, hałas, wrzawa i zamęt, tak straszne, że chyba tylko dzień sądu ostatecznego mógłby iść z tym chaosem w porównanie.

Szafrańska, krzątająca się między robotnicami, ledwie już trzymała się na nogach.

— Mój Boże! — wzdychała znużona, — nieboszczyk Szafrański w trumnieby się nieborak przewrócił, gdyby widział, jak się pani rządczyni przez noc całą nabiadać musi!

Krzepiła się biedaczka kiedy niekiedy łykiem węgierskiego wina, którego jej wytrzeźwiony już zupełnie Walenty za ową kąpiel odmawiać nie śmiał.

W kuchni niemniejszy ruch zawrzał.

Po kątach trzepotały jeszcze skrzydłami pozbawione łebków biedne ofiary przyjęcia gości. Krew niewinna wązkiemi strugami biegła po podłodze kaflanej, mieszając się z pierzem oskubanego ptactwa. W kilku szaflikach zalane octem spoczywały combry baranie i poćwiertowane cielę. Stary Walenty, kipiący ze znużenia, sypał co

chwila tabakę w swój nos fioletowy, zabezpieczając się w ten sposób od zaśnięcia, któreby mu całą robotę przerwało.

I sen pana Franciszka wart był niecałe trzy grosze.

Obawa należytego przygotowania się na przyjęcie gości, połączona z nieustającym na chwilę harmidrem, głowa pełna rozporządzeń, jak gdzie kogo umieścić, komu ile obroków wydać i jak gdzie ludzi przyjezdnych ugościć,— wszystko to razem wzięte sprawiało, że biedny gospodarz, choć głowę silnie do skórzanej poduszki przyciskał, zasnąć porządnie nie mógł, i co chwila z boku na bok, jak potępieniec, przewracać się był zmuszony.

Była to noc ciężka, podwójnie nużąca, a groźna następstwami w razie niezaopatrzenia się we wszystko, co było do przyjęcia gości koniecznem.

Nie dziw też, że gdy dzień nastał już łebski, pan Franciszek wstał z głową ciążącą mu ołowiem — zmęczony, skłopotany, zbity.

Zaledwie zdążył się był ogarnąć i jako tako posilić, posłał na wieś po gromadę ludzi, by dzieło układów serwitutowych jak najrychlej przed przyjazdem gości ukończyć.

Wtem nagle za wsią wzniósł się tuman kurzu, a wśród trzasku z bicza kilka się wehikułów ukazało.

Pierwszym zatoczył się żółty wózek węgierski, we dwa niezłe gniadosze zaprzężone, a na nim dwóch wąsatych szlachciców, rozpartych w boki, przyglądało się z ciekawością wszystkiemu, co pod oczy podpadało. Widać było, że się tu po raz pierwszy znajdowali, i że tak okolica

sama, jak i jej mieszkańcy, zupełną dla nich byli nowością.

Podobieństwo uderzające obu przybyszów, blizkiego dowodziło pokrewieństwa. Ten sam wzrost, ta sama tusza, te same ostre rysy, ta sama buta i takież same wąsy junacko w górę wywinięte, dwóch rodzonych znamionowały braci. Jedynie szron przysypujący gęsto czuprynę jednego, a jaśniejszy kolor włosów drugiego, stanowiły różnicę między ojcem a synem.

Starszy zwał się panem Andrzejem Pylińskim, syn jego jedynak Jędrusiem. Obaj byli ciotecznymi krewnymi żony pana Franciszka, a więc tem samem i jego blizkimi koligatami.

— Jak myślisz, Jędruś?... będą nam tu radzi? — spytał starszy wesoło.

— Niechno-by nie! — odparł zagadniony, o chmurnym jakimś wyrazie twarzy.

— Jędruś, bój się Boga! cóż to za odpowiedź: „Niechno-by nie!...“ Burdębyś zrobił?

— Burdę, jak burdę — odrzekł syn, — ale że żadnego afrontu w kieszeńbym nie schował, to więcej niż pewno.

— No, przecież o afront bać się nie potrzebujemy. Pan Franciszek, o ile od jego żony słyszałem, ma być człek wielce gościnny.

— A jednak na sztafetę nie odpowiedział!

— Cóż miał odpowiedzieć? — spytał ojciec.

— Choćby to, że nas gorąco oczekuje.

— Widzisz, Jędruś, nie każdy zna formy... a w takiej dziurze zapadłej mniej się ludzie ocierają o świat, niż gdzieindziej. Zresztą w ślad za sztafetą ruszyliśmy w drogę.

— Zobaczymy, zobaczymy... — powtarzał synek.

— W każdym razie, proszę cię, Jędrusiu, i zaklinam na twoją pannę, żebyś się mitygował. Jesteś nadto krewki i łatwo zapalny.

— Ojciec wie, że panować umiem nad sobą, byle mi kto nie ubliżył.

— No, cóż znów! któżby śmiał?...

— Lub się do Nepci nie przysiadał...

— Tego ci nikt nie zrobi, bo w okolicy wiedzą wszyscy, żeście tak jak po słowie.

— Wiedzą i nie wiedzą; uważałem nawet, że jeden smyk zanadto mi się do niej mizdrzy.

— Któż to taki?

— To mój sekret, mieć go będę na oku.

— To ci wolno.

— Ale uprzedzam ojca, że gdyby mi się i tu do Nepci przysiadał...

— To cóż?

— Uszy mu obetnę, jak mopsowi!

— Bój się Boga, Jędrusiu!

— Tak, tak! mam-ci go ja już na wątrobie, bo kiedy Drzemscy dziś siadali do karety i miejsce było przy Nepci, ten smyk mnie uprzedził i sam się tam nieproszony wtarabanił...

— Hm! — mruknął pan Andrzej; — ale to głupio, że oni pozwolili.

— A cóż! niedołęgi i basta! — Ona, siadając, już drzemie, sam Drzemski, głuchy jak pień, zresztą trudno go było wyrzucić za kołnierz.

— Któż to taki?... przecież się dowiem, jak nadjedzie.

— A któż, jeśli nie dzisiejszy amfitryon!..

— Miś Pawęskowski?

— Naturalnie... szaleje to wszystko bydło za nim!

— Pst! bój się Boga... toć to nasi koligaci.

— To i cóż? bydło i basta... Że wraca z Paryża czy z Londynu, nie wiedzą gdzie go posadzić!...

— Pst! Jędrusiu, bo zajeżdżamy... Widzisz go? stary Kłopociński już nas czeka... Ha, ha, ha! — zaśmiał się pan Andrzej, roztwierając ręce na oścież dla powitania koligata. — Domyślam się kochanego kuzyna Franciszka.

— Jak raz, jak raz... kochany gościu — powtarzał zagadniony. — Kogoż ja mam szczęście witać?

— Andrzej Pyliński, cioteczno-rodzony twojej Cecylii, z Wąsickiej idziemy razem... No, jakże się macie tutaj?— dodał, zsiadając z bryki i całując gospodarza w obadwa policzki. — Nie myślałem dalibóg, że za życia będę tu kiedy w tej dziurze... Ależ okolica — niech ją grom spali! płaszczyzna, jak talerz, krzaki zamiast lasów, błota zamiast łąk. Kain Abla zabił, dalibóg!

Wszystkie te pochlebne uwagi wyrzucił pan Andrzej jednym tchem, nie domyślając się nawet, ile zrobił przykrości gospodarzowi.

Pan Franciszek zapomniał języka w gębie. Po raz pierwszy poważył się ktoś w taki sposób o jego okolicy i o jego habendzie mówić. Oburzony w głębi duszy za metaforę o Kainie i Ablu, miał coś o Betleemskim inwentarzu odpowiedzieć, gdy w tej chwili podszedł ku niemu Jędruś.

— Niechże mnie ojciec przedstawi, — prosił.

— A cóż to? zapomniałeś, jak się nazywasz? — odparł pan Andrzej.

— Jędrzej Pyliński — rzekł Jędruś, kłaniając się panu Franciszkowi.

— Brat? — spytał gospodarz, wskazując na ojca.

— Syn, — odrzekł Jędruś.

— A widzisz! — podchwycił pan Andrzej, — a mówiłem, że wyglądasz na mego, starszego notabene, brata.

— Pod względem rozumu to prawda — pomyślał pan Franciszek, urażony ciągle jowialnością kuzyna.

Nie dając jednak poznać po sobie markotnego usposobienia, podał rękę Jędrusiowi i wskazywał obudwom wejście do dworku, gdy tymczasem zataczała się przed ganek ciężka landara, z nowym transportem gości.

Pierwsza wysiadła okazała pani Cecylia, gospodyni domu, której z prawa i urzędu honory robić wypadało.

Za nią wysunęła się z trudnością niemniej korpulentna małżonka tylko co przybyłego pana Andrzeja Pylińskiego, zwana przezeń zdrobniale Filipcią, oraz dwie jej córeczki, Olcia i Polcia, jakby na okaz wypasione.

Przeróżne języki krzyżowały się z sobą wzajemnie. „Milion kroć tysięcy dyabłów„!“ mieszało się z rozpaczliwem *„Dieu de misericorde!“* Rżenie koni, szczekanie piesków z całego podwórza zbiegłych, zlewało się z tysiącem zapytań, klątw, wymyślań, w jedną piekielną jakąś harmonię...

Zdala wyglądało to na kiermasz międzynarodowy, lub na rodzaj tylko co wykonanego najazdu; na jakieś obozowisko szykujące się do radykalnego spustoszenia okolicy, na łup najeźdźców wydanej.

Pan Franciszek stał w tym odmęcie, jak pijany.

Prócz dwóch czy trzech znajomych mężczyzn, którzy

go jeszcze nie spostrzegli, miał przed sobą dwa tuziny nieznanych sobie twarzy, które go już spostrzegły, i dziwacznie się ku niemu uśmiechały. Nie wiedział, co z sobą robić, do kogo podejść, kogo i jak przywitać, i byłby tak stał jeszcze dłużej, gdyby nie zjawienie się pani Cecylii, która biedaka wybawić z kłopotu przybyła.

— Kuzynki pozwolą, że im mego męża przedstawię, — mówiła, biorąc go za rękę i wskazując mu rząd cały kuzynek. — Ciocia Grapska, kuzynki Frunia i Zunia, które musisz pamiętać dzieciaczkami z pierwszej naszej podróży...

— Do Gapiszewa — podchwycił pan Franciszek; — a tak... coś pamiętam...

— Ciocia Piaskowicz, wuj Piaskowicz, kuzyn Skalski, kuzyn Głazowski, kuzyn Kamyszkiewicz, kuzynki Marmurskie, ciocia Granitowicz i kuzynki Zwirskie...

To wyrzuciwszy odrazu, odetchnęła.

Pan Franciszek z ciągłem „bardzo mi przyjemnie“ na ustach, ściskał ręce kolejno całej tej mineralogicznej kolekcyi. Parę razy próbował cmoknąć wujów z dubeltówki, a kuzynki w łapę; że jednak zaczął się mylić, i kuzyna Głazowskiego ucałował w łapę, a ciocię Granitowiczową w zimne policzki, na które szkarłat wstydu wystąpił, dał już czułości krewniackiej za wygraną, i tylko na ściskaniu rąk się ograniczył.

— Niechże pozwolą — wyjęknął nareszcie dla odmiany, znużony ciągłem „bardzo mi przyjemnie;“ — prosimy pod strzechę... — dodał, wskazując gestem na werendkę.

— Nie, nie, nie!... — zaprotestowało kilkanaście głosów męskich, żeńskich i nijakich; były tam bowiem i oso-

bniki w sukienkach nie dość jasno określających płeć właściwą. — Nie ruszymy się z przed domu, póki Miś nie nadjedzie!

— Misia, Misia czekamy tutaj! — wołano ciągle.

— Słyszy ojciec to bydło! — szepnął Jędruś, który z ojcem, matką i siostrami nadszedł był na powitanie krewnych.

— A cóż robić! powaryowali! — westchnął p. Andrzej.

— Ale Misia przyjmiemy owacyjnie! — zaproponował wuj Piaskowicz.

— To się wie, — potwierdziła za nim małżonka.

— Jak na to zasługuje, — dodała gospodyni domu. — Nie wiesz bowiem — mówiła, zwracając się do męża, — że Miś Pawęskowski odbył podróż, którejby mu i sam ten... jakże się nazywa?... Francuz czy Anglik...

— Stanley — szepnęła Olcia Pylińska, która niedawno wróciła z pensyi.

— Tak, tak... samby Stanley pozazdrościł... był w Paryżu, w Egipcie, w Neapolu, widział wezuwiusze... wulkany...

— A nawet przywiózł stamtąd kawał lawiny — dodał pan Andrzej Pyliński.

— Jakiej lawiny? ze śniegu? — spytał pan Franciszek.

— Czyś kuzyn zwaryował? Śnieg na wulkanie, który ogniem bucha?...

— No, ja o innej lawinie nie słyszałem, — bronił się gospodarz.

— Trudno słyszeć, kiedy kto siedzi w takiej dziurze! — ofuknął się szlachcic.

— A już mi kuzyn po raz drugi z tą dziurą wyjeż-

dża! — zawołał trochę urażony pan Franciszek. — Radbym też widzieć ten raj ziemski, w którym mieszkacie.

— Prosimy, bardzo prosimy — przerwała pani Filipina, chcąc załagodzić ton ostry, jaki przybrała rozmowa.

— Pan miał trochę racyi — szepnęła do ojca Polcia Pylińska: — z wulkanów płynie lawa, a nie lawina.

— Lawa i lawina to jeden dyabeł!... a ty mnie smarkula nie ucz! — oburknął się pan Andrzej.

W tej chwili ktoś krzyknął:

— Aha! jedzie... jedzie!... o!

— Jedzie! jedzie!... — zawtórowało całe towarzystwo, kierując wzrok ku drodze, na której, niby obłoczek, wzbił się zdaleka tuman kurzu.

Wśród ciszy, z oddechem prawie w piersiach zapartym, oczekiwano na zajechanie turysty. Nareszcie gdy landara państwa Drzemskich zatoczyła się przed dom, ze wszystkich piersi męskich, żeńskich i nijakich wydarł się grzmiący okrzyk:

— Wiwat Miś!

Pani Drzemska, kiwająca się we śnie, jak Chińczyk, nagle skoczyła na siedzeniu. Głuchy jej małżonek zląkł się, nie wiedząc, co tego skoku było powodem. Z otaczającego landarę towarzystwa wydarł się długi, przeciągły okrzyk. Tylko Jędruś i pan Andrzej milczeli uporczywie.

Z landary wyskoczył lekko nasz bohater; uprzejmym skinieniem głowy skłonił się obecnym; następnie z iście parys'im wdziękiem podał rękę wysiadającej pani Drzemskiej, której oczka zaspane dowodziły świeżo przerwanej drzemki. Ledwie ją na ziemi postawił, chwycił obie rączki panny Nepomuceny, wysiadającej zaraz za matką.

Wtem nagle... zjawił się u drzwiczek landary — Jędruś. Nachmurzony i nastroszony, jak kot na widok zbliżającego się ku niemu kundelka, odsunął jedną ręką Misia, i pochwycił dłoń panny Nepci.

Miś spojrzał mu w oczy, ale spotkał się z wejrzeniem tak groźnem, że mimowoli wzrok spuścił i dał za wygraną, poprzestając na jednej rączce.

Panna Nepomucena wysiadła wolno, opierając się na rękach dwu młodzieńców.

Uśmiechnięta uroczo, zstępowała niby sylfida lekko i powiewnie, raz tylko rzuciwszy okiem na Jędrusia, a natomiast strzelając częściej i czulej oczyma do Misia, który z tego podwójnie dumnym być się zdawał.

Gdy drobniuchną stopką dotknęła ziemi, Jędruś podał jej ramię, co mu z prawa i urzędu przysługiwało. Jakby na komendę znalazł się w tejże samej chwili i Miś, podając jej ramię z drugiej strony.

Spojrzenia dwóch widocznych rywali znów się z sobą jak dwie błyskawice skrzyżowały; ktoby je był umiał w lot pochwycić, byłby snadnie dojrzał groźną burzę, ponad dwoma młodzieńcami zawisłą. Ale towarzystwo całe zajęte było wyłącznie jednym bohaterem. Nikt nie zwracał uwagi na Jędrusia, mało kto na jego narzeczonę Nepcię; każdy natomiast patrzył w oczy Misiowi, czekając odpowiedzi na takie tryumfalne przyjęcie.

Miś milczał, jak sfinks, kłaniając się tylko od ust jedną ręką, niby gladyator po odniesionym tryumfie, drugą zaś przyciskając silnie do serca drobną rączkę panny Nepomuceny.

Tak szli we trójkę po szerokich wschodach. Na ich

końcu były już tylko drzwi szklane, w których się wszystkim trojgu pomieścić było niepodobna; stanęli przed niemi, czekając, który z dwóch asystujących ustąpi.

Jędruś ustępować nie mógł, i jako narzeczony postanowił święcie bronić praw swoich. Misiowi trudno było puścić rączkę panny Nepomuceny, która się do niego nerwowo prawie przyciskała. Byliby też tak stali aż do wybuchu owej nadciągającej burzy, gdyby nie pan Franciszek.

Z uprzejmością dawnych dworaków skłonił się pani Drzemskiej, pomógł jej dostać się po schodach do sieni, w której na nią pani Cecylia czekała, a następnie zwrócił się do stojącej u drzwi panny Nepomuceny, która rada nie rada, musiała wyciągnąć rączkę opartą na ramieniu Misia, a już bez wahania puściła narzeczonego swego Jędrusia.

Obaj rywale jeszcze raz spojrzeli sobie w oczy i weszli w ślad za Nepcią do sieni, a za nimi całe też towarzystwo. Jedni ciągnęli do bawialni; inni, otoczywszy Misia, wypytywali go o szczegóły podróży. Czyniła to zwłaszcza młodzież, która nie sympatyzując z opryskliwym Jędrusiem Pylińskim, rada była temu, że Miś przy Nepci zdawał mu się stołka przystawiać.

— Czyż można pytać mnie, jak mi się podróż powiodła? — odpowiadał Miś. — W takiem towarzystwie, podróż, nawet po naszych wertepach odbywana, piękniejszą mi się wydała nad rzymskie Corso i nad pola Elizejskie w Paryżu.

— Kuzynek zbyt łaskaw — odrzekła na to panna Ne-

pomucena, — i nam ta podróż zbiegła, jak urocze senne marzenie.

— Zwłaszcza mamie dobrodziejce — dodał z boku złośliwy Gracuś Skalski. — Rznęła śpika całą drogę, jak mi Drzemski mówił.

Jędrusiowi krew do głowy uderzyła. To „senne marzenie,“ wypowiedziane tak czule przez Nepcię, a co gorsza, drzemka jej mamy i głuchota ojca, robiąca oboje rodziców najniewinniejszymi świadkami rozmów Misia z Nepcią, rozbudziły do reszty tłumione w nim uczucie zazdrości.

Szepnął więc pannie do ucha:

— Mogłaby się panna Nepomucena hamować nieco w wynurzeniach.

— W jakich?

— Pani wiesz, o czem i *o kim* mówię, — odparł znacząco.

— Proszę!... więc to jakiś zakaz?

— Tak jest... mam pewne prawo nawet zabronić tego mizdrzenia się do innych... choćby *kuzynków*...

— Panie Jędrzeju — odparła oburzona, — zdajesz się pan zapominać...

— To pani raczej zapominałaś się całą drogę! — wybuchnął głośniej.

Lecz w tej chwili nadbiegająca pani Cecylia, mimowiednie przerwała gotującą się scenę.

— Chodźcież gołąbki, do sali. Nagruchaliście się dosyć w swoich stronach; tu musicie się i nam udzielić.

I chwyciwszy Nepcię, poprowadziła ją do sali, a za niemi powlekli się Jędruś i Miś, obaj zerkający na siebie z ukosa, jak koguty szykujące się do walki.

W pokoju bawialnym roiło się już od gości. Nie było tam, jak zwykle, podziału na mniejsze kółeczka, zabawiające się między sobą; przeciwnie, tu wszyscy skuzynowani, stanowiący jedną koteryę, w jedno olbrzymie zebrali się koło, gwarząc, śmiejąc się, gestykulując i dowcipkując tak głośno, że prawie jeden drugiego nie słyszał.

Pan Franciszek z początku dotrzymywał placu, jak mógł. Każda z krewniaczek miała sobie za obowiązek choćby kilka słów zwrócić do niego; każdej też należało grzeczną o ile można i serdeczną dać odpowiedź. Ale gdy dyalogi takie z ciocią Granitowiczową, z kuzynkami Marmurskiemi, z trzema kuzynkami Zwirskiemi i męską progeniturą tej mineralogicznej kolekcyi, zajęły mu parę godzin czasu — gdy pozostawali między innymi jeszcze oboje wujowstwo Piaskowiczowie, pani Drzemska i jej małżonek, głuchy a niezmiernie przytem rozmowny i ciekawy, — uczuł pan Franciszek formalny brak sił i odwagi do podołania tak trudnemu zadaniu... i zręcznie dał nura.

Z tem większą skwapliwością czekał okazyi usunięcia się z sali, że miał dwie ważne sprawy na głowie: sprawę służebności i dopilnowanie obiadu, o który się goście, przybyli ze strusimi żołądkami, z początku pod przenośniami, potem nieco wyraźniej, choć bardzo delikatnie, a w końcu bez ogródek gwałtownie już się dopominali.

Co do pierwszej kwestyi, dowiedział się, że około domu kręciło się kilku chłopów, ale zobaczywszy tylu przeróżnych gości i kram, jaki panował we dworze, woleli oszczędzić biednego dziedzica i wrócili do wsi.

Na punkcie obiadu, Waluś uspakajał go, że niedługo

podaje, byle tylko gruba Kaśka krajać mięso i drób rozbierać pomogła, bo on sam wydawaniu na stół nie podoła.

Tymczasem gruba Kaśka owiązała sobie palec gałgankiem płóciennym, twierdząc, że nic robić nie jest w stanie. Nie pomogły nawoływania Szafrańskiej, prośby kucharza, groźby samej pani Cecylii: Kaśka zdawała się być głuchą. Dopiero interwencya pana Franciszka, lekkie w kącie izby, uszczypnięcie w policzek i figlarne pogłaskanie pod brodę, wyleczyły ją odrazu z tego gwałtownego bólu.

Załatwiwszy kwestyę kuchenną, zajął się pan Franciszek odkorkowywaniem butelek wina, którego sporą bateryę dla krewniaków przygotować należało; potem wybiegł w podwórze, dla przekonania się, czy przyjezdne konie wygodnie umieszczono; wreszcie wstąpił po drodze do kuchni czeladnej, zajrzeć w garnki, czy jadło dla służby gościnnej w dostatecznej ilości przygotowano.

Sam wszędzie i we wszystko wejrzeć musiał, pani Cecylia bowiem miała innego rodzaju szalone zajęcie: ulokowania dam po pokoikach i szykowania im potrzebnych szczegółów toaletowych do ubrania się na obiad.

Upłynęło dobrych kilka godzin na lataniu dziwek z miednicami, miskami, kubkami i innego rodzaju naczyniami. Tu trzeba było wody gorącej, tam zimnej; tu rozpalonego żelazka do grzywki, tam znów do przykarbowania falbanki; tu brakło mydła, tam ręcznika. Jednej szczoteczka gdzieś się zaprzepaściła; drugiej grzebyczek znikł, jak kamień w wodzie. Tym brakło haftek, tamtym szpilek podwójnych...

Dwie służące zajęte były ustawicznie przypinaniem,

podpinaniem, opinaniem; a cztery lusterka domowe latały z rąk do rąk, — każda bowiem białogłowa chciała się naocznie o swych wdziękach, doprowadzonych do porządku, przekonać.

Nareszcie... zwolna gwar ten, skręt i hałas piekielny zaczęły się uciszać, — i kiedy przeciągła świstawka ozwała się z oficyny, w której się kuchnia mieściła, jako znak gotowego obiadu, zawtórował jej w pokoju jadalnym dzwonek bardzo głośny, wzywający gości do obiadu, niby sygnał kolejowy mającego odejść pociągu.

Długo na gości czekać nie trzeba było.

Jeśli przy ostatnim dzwonku na przystanku kolejowym, cisną się pasażerowie jedni przez drugich do wagonów, to szlachta rzetelnie wygłodzona nużącą bądź co bądź podróżą, z większym jeszcze pośpiechem rzuciła się do stołów.

Naprożno gospodyni zachęcała młodzież do zajmowania miejsca koło panienek; naprożno gospodarz prosił, aby panowie raczyli damy przegradzać: nikt na tę komendę nie zważał. Każdy patrzył tylko na dymiącą wazę, wciągał w siebie aromaty pysznego barszczu z rurą, — i w końcu złożyło się tak, że ciocia Piaskowiczowa znalazła się obok cioci Granitowiczowej, z którą niekoniecznie sympatyzowała: Olcia i Polcia Pylińskie, między kuzynkami Zwirskiemi z jednej, a mamą Filipiną z drugiej strony; mężczyźni zaś, starsi i młodsi, wszyscy obok siebie usiedli.

Jeden Miś tylko i jego prawny rywal Jędruś czekali, gdzie się panna Nepomucena usadowi, — i gdy ta ostatnia usiadła obok próżnego jeszcze krzesełka, Miś zaraz

je zajął z prawej strony, a Jędruś z lewej wsunął przebojem prawie krzesełko między Nepcię a papę Drzemskiego. Drzemski nie miarkując nic, co się około jego córki dzieje, usunął się z całą pochopnością trochę dalej, dla zrobienia miejsca przyszłemu zięciowi.

Obiad rozpoczął się przedewszystkiem od dobrego kieliszka alembikówki, z którą gospodarz obchodził stół dokoła.

Gdy doszedł do Jędrusia Pylińskiego, rzekł mu:

— Wypij kuzyn do naszego turysty, jako najbliższego sąsiada.

Ale Jędruś nie zdawał się zważać na tę komendę, i wychylił kieliszek w ręce siedzącego ojca, który go z oka nie spuszczał.

Był to pierwszy afront, wyrządzony Misiowi, który go jednak zręcznie odparował, mówiąc do gospodarza domu:

— Dziekuję uprzejmie, ja wódki nie piję...

— Jakże Polak może siąść do obiadu bez wódki? — zapytał pan Franciszek.

— Odwykłem za granicą — odrzekł Miś. — W Paryżu pijałem tylko koniak, w Londynie dżin, a we Włoszech trunki się przed obiadem nigdzie prawie nie pojawiają.

— A to kwituję was ze wszystkich tych zamorskich krain! — rzekł wesoło pan Franciszek. — Jabym tam nie miał co robić.

— Co kraj, to obyczaj — dodała czemprędzej pani Celina, obawiając się, aby Misia ta uwaga nie obraziła.

Ale Miś zajęty wyłącznie prawie Nepcią, nie brał udziału w ogólnej rozmowie. Co chwila to podsuwał swojej sąsiadce sól, to wodę nalewał, to winem częstował;

a że jednocześnie i Jędruś nie chciał dać się wyprzedzić w uprzejmości, biedna panna Nepomucena w niemałym znajdowała się kłopocie, i jak od much natrętnych oganiać się ustawicznem „dziękuję“ musiała.

Miarkował to wszystko pan Andrzej, siedzący naprzeciwko syna; spostrzegł, jak chętnie widziane były przez Nepcię uprzejmości Misia, a z jakim chłodem przyjmowała każdą grzecznostkę jego syna; drżał więc w duszy o nowy wybuch zazdrości, o który u Jędrusia było nie trudno.

Mienił się, pocił i siniał prawie ze słości popędliwy młodzieniec, ku czemu się w znacznej mierze sąsiedztwo pana Drzemskiego przyczyniało.

Jak już wspomnieliśmy, ojciec panny Nepomuceny był głuchym, a mimo tej wady, lub może właśnie z jej powodu, był niezmiernie każdej rozmowy ciekawym. Ile więc razy ktoś się z obecnych odezwał, a kilka osób głośniejszym zawtórowało mu śmiechem, pan Drzemski trącał swego przyszłego zięcia, i z ręką u ucha w trąbkę złożoną, zapytywał go: o co idzie?

Z początku, cierpliwy Jędruś jak mógł zaspokajał ciekawość przyszłego teścia, o ile mu to jeszcze do przysłuchiwania się szeptom Misia i Nepci nie wiele przeszkadzało. Ale gdy zapytania pana Drzemskiego były coraz częstsze, a szepty Misia i Nepci coraz się poufalszymi stawały, zniecierpliwiony do żywego, ofuknął się na ustawiczne trącanie go w bok, i zapytującemu go po raz setny Drzemskiemu: „o co idzie?“ krzyknął na całe gardło do ucha:

— A dyabli tam wiedzą!!

Pan Drzemski skoczył urażony na krześle... żona jego pokraśniała, jak ćwikła.. Miś syknął i lekkie *fi donc* wyszeptał... a Nepcia, dotknięta do żywego odpowiedzią ubliżającą jej ojcu, spojrzała surowo na Jędrusia.

Wytrzymał on to spojrzenie odważnie — pragnął go nawet, żeby narzeczonej całe swe oburzenie okazać.

— Raczyłaś pani spojrzeć nareszcie i na mnie? — pół głosem zapytał wzburzony.

— Ja sądzę, że po takiej odpowiedzi, danej memu ojcu, mogłeś się pan tego spodziewać...

— A ja sądzę, że i pani, po takiem zachowywaniu się względem mnie, mogłaś się także zniecierpliwienia mego spodziewać.

— Proszę o mojem sąsiedztwie zapomnieć, — rzekła oburzona.

— Postaram się o to — ofuknął Jędruś; — ale że o jej sąsiedzie nie zapomnę, możesz pani tego być pewną.

Miś tej pogróżki nie słyszał.

Częstowany przez gospodarza, honorowany przez gospodynię domu, jak amfitryon, był już na dobre upojony i winem i sąsiedztwem z Nepcią, które mu głowę zawróciło, i wyjątkowem przyjęciem, jakiego ze wszech stron doznawał.

Opowiadał więc o przeróżnych lordach, z którymi się na statkach parowych zaprzyjaźnił, o złotowłosych miladych, z któremi po lasach Szkocyi konno polował; o uroczych markizach, które go w swych pałacach na przedmieściu St-Germain prawie rozrywały między sobą; o włoskich diukach, fiorajach i lazaronach; o hiszpańkich gran-

dach, którzy go w maurytańskich swych zamkach z całym niewidzianym podejmowali przepychem.

Im więcej który ze słuchaczy kiwał głową, tem śmielej i bezczelniej Miś blagował. Nareszcie, gdy ku końcowi obiadu opisywać zaczął burzę, jaka go na szczycie Wezuwiusza chwyciła; gdy z całą malowniczością turysty i skończonego blagiera zaczął opisywać pioruny spadające w otwartą czeluść krateru, i gromy, jak echa, huczące w jego głębiach, deszcz lejący z góry, a lawę wyrzucaną z dołu, grad lodowy mieszający się z gradem kamieni wyrzucanych z wnętrza ogniem ziejącej góry... — jeden ogólny okrzyk zachwytu, jak huragan, przeleciał w około stołu, i jedno: „Za zdrowie Misia!“ ozwało się ze wszystkich piersi.

Pan Franciszek kieliszki ponalewał; każdy z mężczyzn trącał się kolejno z Misiem i wychylał kieliszek do dna. Jeden tylko zakłopotany pan Andrzej i rozwścieczony Jędruś, siedzieli nieruchomi.

Gdy na tego ostatniego przyszła kolej, gospodarz nie wiedzący o niczem co się dzieje, zawołał wesoło:

— No, kuzynku Jędrusiu!...

Zagadniony w ten sposób, ani się nie ruszył.

— Pijemy za zdrowie Misia, kuzynie Jędrusiu!! — powtórzył; — kieliszek stoi pełny.

Cisza się zrobiła. Wszyscy obecni zwrócili oczy na zaczepionego w ten sposób. Pan Andrzej siedział, jak na węglach, przeczuwając burzę.

Nagle... Jędruś, jakby się ocknął z zadumy, porwał kieliszek, i jednym szybkim ruchem — wylał go cały za siebie...

Grom, z pogodnego nieba spadły, nie byłby silniejszego wywołał wrażenia.

Miś pokraśniał, jak wiśnia; krew uderzyła mu do głowy. Natomiast panna Nepomucena zbladła, jak chusta, i przechylając głowę w tył, w jednej prawie chwili zemdlała.

Zrobił się zamęt ogólny. Starsi biegli Nepci z pomocą; młodsi głośno szemrać między sobą poczęli; matki oburzone wyprowadzały swoje córeczki z pokoju...

Zrozpaczony pan Andrzej przypadł do syna.

— A ostrzegałem cię, żebyś burdy nie zrobił!! — zawołał, trzęsąc się ze wzruszenia.

— Uszy mopsowi obetnę! — krzyknął, odchodząc prawie od zmysłów, rozwścieczony kochanek.

Nim Nepcia do przytomności powróciła, Miś był już przez dwóch świadków Jędrusia wyzwany.

Niespodzianka ta niekoniecznie do smaku Misiowi przypadła.

Nie wiedząc bynajmniej o stosunku, jaki łączył Jędrusia z rodziną Drzemskich, i o spełnionych już jego półurzędowych zaręczynach z Nepcią, — umizgał się on do niej z całą swobodą lowelasa, nie przeczuwającego następstw, jakie to za sobą pociągnąć może.

Po scenie wybuchu przy obiedzie, znalazł się w dziwnem położeniu.

Doznany afront nakazywał mu żądanie satysfakcyi honorowej, ku czemu jednak nie wiele okazywał pochopu. Ale gdy obecnie sam był w dodatku wyzwany przez Jędrusia, w jeszcze głupszych znalazł się naraz okolicznościach.

Łatwiej było mu puścić mimo uszu obelgę wylania

wina, ale trudniej już było nie przyjąć wyzwania w należytej formie, przez dwóch sekundantów uczynionego. Rad więc nie rad, poszukać także sobie musiał dwóch świadków, w osobach Skalskiego i Piaskowicza, którzyby czas, miejsce i warunki pojedynku, z sekundantami strony przeciwnej umówili.

Sam stracił był zupełnie na humorze.

Znalazłszy się po obiedzie w gronie dam, stał się małomównym i głęboko zamyślonym. Czarną kawę podaną po obiedzie, poniósł do ust ręką tak drżącą, że filiżanka zachwiała się na spodku, i płyn cały po jasnym garniturze Misia brunatną popłynął strugą.

Do panny Nepomuceny, która ze współczuciem i rosnącem ciągle zajęciem, kilkakrotnie siadała obok niego, nie tylko się już nie wdzięczył, jak poprzednio, lecz ile razy znalazł sposobność, umykał w stronę przeciwną, jak gdyby się nad sprawczynią swoich trosk i kłopotów chciał był zemścić w ten sposób.

— Kokieta! nędzna kokieta!! — mówił w duchu. — Mogła mnie była uprzedzić, że jest z tym brysiem zaręczoną, byłbym się tak do niej nie przysiadał!

Jednocześnie między panią Filipiną Pylińską a panią Drzemską, niemniej ożywiona toczyła się dyskusya.

— Łaskawa pani wszystkiemu winna — wymawiała pani Filipina. — Jak można było pozwolić na to, żeby taki... gołowąs siadał z wami obok Nepci do karety, kiedy się to z prawa memu synowi należało!

— Nie przypuszczałam, łaskawa pani — broniła się Drzemska, — żeby Jędruś mógł był to wziąć tak do serca... Zresztą, wszak czuwałam całą drogę...

— Drzemiąc ciągle — przerwała pani Filipina.

— Przepraszam łaskawą panią, zamykałam oczy przed blaskiem i kurzem, ale czuwałam ustawicznie... choć sądzę, że córka moja i bez takiej kontroli, nie byłaby o obowiązkach swoich względem Jędrusia zapomniała. Zresztą był tam i mąż mój...

— Niestety! jego głuchota czyni go w takich razach nieszkodliwym świadkiem rozmowy, — wtrąciła pani Pylińska.

— Ma on wzrok dobry, przenikliwy, po poruszających się wargach rozmowę w lot pochwyci.

— Tak czy owak, moja pani Drzemska — zakonkludowała pani Filipina, — źle się stało...

— Któż mógł przypuszczać taką gwałtowność Jędrusia!

— Kto kocha, musi być zazdrosnym.

— Dobrze, kochana pani, ale w miarę, — broniła się dalej pani Drzemska. — Zresztą nic się znów tak dalece nie stało. Wino na podłodze plamy nie robi; a że pan Jędrzej kieliszek jeden mniej wypił, to mu tylko pójdzie na zdrowie.

— A więc pani widocznie nie wiesz, co się stało? — pytała pani Filipina.

— Nie wiem, jak panią szanuję, — odrzekła Drzemska w najlepszej wierze.

— Otóż wiedz pani, że będzie pojedynek! — zawołała pani Filipina, robiąc gest rozpaczliwy.

— Pojedynek?! — powtórzyła wystraszona pani Drzemska.

— Co się stało?! — zapytał ciekawie nadchodzący właśnie jej małżonek, z ręką w kułak zwiniętą przy uchu.

— Ee... nic, — odpowiedziała pani Pylińska.

— Filipcia zrobiła gest tak rozpaczliwy — mówił dalej Drzemski, — że przypuszczam, iż się coś bardzo ważnego stało.

— Dowiesz się potem — odrzekła zniecierpliwiona żona, szukając oczyma pana Andrzeja Pylińskiego, z którym pragnęła naradzić się w kwestyi zapobieżenia rozlewowi krwi.

Ale prócz Drzemskiego, który błąkał się między kobietami, bo o niczem nie wiedział, żadnego innego z mężczyzn upolować nie było można. Awantura pojedynkowa lotem błyskawicy rozeszła się między nimi, warząc humor i niwecząc całą zabawę.

Radzono po dwóch, po trzech, kupkami, w większym i mniejszym komplecie, — aż nareszcie na wniosek obleganego przez kobiety pana Franciszka, dla którego zajście to w jego własnym domu najbardziej było bolesnem, uradzono złożenie sądu honorowego, któryby orzekł: czy pojedynek staje się nieuniknionym, czy też wskutek nieświadomości Misia o stosunku Nepci do Jędrusia, nie dałoby się sprawy w przyjacielski sposób załagodzić.

Zacietrzewiony Jędruś o żadnym sądzie honorowym słyszeć nie chciał. Gdy jednak zrobiono mu uwagę, że on sam był stroną obrażającą, wylewając kieliszek poza siebie, — że równocześnie wyzywać jeszcze w dodatku nie miał prawa i racyi, — że Miś jedynie, jako strona obrażona, ma tytuł do upierania się przy żądaniu satysfakcyi, a tymczasem on sam chętnie się orzeczeniu sądu honorowego poddaje; — złożono sąd niezwłocznie ze wszystkich obecnych koligatów, pod prezydencyą gospodarza domu, i uradzono wzajemne przeprosiny.

Radzono długo, sekundanci bowiem Jędrusia nie bardzo przystać chcieli na formułkę owych przeprosin, zredagowaną przez sąd honorowy. Gdy jednak z zewnątrz nacisk, wywierany przez kobiety, stawał się coraz silniejszym i natarczywszym — ulegli wreszcie sekundanci Misia, a w ślad za nimi i świadkowie Jędrusia, zastrzegając sobie tylko przyzwolenie obudwóch stron w tej mierze.

Z Misiem kłopotu o to nie było. Blagier skończony, był on jak zwykle tego rodzaju ludzie, zarazem i tchórzem skończonym. Bez wahania więc i namysłu przyjął podaną mu przez sąd formułkę przeprosin, które wobec zgromadzonych głosem drżącym z przestrachu raczej, niż z obrażonej miłości własnej, wypowiedział, tłómacząc się nieświadomością stosunku Jędrusia do Nepci.

Gorzej było z zazdrosnym kochankiem; pod naciskiem jednak i całego sądu, i ojca swego, Jędruś głucho i z zasuniętemi brwiami, wyszeptał parę słów przeproszenia, za nieumyślne wylanie wina...

Podano sobie ręce, a raczej jedną rękę Misia i jeden tylko w zamian palec Jędrusia. Obecni zauważyli wprawdzie nowy ten afront niepoprawnego Jędrusia, ale nikt z tego kwestyi robić nie chciał, bo całe towarzystwo czuło się już znudzonem i zwarzonem.

Przed wieczorem zaproponowano młodzieży gry na otwartem powietrzu: to w *cerceau*, to w krokieta, to wreszcie w kotka i myszkę: ale szło to wszystko bez ożywienia, bez ładu i składu. Koty niedość skwapliwie goniły za myszkami, a myszki niedość zwinnie przed drapieżnymi kryły się wrogami.

Zapadł wreszcie niecierpliwie oczekiwany wieczór. Wypito herbatkę na werendzie, spałaszowano do szczętu resztę pozostałości z obiadu i spiżarni, zapewne... gwoli sprowadzeniu pogody na dzień następny do wyjazdu, który też po pierwszem śniadaniu, wśród nieopisanego zamętu, zgiełku i wrzawy nastąpił.

Miś nie pojechał już z towarzystwem koligatów, ale jak przedtem szumnie wśród wiwatów wjeżdżał do Kłopocina, tak teraz cichutko kazał się odwieźć do najbliższej stacyi kolejowej, naraz mu bowiem jakieś interesa do miasta stołecznego wypadły.

Reszta gości pojechała w tym samym porządku i komplecie, jak przyjechała, z tą tylko różnicą, że kiedy zajechała kareta państwa Drzemskich, i głuchy, o niczem nie wiedzący małżonek, zapraszał Jędrusia do niej, ten ostatni, spojrzawszy bystro w oczy zagniewanej Nepci, ukłonem lekkim podziękował, i jak był przyjechał, tak i powracał z ojcem, panem Andrzejem, na żółtym wózku, w niezłe zaprzężonym gniadosze.

— A taki burdę zrobiłeś! — zauważył pierwszy pan Andrzej.

— Niech mi ojciec da spokój, bo wyskoczę z bryki!! — ofuknął Jędruś.

I odwróciwszy się plecami do pana Andrzeja, w milczeniu resztę drogi przesiedział.

Gdy już ostatni tuman kurzu zakrył przed oczyma gospodarza domu ostatni wehikuł odjeżdżających gości, pan Franciszek wbrew tradycyjnej gościnności westchnął z głębi duszy: „Chwała Bogu!“ — i zrobiwszy w powietrzu znak krzyża za kochanymi koligatami, powędrował do kan-

celaryi odpocząć trochę po trudach tego najazdu, by następnie dokończyć z włościanami najważniejszej dla niego sprawy: układu o służebności.

* * *

Na wzgórku za wsią, otoczona kilku staremi topolami, bieliła się Kłopocińska karczma.

Złożona z dwóch izb obszernych: jednej z szynkwasem okratowanym, zdobnej w kilka podłużnych stołów i ławek — drugiej stanowiącej prywatne mieszkanie imć pana propinatora, a więc już suciej nieco umeblowanej, — zawierała jeszcze w przedłużeniu, przypartą do szczytu szopę, która niby reprezentować miała prawem przepisaną stajnię wjezdną dla podróżnych, choć tam tylko świnie szynkarskie i jedna krowa dojna gościły, jak bowiem karczma karczmą była, nikt jeszcze z podróżnych konia do niej wprowadzać nie próbował.

Osada ta karczmarska była rezydencyą imć pana Szymona Rosy, który ją od lat przeszło trzydziestu dzierżawił.

Z początku nosił się pan Szymon Rosa z chłopska, w parę lat później z waszecia, a z biegiem czasu i w miarę powiększającego się mienia, coraz się kusiej ubierać zaczynał, i zwolna z trywialnego Rosy, w pięknie brzmiącego Rosickiego się przedzierzgnął.

Tak już ze szlachecka odzianym i ze szlachecka przezwanym, zastał go na karczmie rok 1864-ty.

Nie wolno już wtedy było nikomu wspomnieć choćby słówkiem Rosickiemu o jego dawnem nazwisku. Twier-

dził bowiem stanowczo, że nigdy ani on, ani żaden z jego przodków Rosą się nie zwał i z chłopów się nie wywodził — że przeciwnie byli szlachtą krwie najczystszej, tylko z biegiem wypadków zrujnowaną i między gmin rzuconą.

Teorya ta, oparta na najwierutniejszem kłamstwie, zwolna się jednak przyjęła między ludźmi, jak wszystkie kłamstwa i blagi, byle z należytym cynizmem i bezczelnością głoszone.

Do ustalenia się szlacheckiej godności pana Rosy przyczyniła się niemało cholera, grasująca niegdyś w Kłopocinie z taką siłą, że w przeciągu niespełna miesiąca, wywiodła starszą a współczesną Rosie generacyę na cmentarz parafialny, z którego nikt już wrzekomego szlachectwa panu Rosickiemu, choćby chciał, zapierać nie mógł.

Uwierzył też tej bladze i sam pan Rosicki, a nabywszy gdzieś na licytacyi w miasteczku pierścień krwawnikowy z jakiemś wyrytem na niem zwierzątkiem i koroną kilkopałkową, założył go sobie na wskazujący palec, i odtąd nosząc go dniem i nocą, wmówił sam w siebie i w drugich, że jest to klejnot szlachecki, którym się ród jego pieczętował.

W takich okolicznościach zastała pana Rosickiego komisya włościańska do uregulowania własności chłopskiej przybyła.

Zwyczajem podówczas w niektórych okolicach praktykowanym, nie chciała przyjąć ofiarowanej sobie gościnności we dworze (co zresztą z uwagi na podejrzliwość włościan, bardzo się naturalnie tłomaczyło), ale natomiast w budynku posiadającym największe pomieszczenie, a więc w karczmie miejscowej, rozbiła swoje namioty.

Do osady kaczmarskiej, należały ze dwa morgi wybornego gruntu ornego, i morg pięknej łąki nadrzecznej, z których pan Rosicki czynsz roczny, dość nawet suty, opłacał.

Przyglądanie się nadawanym na własność gruntom, z których włościanie czynsz tak samo jak i on wnosili, zbudziło i w panu Rosie naturalny apetyt na posiadanie własności, do której się psim swędem przychodziło. Trzymorgowa atencya i wcale niezły domek, stałyby się w razie uwłaszczenia, jego niezaprzeczonem dziedzictwem. Tem śmielej mógł sięgnąć po to myślą, że w niektórych okolicznych włościach karczmarze do stanu kmiecego należący, grunta takie razem z mieszkaniem mieli sobie przyznane.

Gdy się w ślad za kmiotkami i on zgłosił ze swoją pretensyą, przewodniczący w komisyi, uderzony jego wyglądem i odzieżą iście szlachecką, a więcej jeszcze pierścieniem herbowym, który tak już wrósł był w palec pana Rosickiego, że go zdjąć było niepodobna, zapytał kandydata na osadę: czy tylko do stanu włościańskiego należy, i czy nie jest (czego Boże broń) szlachcicem?

Uzurpowany karmazyn znalazł się naraz w dziwnej, nawskroś fałszywej roli.

Czuł w duszy najlepiej, że mu do otrzymania działu równe z innymi kmiotkami służy prawo, ale znów wobec całej gromady, do jawnego tyloletniego kłamstwa przyznać się nie mógł. Milczał więc uporczywie, tocząc niemą walkę w duszy między chciwością a pychą, które go obie zarówno w tej drażliwej chwili pożerały.

Obecni tej scenie kmiotkowie, z niemałem nań spoglą-

dali zdziwieniem. Nikt już z tej generacyi, Rosy chłopem nie pamiętał; natomiast każdy prawie z osobna słyszał od pana Rosickiego historyę jego szlacheckiego rodu, i miał sobie herb (na licytacyi kupiony) okazywanym.

Gdy wreszcie znudzony milczeniem pan przewodniczący zapytał chłopów o pochodzenie i stan Rosickiego, jedną tylko ogólną odpowiedź: „A jużci że szlachcic“, otrzymał.

Widząc swoje prawa i nadzieje tak naraz rozwianemi, poprosił karczmarz komisyi o odłożenie sprawy jego legitymacyi na później, i tymczasowe wpisanie go do tabeli. Żądanie to było wprost niemożliwe.

Polecono mu okazać książeczkę legitymacyjną, ale i w tym niewinnym na pozór dokumencie, usłużny wójt gminy, przed trzydziestu laty, na żądanie interesanta, poparte jakimś anneksem, wpisał stan szlachecki.

Kazano mu postawić dwóch świadków, którymby ród jego był znany, i którzyby pod przysięgą byli gotowi poświadczyć kmiece jego pochodzenie. Ale, jak się już nadmieniło, współczesnych a świadomych rzeczy cholera na cmentarz wywiodła, obecni zaś chcieli, na podstawie przechwałek Rosickiego, wprost przeciwne zaprzysiądz zeznanie. Że zaś żadnych innych dostarczyć nie mógł dowodów, skończyło się na odpowiedzi odmownej, która p. Rosickiemu wszelkich praw do onej łakomej osady zaprzeczała.

Został więc niby wrzekomym szlachcicem, ale czując na dnie serca krzywdę, jaka go spotkała, udał się w prośby do dziedzica o darowanie mu tego szmata ziemi i stojącej na nim chałupiny.

W okolicznościach ówczesnych, żądanie takie wprost

już na szyderstwo zakrawało. Każdy posiadacz ziemi wychodził z tej sprawy niemało skurtyzowanym, trzebaby więc było chyba anioła abnegacyi, żeby się jeszcze unosić szlachetnością i w jakieś dobrowolne prezenta zabawiać.

Zrażony i tem drugiem niepowodzeniem, pozostał teraz już pan Rosicki (w swojem przynajmniej przekonaniu) najczystszej wody karmazynem.

— Chłopem, chłopem... trza mi się było rodzić — mawiał do kmiotków; — byłbym tak, jak i wy, obdarowany... Ale trudno: Bóg kazał rodzić się inaczej, to i szlachecką koronę dźwigać trzeba z poddaniem się Jego świętym wyrokom!

W gruncie serca nurtowała go niezaspokojona żądza posiadania coraz silniej. Stał się też tajemnym, lecz nieubłaganym wrogiem dziedzica, który jeden jedyny wiedział o jego chłopskiem pochodzeniu i związanych z niem prawach, ale dla miłości owych trzech morgów i osady karczemnej, wolał był przyjąć raczej uzurpowane szlachectwo Rosickiego za dobrą monetę, niż wyzuć się dobrowolnie z własności.

Jak wszystkie trunkodajne zakłady, była i karczma kłopocińska resursą miejscowych włościan — punktem zbornym, w którym się wszystkie narady odbywały, i ważniejsze załatwiały sprawy.

Pan Rosicki żywy w nich zwykle brał udział, umiejąc zwaśnione strony godzić zręcznie, skazywaniem winowajcy na pewną ilość kwart gorzałki, stosownie do ważności przedmiotu — lub też załatwiając ogólniejsze sprawy sporne również trunkiem, ale na rachunek wszystkich obecnych, *pro rata parte*, stawianym.

Działo mu się z tem dobrze, a i u chłopów rósł w estymę... Wyrok bowiem kończący się gorzałką, zarówno przez stronę wygrywającą jak i przegrywającą mile był zawsze przyjmowany. Ponieważ zaś nadto stanowił pan Rosicki rodzaj bankiera wiejskiego, u którego mogli chłopi zaciągać pożyczki pod zastaw zboża zielonego, kartofli choćby niewykopanych, gęsi, kur i kaczek niewylężonych, a wreszcie i na chłopskie słowo, byle procent w naturze, a nie w pieniądzach był płacony, — mir więc, jakiego u ludu zażywał, równoważył prawie wpływ, jaki mógł dziedzic na gromadę wywierać.

W dniu, w którym najazd koligatów zaabsorbował całą uwagę i czas biednemu panu Franciszkowi, chłopi nie mogąc się doczekać umówionej z dziedzicem narady, zamiast do gminy, powędrowali do karczmy, uraczyć się z tytułu nadać im się mającej ziemi za służebność pastwiskową.

Pan Rosicki domyślał się potrosze jakichś między dworem a chłopami układów; że jednak odbywały się one poza obrębem karczmy, chłopi bowiem zawsze hojny we dworze znajdowali poczęstunek, przeto nie mógł wtrącić swoich trzech groszy i przeszkodzić sprawie, która mu była niemiłą, jeśli nie dlaczego innego, to choćby z tej racyi, że dogadzała widokom i pragnieniom dziedzica.

Stosunek jego z dworem pozornie był jak najlepszy, wskutek czego sześcioletnie kontrakta na dzierżawę karczmy peryodycznie odnawiane bywały. „Grabież“ jednak, której się w przekonaniu Rosickiego dwór na owych trzech morgach karczmarskich dopuścił, była zbro-

dnią, której w gruncie nigdy panu Franciszkowi darować nie mógł.

Gdy się więc chłopi dobrze podochocili i głośno o mających się otrzymać działkach rozprawiać poczęli, karczmarz siadł między nimi, i jakoby o niczem nie wiedząc, jął się rozpytywać, coby one działki oznaczać miały?

— A no... to my się ta ze dworem wedle serwitutu układamy, — odrzekł sołtys

— Wedle jakiego *serwietutu?* — spytał, udając głupiego karczmarz.

— A no... wedle pastwiska, — odparł zagadniony.

— I jużeśta skończyli? — pytał dalej ciekawy opiekun.

— A no... tak jakby już... bośma wczoraj zbili zgodę.

— I podpisaliśta co w gminie?

— Mieliśma dziś jachać z dziedzicem do urzędu, ale, że go ta goście najachały, tośma się z nim widzieć nie mogli...

— A! bo u panów to zawsze tak — wtrącił znów karczmarz. — Żeby stu chłopów czekało, to jak jeden somsiad przyjedzie, już on pierwszy, a chłopi, choćby całą gromadą, niech jak bydło czekają...

— A jużci, — mruknęło parę głosów.

— Ja, gdybym był dziedzicem — ciągnął dalej karczmarz, — to chociem szlachcic, może lepszy od niejednego, chłopabym zawsze uszanował, bo chłop to fundament, a cóżby bez niego szlachcic na wsi począł?!

— A jużci tak... — wtórowało już więcej głosów.

— Et! nie godajta po próżnicy na naszego pana — mówił znowu sołtys. — Ućciwe to człecysko i tyla; nie dziś się to zrobi, to jutro; jakeśma się umówili z dziedzicem, to święcie dotrzyma...

— Wierzę, że dziedzic dotrzyma, bo to dla niego sprawa gardłowa — mówił znów karczmarz. — Oniby wszyscy radzi załatwić serwituty, bo tak jak dziś jest, żaden swojego nie pewien...

— A widzita! nie mówiłem?! — zawołał Siuda, wyskakując na środek izby.

— Ale czy wy tylko dotrzymacie po namyśle — ciągnął dalej pan Rosicki, — to wielka kwestya.

— A no... jak się raz rzekło — zauważył sołtys, — to przecie nie będziemy z gęby robili czego inszego...

— Ee! moi drodzy, słowo wróblem wyleci, a wołem powraca... Po namyśle to się ludziska od ołtarza jeszcze rozchodzą, choć już trzy zapowiedzi wychodziły.

— Oj, oj! abo nie? — dodał Bocian. — A jak to łońskiego roku zrobił Kuba Marysi Wrzosównie? Złapał ją, jak się z pisarzem prowentowym całowała na godzinę przed ślubem... i od kościoła świętego się zawrócił.

— Nie gadalibyśta trzy po trzy! — wtrącił Sztykut. — Kuba nie taki głupi, żeby na to zważoł... Jeśli cisnął Marysię, to ino bez to, że mu zamiast krowy, co obiecywali stare Wrzosy, przysłali jałowicę bez kapki mleka.

— A jużci, że bez to — powtórzyli inni.

— Tak czy siak, małżeństwo się rozeszło, — zauważył dalej karczmarz. — Róbta, moi ludzie, jak chceta... jabym ta na waszem miejscu na żadne układy się nie godził.

— Jakże to teraby patrzyło? — mówił sołtys. — Cygaństwo. i tyle...

— Et! co tam cygaństwem wydziwiać? — szeptali chłopi. — Pan Rosicki świadomy rzeczy lepiej, niż wy...

— Abo wy co wiecie, ciemny narodzie? — mówił do sołtysa wrzekomy opiekun spraw chłopskich. — Kiedy się dwór gwałtem napiera układów, to wie co robi. Słyszał on pewnikiem, że tam już w Petersburku gadają o nowych gruntach, to i pili... a wy co wiecie?

— A jużci, że nic nie wiema — przytakiwało kilka głosów.

— Wy może i tego nie wiecie, co teraz będą takie banki włościańskie, żeby na te nowe *nadziały*, gruntu dodawać i pieniędzy na inwentarz i zasiew.

— Wiema, wiema!... wtrącił sołtys, — bo ta o tem w urzędzie godali.

— A no, to widzita, że się coś nowego szykuje, i dlatego tak dwory prą do układów jak najprędzej.

Milczenie zaległo karczmę dokoła.

Chłopi spojrzeli po sobie z pewnego rodzaju obawą i niedowierzaniem. Zręcznie rzucone ziarno podejrzenia, kiełkować zaraz zaczęło.

Karczmarz dla skuteczniejszego poparcia słów swoich, postawił gąsiorek na stole.

— Pijta! — rzekł, — ino nie na te grunta, cośta mieli brać pogłupiemu, ale za moje zdrowie, co wam dobrze radzę... Pijta!...

— A pon Rosicki sam stawia gąsiorka?

— A no, przecie... kiedy za moje zdrowie macie pić, toć wam nie każę płacić.

— A niechże będzie pańskie zdrowie! — zawołał Siuda, pijąc miarkę do Sztykuta.

— Do was, Marcinie! — pił Sztykut, — zdrowie pana Rosickiego, co nom dobrze radzi...

— Ze dobrze, to dobrze, — mówił Marcin, wychyliwszy miarkę. — Ja ta zara nie byłem za tem, ale sołtys parł...

— Dajta mi pokój z parciem! — ofuknął się sołtys;— ja tyle godał, co i wy... chcieliśta dwa morgi z krowy, dziedzic dawał jeden... ja ta bez pół przeciąłem na półtora morga, no i tyle...

— Jo się ta nie godził na *putora* morga, — rzekł Siuda.

— Ani ja, — wtrącił Bocian.

— Ani ja, — dorzucił Sztykut.

— Ani my, — dodała reszta głosów.

— Otóż wiecie co? — ciągnął dalej karczmarz, żeby to na jaki bunt nie wyglądało, nie chodźcie już sami do dworu, ale mnie tę sprawę zostawcie. Wiecie, że ja waszym przyjacielem jestem, chociem szlachcic, i że wam dobrze radzę, bo wiem lepiej, co czem idzie. Jeśli już będzie trzeba koniecznie, jak się dowiem z Peterburka, że zaraz tak nowych gruntów nie będzie, to ja się sam ułożę za was, ale co wytarguję więcej, to więcej.

— A no, niechże będzie! — odrzekli rozrzewnieni chłopi, ściskając go, jak szlachcica, za kolana, i podając łapy, jak szynkarzowi, na dotrzymanie słowa.

W godzinę potem cisza zaległa karczmę. Każdy z chłopów wracał do domu pijany na potęgę, ale rad w duszy, że się dziedzicowi oszwabić i ocyganić nie dał.

* * *

Pan Franciszek wypoczął był już sobie należycie. Znużony przyjęciem gości, awanturą Misia z Jędrusiem,

całonocnem prawie czuwaniem, bo i łóżka i pokoju nie miał dla siebie, przespał był po odjeździe gości pełnych siedem godzin.

Złote marzenia ukończonego już układu o służebności, projekta urządzenia wioski na przyszłość, sen spokojny tem milszym mu i pożywniejszym uczyniły.

Wstał około 4-ej po południu, zimną się wodą orzeźwił, a że w całym dworku kram był jeszcze po odjeździe gości niezmierny, że kilka dziewek pod wodzą Szafrańskiej sprzątało, myło zastawę, ocierało talerze i ustawiało sprzęty na dawnem ich miejscu, że w dodatku pani Celina i Zosia, znużone niemało, także się jeszcze nie budziły, — wyszedł pan Franciszek przed dom, w nadziei, że może którego z chłopów zastanie.

Przed dworem było pusto. Wyszedł więc na podwórze spytać stróża, czy się po odjeździe gości włościanie nie zgłaszali?

— Nie, wielmożny panie — odrzekł chłop, —nikogo dziś ze wsi nie było.

W pierwszej chwili miał ochotę posłać stróża po kmiotków i umówić się z nimi o godzinę wyjazdu do urzędu gminnego; ale przypomniawszy sobie rady starego Walentego, postanowił nie wywierać nacisku, i czekać choćby do wieczora na ich przybycie.

Minął wieczór, zapadła noc, chłopi się nie zjawiali...

— Nie śmią widać trudzić mnie dziś, — pomyślał sobie pan Franciszek, i zabrał się do spoczynku, w tej błogiej nadziei, że ich jutro rano powita.

Sen tej nocy był dla niego jeszcze względnie spokojny,

ale marzenia we śnie mniej jakoś były rozkoszne. Krążyły mu po głowie jakieś dziwne obrazy.

Raz... spędzali mu chłopi pługi z pola, mimo ukończonych układów, a spędzali z taką zawziętością, że przyszło nawet do krwawej bójki, w której (nie wiadomo skąd) dowództwo nad napastnikami dzierżył pan Rosa... To znów w lesie, na świeżo zasadzony zagajnik, cała gromada wiejska wypędziła krowy, które czubki młodych drzewek poprzygryzały, niszcząc tym sposobem tysiące świerków i sosenek. Pan Franciszek usiłował zająć bydło, ale mu znów stanął w poprzek ten sam karczmarz, broniący stada, niby dzieci swoich. Wreszcie śniło mu się, że w urzędzie gminnym, gdzie się układ już miał podpisywać, w ostatniej chwili coś trzasło... belka pękła, sufit się zawalił, i chłopi razem z nim, zamiast układ podpisać, pierzchli do domów, a ucieczce tej wtórował głośny, sarkastyczny śmiech, znów tegoż samego Rosickiego.

Przy tym strasznym łomocie obudził się pan Franciszek, zaspane oczy przetarł, a przekonawszy się, że to mara, próbował usnąć napowrót. Ale sen raz przerwany nie powracał, — i zaledwie słońce wzbiło się trochę ponad ziemię, p. Franciszek wstał z łóżka.

Wyjrzał przez okno: nikogo na dworze nie było... Ubrał się i znów wyjrzał: pusto było, jak przedtem... Nareszcie, wypiwszy kawę, zapalił fajkę i wyszedł przed dom, ale cisza jak przedtem zalegała cały dziedziniec.

Zniecierpliwiony, posłał po ekonoma.

— Nie było tu dziś chłopów ze wsi? — spytał nadchodzącego.

— Nie, panie dziedzicu, alboż co?

— A no, bo mieli przyjść i razem ze mną jechać do gminy, dla podpisania układu o służebności pastwiskowe.

— Ee! to już dziś chyba nic z tego nie będzie — odrzekł ekonom; — bo powyjeżdżali furmankami, jedni do wożenia węgla w fabryce, inni do zwózki kamieni na szosę.

— Hm! pilniejsze im to widać było — mruknął niezadowolony pan Franciszek. — No... zresztą niema się czemu dziwić, ze czasu nie tracą i radzi co zrobić, — pocieszał się w duchu.

Ale pewien jakiś nie dający się określić niepokój, trapić go zwolna zaczynał.

Wracającego z pola, karczmarz na progu domu powitał. Uśmiech udający uprzejmość, wydał się panu Franciszkowi uśmiechem Judasza... takim właśnie, jaki mu się we śnie ukazał.

Od czasu pamiętnej sceny o trzy morgi i osadę karczmarską, p. Franciszek przeczuwał, że między nim a Rosickim wieczna kość niezgody pozostanie. Czas jednak, który nic o takich zapominać każe przejściach, zwolna obawy te rozproszył. Dziś dopiero, czy to wskutek owej sennej mary, czy samem jakiemś przeczuciem, zakiełkowały one w nim na nowo.

Chciał coś przemówić do karczmarza, ale mimowoli głos mu w gardle zamierał. A że nawzajem i karczmarz rozmowy wszczynać sam nie śmiał, minęli się więc w milczeniu, z tą tylko różnicą, że kiedy dziedzicowi nos się jakoś dziwnie wydłużył i troska osiadła na czole, u karczmarza uśmiech ironii, czy też skrytego zadowolenia, długo jeszcze gościł na twarzy.

Nadszedł nareszcie wieczór.

Tuman kurzu wzbijający się na drodze i turkot chłopskich wózków we wsi, zwiastował powrót oczekiwanych kmiotków do domów.

Pan Franciszek czekał ich gorączkowo, choć na pozór spokojnie; kalkulował sobie, że teraz konie wyprzęgają, to znów, że je poją i obrok zasypują, dalej, że się sami wieczerzą posilają.

— Po kolacyi przyjdą! — pocieszał się w duchu.

Ale tymczasem i sam zjadł wieczerzę, i parę fajek wyćmił, już i światła na wsi pogasły, i psy się zwolna uciszać poczynały, — a nikt się przed domem nie zjawiał.

Niepokój coraz go większy ogarniał. Chodził znów dokoła stołu, wypalając fajkę za fajką, czupryny pocierał, przez okno co chwila wyglądał, ale ciszy nocnej nic zgoła nie przerywało.

Na zapytanie swej *Cechny* (tak bowiem żonę niekiedy nazywał) odpowiadał krótkiem westchnieniem. Zosię nawet, przymilającą się czule do niego, zbył tylko bezwiednem pogłaskaniem, lecz nic do nikogo nie przemówił; jedna bowiem jedyna troska osiadła mu na głowie, szarpała serce, i wszelką do jakiejkolwiek rozmowy odbierała ochotę.

Zaledwie kobiety poszły na spoczynek, sprowadził sobie pan Franciszek starego przyjaciela, kucharza Walentego, który najtajniejszych jego myśli był zawsze wypróbowanym powiernikiem.

Walenty nie spał jeszcze, ale z Szafrańską w skromnego grali sobie maryasza, starzy bowiem ludzie daleko mniej snu od młodych potrzebują.

Wezwany o tak późnej porze kucharz zmiarkował, że się coś ważnego stać musiało, i w uroczystym nastroju ducha podążył do kancelaryi.

— Czy wielmożny pan nie chory? — spytał, widząc krążącego koło stołu dziedzica.

— Nie, mój Walusiu, ale jestem trochę niespokojny.

— O co, wielmożny panie?... Wszak już chyba tyle nas gości nie najedzie.

— Nie, nie... ale ci, którzy odjechali, dosyć mi kłopotu narobili.

— Cóż robić, wielmożny panie! Sklepałem obiad, jakem mógł... jeśli co było niedobrego, to gruba Kaśka temu winna.

Na tę dziewuchę wszystkie składano winy... gniew bowiem dziedzica łagodniał zwykle w takim razie.

— Ale nie! — ofuknął się pan Franciszek na wspomnienie niewinnie posądzonej grubej Kaśki, — wszystko było jak najlepiej.

— A więc co za kłopot ma wielmożny pan?

— Oto... widzisz, mój Walusiu... — bąkał jakby ze wstydem biedny dziedzic, — skończyłem niby wówczas z chłopami... mieli przyjść nazajutrz ..

— Byli, wielmożny panie, nawet w kuchni byli.

— Byli, byli... ale odeszli!

— A no, bo się roiło od gości... nie chcieli widać przeszkadzać...

— Ale goście już dwa dni jak odjechali, a chłopi się nie pokazują...

— Hm! — mruknął Walenty, — a czy wielmożny pan nie posyłał po nich?

— Nie, boś mi tego odradzał...

— A no, to dobrze, że mnie wielmożny pan usłuchał.

— Dyabłać dobrze... kiedy się sami nie zgłaszają...

— Niech-no wielmożny pan jeszcze bez noc poczeka cierpliwie, przejdę ja się jutro do sołtysa... tak niby w odwiedziny... to się dowiem, co i jak się między nimi dzieje.

— O to właśnie chciałem cię prosić, mój Walusiu. A teraz, za ten kram, coś go zażył z gośćmi, masz tu rubelka.

— Bóg zapłać wielmożnemu panu — odrzekł Walenty, całując go w rękę, ale nie ruszając się z miejsca.

Pan Franciszek widząc, że się kuchta nie oddala, zapytał go z uśmiechem:

— A możebyś gruchnął jednego?

— A no, tak do poduszki, zdałoby się wielmożny panie — odrzekł Waluś, któremu obietnica „jednego“ więcej się uśmiechała, niż tylko co otrzymany datek rublowy.

Pan Franciszek dobył flaszki, nalał sporą miarkę gorzałki, którą Walenty jednym haustem połknął, — i rozstali się starzy przyjaciele.

Nazajutrz do dnia prawie, szedł sobie stary kucharz przez wieś.

Chłopi już byli powstawali, i znów szykowali wózki do drogi. Sołtys dnia tego miał iść na trakt do pilnowania szarwarku; czyścił więc zawzięcie urzędowe insygnia tartą cegłą, gdy go Walenty zwykłem: „Niech będzie pochwalony“ — pozdrowił.

— Na wieki wieków! — odrzekł sołtys. — A gdzie to pan Walenty tak rano?

— Phi!... wyszedłem trochę na powietrze... Człek się cały dzień smerli przy trzonie, sosów nawącha, to i miło odetchnąć świeżością.

— A dyć — odrzekł chłop, chuchając na błyszczącą już blachę.

— Cóż tam u was słychać, sołtysie? — spytał od niechcenia kucharz.

— Jedno i jedno w kółko, panie Walenty, stara bieda i tyle...

— Co wam bieda? Macie parę morgów gruntu...

— Cóż ta tego gruntu! Gdyby człek nie zarobił furmanką, toby na przyodziewek nie starczyło.

— No, niedługo będzieta mieli więcej.

— Czego? — spytał chłop z podełba.

— Gruntu, — odrzekł spokojnie kuchta.

— Więc to będzie nowe nadanie?

— Nie nowe mój sołtysie... ale wszakże macie dostać od dziedzica po półtora morga za każdą krowę. Wy macie dwie krowy, to wam trzy morgi przybędzie za serwitut.

Sołtys milczał; ręką tylko machnął.

— Cóż tak ręką machacie, jakbyśta dziedzicowi nie wierzyli?... Co obiecał, to dotrzyma święcie.

— A niech ta sobie dotrzyma albo nie, to wszyćko zarówno, — odmruknął chłop.

— Jakto zarówno? Nie dbacie o grunt, czy co?...

— A co panu Walentemu do tego, o co ja dbam?

— No, tak sobie... pytam zwyczajnie... bo radbym wiedzieć, na kiedy obiad będziemy szykowali... Jużci, jak dziś do gminy macie z panem dziedzicem pojechać, to muszę wcześniej wydać obiad.

— Niech ta pan Walenty podaje obiad, jak zawdy.

— Dlaczego?

— Bo my ta do żadnej gminy nie pojedziema.

— Jakto?.. cofacie się? — spytał kucharz nagle.

— A czego mnie pan Walenty bierze na spytki? Pan Walenty nie sędzia, a ja nie świadek, i tyle.

Stary kucharz nosem pokręcił: miał dowód oczywisty, że się coś przez ten czas stało, i że się chłopi znowu swoim zwyczajem *odmyślili.*

Pożegnawszy sołtysa, wrócił jak niepyszny do dworu.

Pan Franciszek, ubrany zupełnie po nieprzespanej prawie nocy, czekał go już na progu.

Z miny starego przyjaciela wyczytał, że mu złe wieści przynosi; z powtórzonej dosłownie prawie rozmowy dowiedział się nagiej prawdy.

Krew zawrzała w biednym szlachcicu. Ze szczytu rojeń strącony w przepaść zwątpienia, odczuł to tem boleśniej, im głębiej raniła go ta nieufność włościan, z którymi się razem wychowywał, i których z duszy całej kochał.

— Zły duch jakiś musiał mi ich zbuntować, — rzekł do Walentego.

— Nikt inszy wielmożny panie, tylko karczmarz, — odrzekł na chybił trafił Walenty, nienawidzący serdecznie Rosickiego, na zbyt wielką ilość wody, dolewanej do okowity, przy dobieraniu gorzałki.

— Kto tak wódkę fałszuje, jak on — zakonkludował kuchta, — ten musi być i w sercu fałszywym człowiekiem.

Pan Franciszek przypomniał sobie uśmiech karczmarza;

teraz dopiero wydał on mu się czystem szyderstwem. Przywiódł sobie na pamięć sprawę owych niezałatwionych trzech morgów, i zebrawszy to wszystko razem, pomyślał sobie w duchu: że stary Walenty ma słuszność. Nie było jednak rady na to, nie było dowodów, a chociażby się nawet był o tem dokładniej dowiedział, to jeszcze przy słabości charakteru chłopów nicby był na to nie poradził.

W milczeniu wrócił do domu; a straciwszy nadzieję wszelkiego z chłopami kompromisu, zabrał się do swej codziennej mrówczej pracy, choć z mniejszym niż dni ostatnich zapałem.

Ku końcowi miesiąca zjawił się we dworze karczmarz, z płóciennym woreczkiem, w którym samymi prawie miedziakami, propinacyę i czynsz z trzechmorgowej osady przynosił.

Pan Franciszek przyjął go, jak zwykle; w poczciwem swem sercu nie krył już do niego żadnej urazy, tembardziej, że prócz gołosłownego podejrzenia, które nań rzucił Walenty, sam żadnego przeciw karczmarzowi nie posiadał dowodu.

Gdy już pieniądze przeliczył i w książeczce propinacyjnej pokwitował, poczęstował, zwykłym swym obyczajem, pana Rosickiego papierosikiem, które tylko chował dla gości.

Karczmarz, ujęty i ośmielony uprzejmością pana dziedzica, zapalił papierosa, i gwarząc to o tem, to o owem, sam zwolna naprowadził rozmowę na sprawę niezałatwionych służebności.

— Ciężkie to dla pana dziedzica brzemię — mówił,

wzdychając serdecznie. — Ani to gospodarki poprowadzić, jak należy, ani ugorów przed plonami obsiać, ani halizn w lesie na zagajniki pozapuszczać nie można...

— Oj! co prawda, to prawda! — westchnął również serdecznie, w prostocie ducha, pan Franciszek; — ale cóż na to poradzić?

— *Trzebnoby* się ułożyć z chłopami, radził poczciwie karczmarz, używając w potrzebie nowo stworzonego przez siebie wyrazu.

— Żartujesz chyba, mój Rosicki...

— Szczerze mówię... jak poważam... niech mi pan dziedzic szczerze wierzy... co dać, to dać... zawsze się lepiej wychodzi na układzie, niż na takiem gospodarowaniu do współki z chłopami.

— Próbowałem układu, ale niestety, napróżno.

— Kiedy? z kim?.. — zapytał dobrodusznie, nic niby nie wiedzący karczmarz.

— A no, z chłopami... i to nie tak dawno... Zgodziliśmy się nawet już z sobą; ale mnie tu goście najechali, a tymczasem jakaś szelma, z piekła rodem, potrafiła ich zbuntować.

Pan Rosicki w tej chwili zakrztusił się kłębem dymu, i pokraśniał, jak burak ćwikłowy.

— O, panie dziedzicu, o złych ludzi nie trudno...

— Gdzie ich nie posieją, tam się urodzą — dodał pan Franciszek. — Że jednak takie łotry mają wpływ na umysł chłopa, że potrafią podkopać zaufanie jego do dworu, z którym go kilka pokoleń łączy, to smutne, to mnie trapi gorzej, niż sama sprawa służebności.

— Muszą ta oni mieć na to swoje sposoby — ciągnął

dalej karczmarz. — A jednak, niech mi pan dziedzic szczerze wierzy, ile ja znam chłopów, to to bydło nie jest takie złe i głupie, jak się zdaje... Trzebno tylko umieć z nimi... Ja, na ten przykład, trafiłbym zawsze z nimi do ładu.

— Czy tak? — spytał pan Franciszek, patrząc mu bystro w oczy.

— To jest... tak mi się widzi... — poprawił karczmarz, spuszczając wzrok w ziemię.

W tej chwili przypomniał sobie pan Franciszek sen swój dziwny, przypuszczenia starego Walentego, — w ślad za czem ponowne, a bardziej już uzasadnione podejrzenie budzić się w jego umyśle poczęło.

— Ha! — westchnął po chwili, — jeśliby Rosicki chciał próbować, nie będę miał nic przeciw temu, choć o rezultacie mocno wątpię...

— Spróbuję, panie dziedzicu, chętnie spróbuję... Niech mi pan dziedzic szczerze wierzy, że dołożę wszystkich sił moich, więcej niż dla siebie samego. Ale ponieważ w takich termedyach z chłopami trzebno nieraz i gąsiorka postawić, i papierosem poczęstować, ba! i kaletą czasem potrząsnąć, więc byłyby koszta niemałe.

— No, no... nie zrobiłbym ci krzywdy. Tymczasem próbuj.

Rosicki głowę lekko spuścił, a miętosząc czapkę nieśmiało, dodał półgłosem:

— Ja bo, panie dziedzicu, lubię zawsze interes na czysto.

— Zdaje się, że ze mną nikt jeszcze brudnych interesów nie miał.

— Uchowaj Boże, panie dziedzicu! — sumitował się karczmarz. — Ale widzi pan dziedzic, ja sobie człowiek prosty, a żem niezamożny, radbym się wprzód zapewnić, czy w razie skończenia z chłopami i doprowadzenia ich do podpisania układu ze dworem, będę odpowiednio wynagrodzony.

— Powiedziałem ci, mój Rosicki, żem w życiu nikogo nie skrzywdził, to i tobie krzywdy nie zrobię...

— Równo, panie dziedzicu, ja zawsze chciałbym wiedzieć, co... jak... i ile...

— No, to idź do domu i próbuj, a mnie postaw żądania swoje na piśmie! — odrzekł mu sucho p. Franciszek; podejrzenia bowiem coraz natarczywiej cisnęły mu się do głowy, że to właśnie ów Rosicki, przyznający się sam niebacznie do wpływu na chłopów, mógł być owym duchem niezgody.

* * *

W kilka dni później, kiedy strudzeni pracą, po odprawieniu modlitwy wieczornej, zabierali się państwo Franciszkowstwo do spoczynku, kobieta wiejska z głośnym płaczem i lamentem wpadła do dworu.

— Wielmożni państwo!! — krzyczała, biegnąc jak szalona do ich sypialni i zanosząc się od płaczu, — ratujcie! Dziecko mi bez tego zbója umiera!

Była to Siudzina, żona Pawła Siudy, owego chłopa franta, który podczas układu z dziedzicem, tyle o *dzieciszczkach* swoich i z taką deklamował czułością.

— Co się stało? co się stało?! — pytali oboje małżonkowie.

— A, najdrożsi państwo! umiera mi dziewczyna bez tego zbója, pijaka! — szlochała zrozpaczona matka. — Przyszedł z karczmy pijany, jak bydlę, — i wołał jeść! Ogień już wygasł, trza go było dopiero rozpalać. Ja byłam chora, mam przecie dziecko u piersi, więc zawołałam na moją Marychnę, żeby duchem ojcu ogień *uoznieciła*. Nim dziecina drobną piersią płomień z węgielków wydmuchała, ten zbójnik się zniecierpliwił, jak ją nie wytnie polanem w głowę, dziewczynina tylko wrzasła, padła na ziemię i już ledwo tchnie, a życie z niej ucieka!.. — O paniczku droguchny! paniuchno moja złocista! ratujcie przez Boga żywego!.. może się jeszcze na co zda!.. — błagała zrozpaczona matka.

Pan Franciszek i pani Celina zerwali się czemprędzej z łóżek. Nadbiegła i Zosia na krzyk nieszczęśliwej kobiety. Porwano czemprędzej z apteczki podręcznej wszelkie możliwe środki, jak ocet, arnikę, kollodyum i t. p., w które zawsze zaopatrzeni byli; wzięto słoik pijawek, paczkę szarpi, lodu sporą miednicę, wodę kolońską, eter, anodynę, — i z tymi wszystkimi lekami udano się co tchu do chałupy Siudów.

W rzeczy samej, oczom przybyłych widok się straszny ukazał.

Na ziemi leżała dziecina z mocno zranioną czaszką, z której krew strugą prawie płynęła. Blada, drgająca tylko od czasu do czasu, jak w konwulsyach, słabe już znaki życia dawała.

Reszta drobnej dziatwy płakała z przerażenia.

W kącie izby siedział na ławie, ze wzrokiem błędnym, bezprzytomnym, blady i wystraszony pijak, bijąc się ustawicznie w piersi, i powtarzając prawie bezwiednie drżącemi, sinemi usty:

— „Boże! bądź miłościw mnie grzesznemu! Boże! bądź miłościw!“

Zabrano się z całą energią i znajomością rzeczy do ratunku. Przedewszystkiem ocucono dziewczynkę z omdlenia, bryzgając wodą i dając jej eter do wąchania.

Gdy otworzyła oczka, zajęto się zatamowaniem krwi, obmyciem rany i okładami arniki i lodu. Niżej poza uszkami, parę pijawek Zosia własną ręką postawiła.

Gdy po godzinnej ciągłej i umiejętnej pracy, dziewczynka wzrokiem powiodła do koła, wyraz oczu mniej już błędny, dowodził pewnego zwrotu ku lepszemu.

Noc prawie cała przeszła na czuwaniu przy chorej. Gorączka wkrótce się też objawiać zaczęła. Dopiero nad ranem, po wyżyciu łagodnej miksturki, dziewczę zwolna snem spokojnym zasnęło.

Wytrzeźwiał też do reszty wystraszony ojciec.

Kiedy świtać poczynało, a pan Franciszek z kobietami swemi zabierać się już miał do domu, rzuciła im się matka do kolan z podziękowaniem za pomoc. Ściskała i tuliła do siebie nogi państwa z taką siłą i wdzięcznością, na jaką tylko serce macierzyńskie zdobyć się może.

Siuda stał jak zbrodzień pod pręgierzem i ruszyć się nie śmiał z miejsca. Chłop-ci w gruncie był z niego nienajgorszy, póki trzeźwy, ale gorzałka i nałóg przebrzydły zwierzęciem go nieraz czyniły.

— Do nóg państwu, ty psie pogański! — krzyknęła

żona na chłopa, odzyskując napowrót ową przewagę, którą zwykle kobiety wiejskie nad trzeźwym zdobywają mężem. — Podziękuj, zbóju, że nam złociści państwo uratowali dziecinę od śmierci, a ciebie, zbójniku, od kryminału!

Siuda, jak automat za dotknięciem sprężyny, rzucił się plackiem na podłogę. Chwyciwszy oburącz na nogi pana Franciszka, wybuchnął płaczem serdecznym, który zwykle jako kryzys u pijaków, po nadmiarze buty i wesołości, przychodzi.

— Płaczesz tera, hyclu! — wołała żona, ściskając dziedziczkę za nogi. — Faryzeuszu niewierny! przed dwoma tygodniami buntowaliśta się, żeby z kochającym panem o serwietut nie kończyć.

— To nie ja buntował! — ryknął chłop, wzruszony do żywego.

— A któżby? — spytała kobieta, — kto, jeśli nie ty, zbóju pijacki!..

— Kacmarz mówię ci, kobieto... a nie ja!

— Kto? — spytał skwapliwie pan Franciszek.

— A to kacmarz, wielmożny panie — szlochał Siuda dalej. — On to nam gąsiora postawił, żebyśma się nie godzili, on sam jedyny, a żaden z nas.

— Prawdę mówisz, Siuda? — spytał łagodniej jeszcze pan Franciszek.

— Jak pragnę boskiego odpuszczenia przy skonaniu! — zaklął się chłop, wstając z ziemi i całując rękę dziedzica. — Ale niech mnie wielmożny pan nie zdradzi, bo wszyscyby na mnie pomstowali!

— Nie... bądź spokojny! — odrzekł pan Franciszek

uradowany z odkrycia, i pożegnawszy oboje Siudów, wrócił z żoną i córką do domu.

Przez kilka dni następnych dziecina nocami ciągle jeszcze majaczyła; ale troskliwe i umiejętne starania pani Celiny i Zosi, obfita apteczka, a nadewszystko ciepłe i kochające serca dziedziców, postawiły pacyentkę na nogi, i jednem więcej ogniwem zespoliły dwór z chatą wieśniaczą.

* * *

W tydzień po tych wypadkach zjawił się we dworze Rosicki.

Przyszedłszy już nie w charakterze karczmarza, ale plenipotenta do załatwienia układu dziedzica z włościanami, ubrał się odświętnie, w nadziei, że tak ważnego gościa dziedzic na herbatę zatrzyma i z należnymi przyjmie honorami.

Pan Franciszek czekał go w kancelaryi.

— Cóż mi powiesz, Rosicki? — spytał tłumiąc w sobie oburzenie.

— Pracuję panie dziedzicu dla jego dobra... Niech mi pan dziedzic szczerze wierzy, że pracuję gorliwiej, niż dla siebie — dodał, oglądając się na krzesło; — ale z tymi chamami ciężko idzie.

I znów powiódł po krzesłach, ale pan Franciszek stał nieruchomie, nie okazując najmniejszej chęci zapraszania Rosickiego do zajęcia miejsca.

— Cóż nazywasz „ciężkiem?“ — spytał dziedzic ciekawie.

— Żądają przeszło po dwa morgi na krowę.

— O... o!.. proszę... proszę...

— Ale ja mam nadzieję, że przy mojem usilnem staraniu, przy dłuższej pracy nad nimi, może da się ukuć na dwa morgi.

— Hm!.. — potakiwał pan Franciszek, — no, to już coś... zawsze jakaś propozycya...

— Nawet bardzo dla pana dziedzica korzystna.

— Tak sądzisz, panie Rosicki?

— Jak dobrze życzę.

— Ha, zobaczymy, niech przyjdą pogadać ze mną...

— Sprowadzę ich choć z ledwością... sprowadzę którego dnia... ale przedewszystkiem muszę i ja mieć dla siebie zapewnienie wynagrodzenia, o któreśmy się umówili.

— Umówili?.. — powtórzył pan Franciszek.

— To jest niezupełnie umówili, ale pan dziedzic przyobiecał, i kazał mi moje żądanie przynieść na piśmie.

— Możesz je i ustnie wypowiedzieć.

— Zawsze co pismo to pismo — odrzekł karczmarz. — Oto tu jest taki mały skrypcik, który mi pan dziedzic zaraz zechce podpisać.

— A cóż to! słowo moje nie waży?!

— Ludźmi jesteśmy, panie dziedzicu najukochańszy... Tam gdzie chodzi o taki ważny interes, jak układ o służebności, tam gdzie biedny człowiek tyle się naujada, nagębuje, napije i natraci czasu, — nie dziwota, że się chce zabezpieczyć...

— To pokażże ten cyrograf, niechże go przeczytam. Karczmarz dobył z zanadrza papier przepisany czyściuchno i opatrzony odpowiednią marką stemplową. Było to przy-

rzeczenie sprzedaży całej osady karczmarskiej z gruntem i łąką temuż Rosickiemu, za sumę śmieszną, bo wynoszącą czynsz roczny, a z odbioru jej zaraz tem samem pismem dziedzic kwitował.

W miarę czytania tego dokumentu, wzrastało oburzenie pana Franciszka. Już, już miał gromem wybuchnąć... ale nagle przyszła mu myśl inna.

— Wiesz co, mój Rosicki? — odezwał się łagodnie, zostaw mi ten papier, muszę się z żoną jako współdziedziczką Kłopocina naradzić, to ci go potem oboje razem podpiszemy.

Uwaga ta wydała się karczmarzowi bardzo słuszną, a propozycya wspólnego podpisu obojga małżonków jeszcze mu lepiej prawa jego zabezpieczała.

Zaczem widząc, że pan Franciszek ciągle stoi, i ani krzesła, ani kiepskiego papierosa ofiarować mu nie myśli, skłonił się pan Rosicki w milczeniu i odszedł.

Nazajutrz w niedzielę, ekonom poprosił go o przybycie po nabożeństwie do dworu. Równocześnie na tęż godzinę zaprosił pan Franciszek wszystkich włościan ze wsi na naradę w bardzo ważnym przedmiocie.

Obawiając się konferencyi wprost z dziedzicem i domyślając się, że idzie o serwitut, zeszli się wprzód chłopi w karczmie, u obecnego swego opiekuna, donosząc mu o otrzymanem wezwaniu, i pytając: jak sobie postąpić mają?

— Widzicie, jak się to was teraz prosi! — zawołał tryumfująco karczmarz, a wszystko moja głowa! Pójdziecie i wy, i ja z wami, bo także zaproszony jestem. Stójcież twardo przy dwóch morgach, bo tylem już dla

was wytargował, a pamiętajcie, że za te pół morga więcej każdy z was będzie winien mi po dwadzieścia rubli.

— O la Boga! to trochę przydużo! — biadali chłopi.

— Jakto dużo? — policzcie-no na palcach... Morg się płaci u nas do stu rubli, więc pół morga pięćdziesiąt; a że mnieście obiecali po dwadzieścia, to i tak kóżden drugie tyle przeszło dostaje, za nic, za ten wiatr, co wieje... za moją pracę, za mój trud... za moje ujadanie się z dziedzicem!..

— No, niech już będzie pitnaście... — zaproponował sołtys.

— Nie mogę... — gronia nie odstąpię, — odpowiadał karczmarz.

— Szesnoście, — wtrącił Kuba.

— Powiedziałem!! i basta!

— Kochany paniczku, ostatnie słowo... siedemnoście rubli za te półmordżyny, — zaofiarował Marcin. — Wyście ślachcic i ślachcicem ostaniecie, bez tych kilku papirków; my biedne chłopy...

— No, wiecie co! — odparł Rosa, skaptowany dwukrotną wzmianką o szlachectwie: — żeby wam pokazać, jak was kocham i co dla was robię, ostatnie słowo moje ośmnaście rubli, i ani gronia mniej, jakem szlachcic! wielkie słowo!!!.. dawajta łapę!

I plunąwszy w garść, obszedł kolejno gromadę, uderzając każdego w dłoń. Zaczem, uczęstowani jeszcze po miarce, ruszyli wszyscy z dobrą miną i pompatycznie do dworu.

Pan Franciszek czekał ich na werendzie, niecierpliwiej, niż kiedykolwiek. Na stole stał gąsiorek z miareczką,

napełniony wybornie dobraną anyżówką... a przy nim, jak westalka przy świętym ogniu, stał nieodstępny stróż nektaru, stary kucharz Walenty.

Przodujący orszakowi, jak wódz swej armii, pan Rosicki postąpił naprzód, skłoniwszy się dziedzicowi, z pewnością siebie i miną tryumfującą. Chłopi schylili się panu Franciszkowi do kolan, nie śmiejąc spojrzeć mu w oczy.

— Witam was, kochani moi ludzie! — począł dziedzic, — witam znowu przed tym dworkiem, o którym zapomnieliście chyba, żeśmy się tak dawno nie widzieli.

Chłopi, spoglądając na siebie z podełba, stali, jak wryci.

— Pozwólcie moi drodzy — rzekł dalej, — że was naprzód starym obyczajem poczęstuję.

I wychyliwszy miarkę do rąk sołtysa, poczęstował wszystkich obecnych, z wyjątkiem Rosickiego.

Chłopi spełnili toaścik rzetelnie, nie pytając bynajmniej wzrokiem, co o tem ich przywódca trzyma.

Zaledwie ostatnia miarka dostała się staremu Walentemu, pan Franciszek ciągnął dalej:

— Spodziewałem się was przez kilka dni z rzędu, po odjeździe moich krewniaków, którzy nam przerwali ugodę o służebności. Czemużeście nie przyszli?

Chłopi milczeli.

Na ponowne zapytanie dziedzica, sołtys odrzekł nieśmiało:

— A... bo się, wielmożny panie, rozmyślili, że *putora* morga, to byłaby krzywda.

— Czy się tylko sami rozmyślili? — pytał dalej pan Franciszek.

Chłopi milczeli uporczywie.

— Gdybyście się byli sami rozmyślili, to przecież znamy się lat tyle, i tyle zaufania powinniście byli mieć do mnie, że jeden z was przynajmniej mógł był przyjść i oznajmić mi, żebym, jak dureń, napróżno na was nie czekał. Ale nie, moi drodzy, nie wyście się rozmyślili... musiał się znaleźć wśród was jaki Judasz, który was do tego kroku niepoczciwego namówił.. Przyznajcież!

Chłopi, miętosząc czapki w dłoniach, milczeli zawstydzeni widocznie.

— Nie chcecie mi powiedzieć... otoż ja go wam wskażę!... Oto człowiek — dodał pan Franciszek, wskazując na Rosickiego, — który, jak Judasz, wyparł się stanu i rodu, z którego pochodzi. Oto człowiek, który lat trzydzieści żyjąc u mnie i znajdując kawałek chleba, tem mi się wywdzięczył, że was przeciwko mnie zbuntował!

— Bardzo proszę!! — odezwał się karczmarz, ochłonąwszy z pierwszego wrażenia. — Pan dziedzic mi ubliża!

— Tyś sam sobie, mój Rosicki, ubliżył, postępując tak zdradziecko względem mnie... Sądziłeś, że buntując ciemnych ludzi, upieczesz swoją pieczeń przytem, i że ci podpiszę ten papier, darowujący za układ z nimi osadę karczmarską z trzema morgami. Mam na to dowód! — dodał, uderzając w papier, — aleś się, bratku, przerachował!.. Mniemałeś, że mnie zmusisz do tego... sądziłeś, że mnie w ciężkim kłopocie postawisz... Tymczasem ich tylko, tych łatwowiernych ludzi, wprowadziłeś w błąd. — Wiedzcie bowiem moi kochani, że teraz *ja* cofam moje przyrzeczenie, i nietylko dwóch morgów, ale ani półtora

morga, ani jednego morga, choćbyście sami chcieli — nie dam!

— Zaczem, podstąpiwszy do chłopów, dodał jeszcze:

— My, moi starzy przyjaciele, zostaniemy dobrymi sąsiadami, tak jak dotąd; ale za to z panem Rosickim rozstać się będziemy musieli. Na Ś-ty Jan ekspiruje kontrakt... oto jego wymówienie!..

I skłoniwszy się karczmarzowi ceremonialnie, wręczył mu wymówienie dalszej dzierżawy propinacyi, a sam skinąwszy raz jeszcze chłopom życzliwie, powrócił do dworu z Walentym, tulącym gąsiorek do serca.

Skonfundowani do żywego chłopi, zawrócili do chałup, drapiąc się po głowach, jak to zwykli czynić we frasunku.

Pan Rosicki, z zaciśniętemi pięściami, poprzysięgając zemstę dziedzicowi, szedł w milczeniu do karczmy. Za nim, jak huczenie dalekiej burzy, grzmiały z piersi chłopskich obelgi: „A kanalia! a cygan! to przez niego my tak wyszli!“

Udawał, że już tego nie słyszy; oczy tylko miotające gromami dowodziły, że się tam burza w tej piersi gotuje.

* * *

Na parę tygodni przed Ś-tym Janem, w dzień skwarny, pogodny, lecz wietrzny, siedzieli państwo Franciszkowstwo z Zosią przy poobiednej kawie.

On czytał dość pilnie gazety, choć brak sensacyjnych nowin politycznych dość częste wywoływał ziewanie. Żona pożerała nieliczną korespondencyę (znany jest bowiem

wstręt szlachciców do pisywania listów). Zosia przeglądała „Bluszcz“ i „Tygodnik Mód“, pieszcząc wzrok nowemi kombinacyami deseni.

Wtem nagle pani Celina klasnęła w ręce z okrzykiem zadowolenia.

— Co się stało? — spytali pan Franciszek i Zosia.

— Będziemy mieli weselisko!

— Gdzie?.. co?..

— U Drzemskich...

— Nepci? — zapytała Zosia, klękając na krześle.

— Tak.

— Więc się pogodzili z Jędrusiem? — spytał pan Franciszek.

— Wcale nie, — odrzekła pani Celina. — Drzemska mi pisze, że chcieli jakoś zeszyć tę parę na powrót; ale Nepcia, zrażona zazdrością i awanturniczem usposobieniem Jędrusia, oświadczyła stanowczo, iż woli raczej zostać starą panną, niż być żoną grubianina. A że i Jędruś niewiele sobie z jej oporu robił, rozeszło się więc to małżeństwo bezpowrotnie.

— A więc za kogoż idzie? — spytała Zosia ciekawie.

— Zgadnijcie... — odpowiedziała matka.

— No, naturalnie za Misia! — zawołała Zosia.

— I to nie — odparła pani Celina. — A tobie jak się zdaje? — spytała pana Franciszka.

— Abo ja tam będę sobie nad tem głowę łamał! — odparł szlachcic. — Miś czy Jędruś, nic mię nie obchodzą; razem ich na oczy widział, i może więcej tych kpów nie zobaczę.

— Franusiu, bój się Boga! wszak to koligaci! — perswadowała urażona pani Celina.

— To i cóż?.. koligat już kpem być nie może?! — odrzekł zniecierpliwiony. — Zresztą ciekawszem jest dla mnie, co się stanie z Boulangerem po jego ucieczce do Londynu, którą właśnie depesza *mojej* gazety ogłasza.

— A czytajże sobie tę *twoją* gazetę! — odparła pani Celina, i zwracając się do Zosi, spytała ciekawie: — No, cóż? nie zgadłaś?..

— Nie mogę — odrzekła zapytana, wyrywając się z zamyślenia.

— Za kuzyna Skalskiego. Wszak pamiętasz Gracusia?

— Pamiętam, pamiętam... Ależ on się wcale do Nepci nie zalecał?

— To niczego nie dowodzi — ciągnęła dalej matka. — Ci, którzy się najwięcej do panien przysiadają, najmniej stateczne kryją nieraz zamiary. Obojętniejsi napozór, ale poważnie w przyszłość patrzący ludzie, studyują wprzód charakter, gusta i usposobienie panny, a dopiero poznawszy z gruntu jej stronę moralną, zwolna ujawniać zaczynają skłonność i zamiary swoje.

— Dobrze to wiedzieć... — szepnęła Zosia.

— A dobrze... szczególniej w ocenianiu pana Karola...

— Ee! mameczka znów zaczyna — odparła z małym przekąsem Zosia, zatapiając wzrok w rycinach, dla ukrycia rumieńca.

— Hm... hm... — chrząknął pan Franciszek, spoglądając z podełba na jedynaczkę.

— No! i ojczulek już zaczyna — mruknęła niby gniewnie Zosia.

— Jakto! i chrząkać już nie można? — spytał z uśmiechem ojciec.

— Niech ojczulek chrząka, jak będzie mowa o jego Boulangerze, ale nie o panu Karolu.

— A ty sobie, smarkulu, buzi Boulangerem nie wycieraj! — zawołał z udaną nieco powagą pan Franciszek. — Zobaczycie, że ten człowiek zrobi swoje! Mądra to sztuka, zna słabość swoich współziomków, i w danym razie skorzystać z niej potrafi!!

Pan Franciszek podzielał zdanie wielu polityków wiejskich, dla których cała komedya salonowego generała pewnego legendowego nabierała uroku.

I przerwana na chwilę, wróciła znów cisza, wśród której słychać tylko było mocny szum wiatru, ciskającego piaskiem i liśćmi w szyby cichego dworku.

Na dworze słońce piekło coraz silniej.

Ludziska jedni kosili łąki, ostrząc co chwila kosy i wypoczywając choć trochę wśród tak ciężkiej pracy; inni grabili wysuszoną trawę. Parobcy podorywali ugory, przystając co kilka prętów, by sobie i ziejącym ze znużenia wołom ulżyć trochę. Za fornalkami, bronującemi wczorajszy podór, toczyły się całe tumany kurzu. Kobiety grackami obsypywały kartofle, ocierając pot z czoła. Dzieciaki pasły bydełko na przydróżkach, a młode kaczuszki po rowach. Słowem, wszystko, co żyło, wyległo w pola, pozostawiając wioskę cichą, pustą, jak gdyby w niej życie zamarło...

Wtem nagle, z poddasza karczmy — buchnął słup dymu... Wszystko, co było bliżej wsi, spojrzało na słup ten

ciekawie, przypuszczając, że to karczmarz chleb piecze i tyle dymu powoduje...

Tymczasem słup z początku biały, stawał się szarym... zwolna czerniał... gęstniał, rozpościerał się coraz szerzej, — aż nareszcie gdy się już w chmurę prawie skłębił, z pośrodka niej, niby języki olbrzymiego smoka, ukazały się płomienie, a w ślad za nimi snopy tryskających iskier, które wiatr niósł prosto na wiejskie sadyby.

Był to już pożar w całej grozie, powstały w karczmie, z której gospodarz wyszedł był zrana na poszukiwanie nowej dzierżawy.

— Gore! — krzyknęły dziewczęta, bliżej chałup będące.

— Gore!! — powtórzyły kobiety, biegnąc zrozpaczone z pola.

— Gore!!! — zawtórowało wszystko, co żyło w polu i gospodarskiem podwórzu.

Po chwili, w wiosce cichej a puste, niby opuszczony cmentarzyk, zaroiło się, jak w piekle, w dzień sądu ostatecznego.

Tłumy potrącających się chłopów, kobiet i dzieci, z wrzaskiem i piskiem latały po wsi, wołając w niebogłosy ratunku, którego nikt jednak nie przynosił.

Nadbiegła wprawdzie sikawka dworska z podwórza, nadbiegła czeladź z konwiami i kubłami. Niestety! do wody większej dość było daleko, a podwórzowa studzienka, w roku tak wyjątkowo suchym, nie wielki jej zapas posiadała. Któż zresztą na prawdę wierzyć może na wsi w ratunek drewnianych budowli, kiedy zeschła słoma na dachach trzeszczy od suszy, a kilka padłych na nią iskierek wystarcza do wybuchnięcia płomienia?...

Każdy też z mieszkańców nieszczęśliwej wioski myślał przedewszystkiem o sobie, i wynosił co prędzej ubogą chudobę swoją, pościel i sprzęty domowe na drogę.

Dworska sikawka tryskała wąziuchnym strumieniem wody na karczmę; ale pożar podsycany nieustającym wiatrem i suszą, która już od kilku tygodni cały kraj niemal trapiła, rozszerzał się z gwałtownością chmury gnanej wichrami, lawy z wulkanu płynącej, lub rozhukanych fal przybierającej naszej Wisły.

W niespełna godzinę szereg chat włościańskich stał już w płomieniach. Nie pomogły nadbiegłe z okolicznych wiosek narzędzia; nie pomogła obecność władz niedalekiego miasteczka; na żywioł bowiem ten straszny nie ma na wsi środków obrony. Więc też kiedy słońce krwawą swą tarczę o krawędź ziemi oparło, ostatnie jego promienie oświetlały już tylko stos tlejących głowień i spękanych w gruzy kominów.

P. Franciszek, okopcony jak kominiarz, ochrypły, zziajany, stanął nad zgliszczami wioski, którą z lat swych dziecinnych pamiętał, i z którą najmilsze łączyły go wspomnienia młodości. Ręce załamał w milczeniu nad ogromem nieszczęścia biednych ludzi. Zwolna też płacz, lament, wrzask i pisk chłopów, kobiet i dzieci w ochrypłych piersiach cichnąć zaczynały.

Pani Celina i Zosia zajęte były rozmieszczaniem drobnych niemowląt we dworze, oraz przygotowywaniem wieczerzy dla nieszczęśliwych pogorzelców całej wioski, którym prócz domowego dobytku i bydląd rozrzuconych po pastwiskach, nic zgoła zresztą z zapasów nawet nie pozostało.

Nareszcie ocknął się z zadumy ciężko strapiony szlachcic. Widział on w tym pożarze zemstę nienawistnego karczmarza, który nie licząc się z kierunkiem wiatru, mniemał, że podpaleniem karczmy spowoduje pożar całego gospodarskiego podwórza. Tymczasem zemsta ta w małej go tylko cząsteczce dotykała; wartość bowiem całej karczmy paręset rubli stanowiła. Natomiast mściwa dłoń podpalacza zrujnowała mienie biednych włościan, niewinnych ofiar własnej łatwowierności.

Podejrzenia te zatrzymał pan Franciszek wyłącznie dla siebie, nie mogąc i nie chcąc niemi obarczać człowieka, na którym lud zrozpaczony byłby z pewnością straszliwą wywarł zemstę.

Odpędziwszy od siebie czarne myśli, podszedł do zebranych w gromadkę pogorzelców, i pocieszał ich, jak mógł, byle się rozpaczy nie poddawali, bo ta u ludu ciemnego najzgubniejszym bywa doradcą.

— Tymczasem przyjmijcie moi drodzy gościnność u mnie, — mówił ze szczerem współczuciem. — Noce ciepłe, więc was starszych po budynkach gospodarskich i pomiędzy służbą dworską rozmieszczę. Dzieci mniejsze z matkami już mają we dworze schronienie. O pożywienie też kłopotu nie miejcie. Pan Bóg dał nam urodzaj zeszłego roku obfity, na śpichrzu zboża wszelkiego dostatek, w ogrodzie warzywa będą też za dni parę do użycia, głodu się więc nie bójcie. Jutro wybierzemy się do naczelnika, pogadać o naszej biedzie. Ja wam drzewem z lasu, wedle możności, w pomoc przyjdę, a przy należnej wam fajerkasie, nowe się chaty odbudują, byle Bóg dobry dał zdrowie i siły.

Otucha wstąpiła w serca biednych pogorzelców. Warta wiejska postawiona przy zgliszczach, pilnowała dobytku, którego na noc nie było już czasu pochować. W czeladnej dworskiej kuchni buchały ognie na trzonach; pieczono chleb świeży w szabaśniku; całe kotły grochu i kartofli wkrótce wyniesiono na dziedziniec, i niby w wielkiem obozowisku zasiedli wzmocnieni na duchu biedacy do wspólnej, choć niewesołej biesiady.

Nazajutrz wybrał się pan Franciszek ze starszyzną włościańską do powiatu, którego przedstawiciele szczerze się losem pogorzelców zainteresowali.

Zawiązano natychmiast komitet ratunkowy, zwołano zgromadzenia gminne, na których uchwalono zbieranie w całym powiecie składek w naturze, po jednym snopie żyta z morga — pozostawiając każdemu możność zamiany tej ofiary na odpowiednią składkę w pieniądzach.

Drobna ta i nic nieznacząca ofiara dowiodła dopiero, co znaczy dzieło zbiorowe, i jaka to potęga tkwi w zjednoczeniu sił rozstrzelonych.

Już ku końcowi lipca stosy snopów żyta zebrały się w Kłopocinie w stodołach dworskich. Pod odpowiednim nadzorem delegowanych z gminy, chłopi jedni młócili żyto na zasiew i pożywienie — drudzy obrabiali drzewo ofiarowane im przez dziedzica — inni wreszcie odwozili do miasta na targi zbywające od potrzeb zboże, które sprzedawane pod kontrolą władzy powiatowej, stanowić miało fundusz pożyczkowy, bezprocentowy, na dokupienie brakującego materyału do odbudowania zgorzałych budowli.

Dzięki tak zorganizowanej pomocy, pola włościan obsiane zostały oziminą; a gdy sprzęt owsa się kończył,

wykończono już także poszywanie dachów na chatach włościańskich i nowo postawionych stodółkach, do których sprzątnięte zboże zwożono.

I jak po strasznej nawałnicy, jedna noc cicha przynosi pociechę, a wschodzące słońce resztę nadmiaru wody z pól osusza, — tak i po strasznej pożodze, parę miesięcy ciężkiej mrówczej pracy zatarło ślady spustoszenia i osuszyło łzy, nad chwilową ruiną wylane.

* * *

Klęska, która dotknęła ubogich wioski mieszkańców, sprowadziła w ich umysłach zwrot nagły i niespodziewany.

Wyzwoleni z pod wpływu złego człowieka, który się chyłkiem prawie i nocą w zupełnie inne strony wyniósł, nie narażeni na pokusy pijaństwa dla braku karczmy, o której odbudowaniu pan Franciszek ani myślał, chłopi nabrali ufności w dobroć serca i sprawiedliwość człowieka, który ich z rodzinami przez przeciąg pary miesięcy żywił i przygarniał do siebie, jak własną niemal rodzinę.

Gdy się już wprowadzać mieli do nowych swoich zabudowań, zaprosili chłopi miejscowego proboszcza, aby im nowe siedziby poświęcił.

Uroczystą modlitwą i serdecznemi słowy błogosławił kapłan staruszek ich dalszej pracy, zalecając miłość wzajemną i zgodę, unikanie złych podszeptów i pracę a oszczędność w wydatkach.

— Karczma była powodem nieszczęścia... odtąd stroń-

cież od niej, jak od złego ducha, — zakonkludował proboszcz.

Przemowa kapłana znalazła żywy oddźwięk w sercach prostaczych, do których ciepłe a serdeczne słowo trafia zawsze narówni z modlitwą.

Teraz dopiero, gdy wskutek nowo wzniesionych budowli ciężary im się wzmogły, poczuli sami włościanie, o ile lżejby im było, gdyby do tych swoich sadyb większą ilością ziemi rozporządzali.

Gwarzyli o tem między sobą, naprzód po dwóch i trzech, potem w zwiększonym komplecie, — aż nareszcie, jednej niedzieli zjawili się sami przed dworem.

— A co to, moi ludzie, powiecie? — spytał, wychodząc do nich pan Franciszek.

— A to przyśliśma podziękować wielmożnym państwu za wszyćko dobre, cośma i dzieciszczki nasze doznali, — mówił Siuda (wyleczony z nałogu pijaństwa), ściskając dziedzica za nogi.

Cała gromada kolejno obejmowała kolana wzruszonego pana Franciszka, który acz tych pokornych hołdów nie lubił, rad jednak nierad zakorzenionemu zwyczajowi obronić się nie mógł.

— Spełniliśmy tylko, jako chrześcijanie, naszą prostą powinność, — rzekł w końcu głosem drżącym. — Gdyby mnie takie nieszczęście spotkać było miało, jestem pewien, że i wy, starzy moi przyjaciele, bylibyście mi także pomogli...

— Bogać nie! — odrzekł sołtys, spoglądając na milczącą gromadę, która się w tym razie na odpowiedź

zdobyć nie umiała. — Ale wielmożny panie — ciągnął dalej, — my tuśma jeszcze z wielką prośbą przyśli.

— Z jaką? z jaką?

— Oto niech nam wielmożny pan wybaczy niewiarę, cośma mu wtenczas za sprawą złego człeka okazali, i niech z nami zakończy ten serwietut, tak jak było umówione, bo nam tera po ogniu bardzo ciężko na naszych małych działkach.

— Z całego serca, moi drodzy! — zakonkludował pan Franciszek, uradowany niezmiernie z tego zwrotu.

I w niespełna miesiąc, w obecności komisarza włościańskiego, geometra wytykał miedze nowo wydzielonych chłopom poletków. A na miejscu spalonej karczmy — siedliska złych podszeptów i rozdwojenia, — stanął na pamiątkę układu o służebności, krzyż żelazny, znamię miłości i zgody.

KONIEC.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA GŁÓWNA w Kielcach

SPIS RZECZY

do tomu IV.

Pojedynek amerykański, humoreska 1
Buchalterya podwójna, humoreska 49
Bakalarka, obrazek humorystyczny 71
Zemsta pana Fabiana, humoreska 131
Układ o służebności, obrazek wiejski 149

	Złr.	ct.
Sienkiewicz Henryk. Pisma. Tom I—V, wydanie 4-te, po	1	30
W oprawie ozdobnej po	1	90
Treść: Tom I. Stary sługa. — Hania. — Szkice węglem. — Janko muzykant. Tom II i III. Listy z podróży po Ameryce. — Listy z Rzymu i Paryża. — Komedya z pomyłek. Tom IV. Przez stepy. — Orso. — Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. — Czyja wina? — Za chlebem. Tom V. Latarnik. — Niewola tatarska. — Jamioł. — Na jedną kartę. — Bartek zwycięzca.		
— Tom VI—IX. Ogniem i mieczem. Powieść z lat dawnych, wydanie 4-te, przejrzane i dopełnione, 4 tomy.	5	20
W ozdobnej oprawie	7	60
— Tom X—XV. Potop. Powieść histor. Wydanie 2-gie, 6 tomów	7	80
W oprawie	11	40
— Tom XVI—XVIII. Pan Wołodyjowski. Powieść historyczna. Wydanie 5-te. 3 tomy	3	90
W oprawie	5	70
— XIX. Ta trzecia. — Sachem. — Sielanka. — Walka byków. — Z puszczy białowiezkiej. — Wycieczka do Aten. Wydanie 2-gie	1	50
W ozdobnej oprawie	2	10
— Bez dogmatu. 3 tomy	6	50
W oprawie	8	30
— Listy z Afryki. 2 tomy, z ilustracyami	5	20
Sposób poprawny hodowania szparagów przez E. M.	—	15
Stephenson R. Skarby na wyspie. Powiastki dla młodzieży, z rycinami. Karton.	1	60
Oprawne	2	20
Straessle Fr. Historya naturalna dla młodzieży. Wyd. 4-te, przejrzał i uzupełnił profesor August Wrześniowski. Z wielu kolorowanemi rycinami na 12 tablicach i 51 drzeworytami w tekscie. Karton	2	20
Swift Jonatan. Podróże Gulliwera w układzie dla młodzieży. Warszawa. W oprawie kartonowej	1	20
W ozdobnej oprawie płóciennej	1	80
Teatr amatorski. Cena każdego zeszytu	—	40

1. „Przy kolei“, komedya w jednym akcie przez Jordana.
2. „Zięć dla parady“, komedya w 1 akcie przez J. Blizińskiego.
3. „Pierwszy bal“, kom. w 1 akcie przez Z. Przybylskiego.
4. „Ciekawość — pierwszy stopień do piekła“, przysłowie dramatyczne w 1 akcie przez J. Chęcińskiego.
5. „Gałązka jaśminu“, komedya w 1 akcie przez Z. Przybylskiego.
6. „Biała kamelja“, komedya w 1 akcie.
7. „Gramatyka“ czyli kandydat do rady powiatowej,

84702/82 600

Zb. ct.

krotochwila w 1 akcie, przerobił z francuskiego St. Koźmian.

8. „Dwóch głuchych“, komedya w 1 akcie.
9. „Schadzka“, krotochwila w jednym akcie przez Z. Przybylskiego.
10. „Na przekór“, krotochwila w 1 akcie Z. Przybylskiego.
11. „Dyament nieoszlifowany“, komedya w 1 akcie przez Antoninę Hoffmanową.
12. „Post-scriptum“, komedya w 1 akcie Em. Augier'a.
13. „Przed obiadem i po obiedzie“, przysłowie dramatyczne w 1 akcie wierszem, przez J. Checińskiego.
14. „Przez zazdrość, kom. w 1 ak. Alfreda Musset'a.
15. „Przegrany zakład“, krotochwila w 1 akcie przez Z. Przybylskiego.
16. „Dwie wdowy“, kom. w 1 ak przez F. Mallefille.
17. „Wdówka“, komedya w 1 akcie przez Delacour i Thibaut.
18. „Przysługa“, komedya w 1 akcie z francuskiego.
19. „Wycieczka za granicę“, komedya w 1 akcie przez Kazimierza Zalewskiego.
20. „Pomyłka pana Lambineta“, komedya w 1 akcie przez H. M. Meilhac i Ludwika Halevy.
21. „Dwaj nieśmiali“, komedya w 1 akcie przez Marc Michel i Eug. Labiche.
22. „Przez wdzięczność“, komedya w 1 akcie przez Edwarda Lubowskiego.
23. „Deszcz i pogoda“, kom. w 1 ak. przez L. Gozlan.
24. „Podarunki“, kom. w 1 ak. przez J. N[illegible]
25. „Jesienią“, komedya w [illegible] derskiego.
26. „Kancelarya otwarta“, [illegible] Zygmunta Przybylskiego
27. „Raptus“, komedya w [illegible] Marc Michel i Labiche.
28. „Straduję“, komedya w [illegible]
29. „Dwie teściowe“, kom. w [illegible]
30. „Kiedyż obiad“, krotochwila w 1 odsłonie.
31. „Dzieci muzy“, kom. w 1 ak. przez Fr. Domnika.
32. „Pan Bonifacy“, farsa w 1 akcie W. Rapackiego.

Umiński W. Balonem do bieguna. Przygody z podróży pow. ponad lodami. Kart. . . . . .
W ozdobnej płócienne
Verne J. Zamek w Karpatach
W ozdobnej płócienne
Wrześniowski A. Tatry i podh
Zmichowska N. Kwiaty rodzin
W oprawie . . . .

Biblioteka WSP Kielce
0070068

WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
201388